

M.L. LONGWORTH

MORDERSTWO



W
WINNICZY

Głos Longworth jest jak wykwinny rocznik
musującej Dorothy Sayers i dojrzałej Donny Leon.

— *Booklist*

M.L. LONGWORTH

MORDERSTWO
W WINNICY

Przekład:
Małgorzata Trzebiatowska

smak  słowa

Sopot

Tytuł oryginału: *Death in the vines*

Copyright © Mary Lou Longworth, 2013.

Published by arrangement with Macadamia Literary Agency and
Curtis Brown, Ltd.
All rights reserved.

Copyright © 2018 for the Polish edition by Smak Słowa

Copyright © for the Polish translation by Małgorzata
Trzebiatowska

Wszystkie prawa zastrzeżone. Książka ani żadna jej część nie może
być publikowana ani powielana w formie elektronicznej oraz
mechanicznej bez zgody wydawcy.

Edytor: Anna Świtajska

Redakcja i korekta: Anna Mackiewicz

Projekt graficzny: Agnieszka Karmolińska

Projekt okładki: Agnieszka Karmolińska

Zdjęcie na okładce: © shutterstock.com / sianstock

ISBN 978-83-65731-87-6



Smak Słowa

ul. Sobieskiego 26/4

81-781 Sopot

tel. 507-032519

Szukaj nas także na:

facebook



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: kontakt@elib.pl

www.eLib.pl

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[1.Wino dla aniołów](#)

[2.Ostatnie zakupy na rynku](#)

[3.Zmartwiony mąż](#)

[4.Wyznania złodzieja win](#)

[5.Atak w Éguilles](#)

[6.Zrozumieć Prowansję](#)

[7.Babka cytrynowa](#)

[8.Ja jestem, ona jest](#)

[9.Notes Jules'a](#)

[10.Rejsy Judy](#)

[11.Wioska po latach](#)

[12.Zbyt szpanerski jak dla mnie](#)

[13.Kwiaty Philomène](#)

[14.Dzieci miłości](#)

[15.Oh voleur!](#)

[16.Historia miłości](#)

[17.Chłopiec z Malibu](#)

[18.Podejrzenia Verlaque'a](#)

[19.Urok południa](#)

[20.Bilet autobusowy](#)

[21.La politesse](#)

[22.Samochód prezydenta](#)

[23.Sekret w ogrodzie](#)

[24.Tost z masłem i miodem](#)

[25.Szeroki gest](#)

[26.Dwie szklaneczki Lagavulin](#)

[27.Francuskie i angielskie innowacje](#)

[28.Le gargouillou](#)

[29.Paulik wyważa drzwi](#)

[30.Dar Antoine'a Verlaque'a](#)

[Epilog](#)

[Przypisy](#)



Wino dla aniołów

Olivier Bonnard siedział na dolnym stopniu schodów do swojej piwnicy, trzymając się za głowę tak, jakby chciał złagodzić bóle migrenowe. Przejechał zgrubiałymi dłońmi po gęstych siwiejących włosach i jęknął. Zerknął na skamielinę osadzoną w kamiennej ścianie piwnicy. Miała formę muszli przegrzebka. Pochylił się i delikatnie jej dotknął. To był jego sekretny rytuał – odkąd pamiętał, robił tak zawsze, kiedy wchodził do piwnicy. Skamielina przypominała, że miliony lat temu większość południowej Francji zalana była przez morze, słona woda przykrywała ziemię tam, gdzie teraz rosły winorośle. Jego przyjaciele też mieli w piwnicach wodne skamieliny, nawet tak daleko na północy, jak w Luberonie i Dolinie Renu, ale on najbardziej lubił swojego małego przegrzebka. Jeszcze raz przecesał palcami włosy, próbując się nie rozplakać. Ostatni raz płakał osiem lat temu, na pogrzebie matki.

Westchnął i zmusił się, by spojrzeć na półki na wino. Powoli wyjął ołówek i kawałek papieru z kieszeni pikowanej kurtki – temperatura w piwnicy stale utrzymywała się na poziomie szesnastu stopni i stąd to ciepłe okrycie, mimo że był początek

września. Zaczął pisać. Na jego liście znalazło się białe wino w butelce magnum z 1975 roku, trzy butelki czerwonego z 1954 (jego ulubionego), dwie butelki z 1978 (za starego jak na białe i prawdopodobnie już zepsutego), trzy butelki czerwonego z 1946 roku (ulubionego wina jego ojca z pierwszego rocznika po sześciu latach wojny) oraz czerwone w butelce magnum z 1926 (ostatnia butelka z pierwszego rozlewania trunku przez jego dziadka).

Po kilku minutach pracy opuścił ołówek i zatrzymał się. Brakowało jeszcze innych butelek, ale on potrzebował przerwy. Chociaż wina należały do jego rodziny, nie potrafił oszacować wartości tych z 1929 czy 1946 roku – i te, i te stanowiły teraz obiekty kolekcjonerskie. Jego agent ubezpieczeniowy w Aix, Paul, pomoże mu w wycenie – ma w biurze katalogi aukcji win Sotheby's i Christie's. Ten stary przyjaciel ze szkoły średniej nigdy by go nie oszukał.

Bonnard czuł się zdruzgotany utratą win, spośród których wiele było butelkowanych przez jego ojca i dziadka, ale łzy napłynęły mu do oczu dopiero, kiedy uzmysłowił sobie, że złodziejem musiał być ktoś bardzo mu bliski. Chociaż drzwi do piwnicy zawsze zamykali, to jednak wszyscy w jego rodzinie wiedzieli, gdzie znaleźć klucz. Od kiedy Olivier był małym chłopcem, klucz wisiał na prawo od drzwi kuchennych. Kto jeszcze wiedział, gdzie go trzymano? Dostał wypieków, chociaż było mu zimno w dłonie, a stopy miał zdrętwiałe od chłodu. Przypominał sobie wszystkie twarze – przyjaciół, sąsiadów, znajomych. Czuł się okropnie, wyobrażając ich sobie jak na policyjnym okazaniu. Oto listonosz Rémy, który lubił podjeżdżać swoim starożytnym *mobylette* lub, kiedy nie pracował, swoją rozpadającą się furgonetką, tuż pod kuchenne drzwi. Hélène, zarządzająca posiadłością Oliviera oraz jego główny winiarz – ale

ponieważ jej mąż jest policjantem, Olivier natychmiast usunął ją z listy podejrzanych. Cyryl, poza Hélène jedyny pełnoetatowy pracownik, który przez cały rok pomagał mu w winnicy. I Sandrine, studentka miejscowego uniwersytetu, prowadząca jego salę degustacyjną w weekendy oraz w wakacje, zatrudniona przez niego bardziej ze względu na urodę niż dla znajomości wina i umiejętności liczenia drobnych. Każdego roku pojawiała się wielu przybyszów z południowej Afryki, zbierających winogrona w czasie żniw, ale oni rzadko podchodzili blisko domu. Poza tym czułby się rasistą, posądzając ich o złodziejstwo. Oni tak gorliwie wykonywali tę wyczerpującą pracę, którą Olivier chętnie podejmował jako student, ale która nie odpowiadała teraz większości młodych Francuzów.

Następnie Olivier pomyślał także o swojej najbliższej rodzinie, tyle że w jego wyobrażeniu nie stali oni na okazaniu w Palais de Justice, ale siedzieli przy obiedzie – jednak nie w eleganckiej jadalni, gdzie tak lubiła jadać jego żona, tylko przy długim kuchennym stole przed huczącym w kominku ogniem. Ta podnosząca na duchu wizja zwykle wywoływała u niego uśmiech, ale dziś tylko ścisnął mu się żołądek. Niemożliwe, by Élise, jego żona od dwudziestu lat, ruszała te butelki. Chociaż w pełni wspierała winnicę Bonnardów, była abstynentką i bardziej interesowała się sklepem z wyrobami designerskimi, który prowadziła wraz z przyjaciółką w Aix, niż syrahem, grenachem czy mourvèdre. Nie mógł sobie też wyobrazić, z jakiego powodu Victor, jego osiemnastoletni syn, zafascynowany ziemią i winoroślą od kiedy tylko nauczył się chodzić, miałby ukraść te cenne butelki. Nie zrobiłaby tego również trzynastoletnia Clara, jego duma i radość, zawsze z książką przed nosem, najlepsza uczennica w każdej

klasie, poczynając od grupy przedszkolnej. Z rodziną Oliviera mieszkał także jego ojciec – na parterze oddzielnego skrzydła ich osiemnastowiecznego domu. Albert Bonnard miał osiemdziesiąt trzy lata i chociaż cieszył się dobrym zdrowiem, to jednak ostatnio łatwiej się męczył i zaczął tracić pamięć. W ubiegłym tygodniu Olivier zobaczył ojca idącego wolno wzdłuż rzędów winorośli i rozmawiającego z roślinami – dziękował im za bujność w tym roku.

Olivier wstał i rozprostował zeszywniałe nogi – siedział na stopniu schodów w otępieniu prawie od godziny. Obrócił się gwałtownie, słysząc, że ktoś się zbliża. Spodziewał się, że stanie twarzą w twarz ze złodziejem wracającym, by zabrać jakieś wina z lat sześćdziesiątych, których wcześniej nie wziął (lub nie wzięła – Olivier nie chciał być seksistą).

– Zobaczyłam światło. Czy wybierasz wina na jutrzejszy obiad? – zapytała męża Élise Bonnard. Po czym dodała: – Widzę po twojej minie, że zupełnie zapomniałeś o obiedzie z Poyersami!

Olivier nawet po tak wielu latach małżeństwa zawsze cieszył się na widok żony, a tego popołudnia cieszył się jeszcze bardziej niż zwykle. Chociaż nie piła alkoholu, była świetnym degustatorem. Uwielbiała towarzyszyć mężowi w jego zawodowych podróżach po Francji, a także za granicą. W ubiegłym roku pojechali do Argentyny, na wymianę pomiędzy winiarzami z Ameryki Południowej i z Francji. Dzisiaj, ujrawszy żonę, Olivier zdał sobie sprawę z tego, jakie ma szczęście i jak bardzo jej potrzebuje. Do oczu napłynęły mu łzy, pochylił ramiona i zaczął drzeć.

Élise Bonnard popatrzyła na swego zwykle opanowanego męża, uśmiech zniknął z jej twarzy, zbiegła szybko z kilku pozostałych stopni i otoczyła mężczyznę ramionami.

– *Mon amour?*

W tym momencie ciało tego prawie dwumetrowego mężczyzny rozluźniło się i łzy popłynęły strumieniami, czemu towarzyszyło głębokie szlochanie. Élise Bonnard wyjęła z kieszeni kilka chusteczek i podała je mężowi. Olivier szeptem podziękował, kilkakrotnie wydmuchał nos i westchnął. By się uspokoić, zrobił kilka głębokich wdechów i wydechów, tak jak zawsze uczyli dzieci, gdy się przewróciły lub były zdenerwowane. Dopiero wtedy obrócił się, odsłaniając puste półki na wino.

– Co takiego...? – Élise głęboko zaczerpnęła powietrza. Podeszła bliżej do półek, jakby nie wierząc własnym oczom. Od kiedy pod koniec dziewiętnastego wieku pradziadek Oliviera kupił ziemię i rozsypujący się duży wiejski dom, cztery pokolenia Bonnardów produkowały wino w tej posiadłości położonej w pobliżu Rognes, pół godziny na północ od Aix-en-Provence. W międzyczasie dom został w pełni odnowiony i wpisany na listę zabytków. Wiele spośród ich wczesnych trunków zyskało uznanie czołowych krytyków win, a Mr Colter przyjeżdżał z Ameryki raz w roku, by spróbować i ocenić wyroby Bonnardów. Élise pomyślała przez chwilę o tym krytyku – sławnym na całym świecie i ogromnie wpływowym, jak zawsze przypominał jej Olivier, lecz mimo to bardzo skromnym, otwartym na ludzi, żywo zainteresowanym wszystkim, co było związane z ich regionem. Raz nawet zapytał Élise o jej przepis na *gougère*.

– Ile butelek zginęło? – Élise w końcu zapytała męża.

Na jedną czy dwie sekundy zamknęła oczy i wypowiedziała cichą modlitwę dziękczynną. Widząc płaczącego męża, zmartwiła się, że zachorował on na raka albo że zostali bez grosza. Tamtych win oczywiście nie da się zastąpić. Ale wyprodukują nowe, będą następne wybitne roczniki. Jej lęk budziło tylko to, że ktoś

wtargnął do ich domu niezauważony.

– Przestałem liczyć przy dwudziestej trzeciej, niektóre były półtoralitrowe. Kiedy się trochę uspokoję, wrócę do liczenia. Zostały zabrane przypadkowo, jedna butelka tu, druga tam. To bardzo dziwne.

– Czy ktoś mógł zostawić drzwi do piwnicy otwarte? – zapytała Élise.

– Kiedy przyszedłem przed godziną, były zamknięte, a klucz wisiał na haczyku koło kuchni. Czy złodziej zadałby sobie trud, by zamknąć drzwi z powrotem i go odwiesić? Poza tym pracowałem dzisiaj cały rano na podwórzu, usiłowałem naprawić ten cholerny traktor. Stamtąd wyraźnie widziałem drzwi.

Élise westchnęła, ale się nie odezwała. Byli właścicielami posiadłości wartej miliony, a jej mąż ciągle upierał się przy samodzielnym naprawianiu maszyn i silników.

– A kiedy ostatnio byłeś w tej części piwnicy? – dociekała.

Bonnard skrzywił się. – Dobre pytanie. Głupio mi to przyznać, ale wiele miesięcy temu.

Piwnice Bonnardów ciągnęły się pod ich kamiennym domem w nieskończoność. Normalnie można było znaleźć Oliviera w tej części posesji, gdzie wyrabiano wino, zlokalizowanej w zaadaptowanych stajniach za stodołą. Obszerne pomieszczenia mieściły wielkie zbiorniki ze stali nierdzewnej, a w salach wewnętrznych ustawiono rzędy dębowych beczek. Teraz znajdowali się w *ancienne cave*, jak zawsze nazywali to zlokalizowane tuż pod kuchnią miejsce, gdzie przechowywano cenne wina pochodzące z ich upraw. Miało ono polepę ziemną z warstwą ubitych kamyczków na wierzchu, stała tam też stara beczka używana jeszcze przez dziadka Oliviera, a teraz służąca za stół. Élise kupiła

cztery stołki z katalogu La Redoute. Nad stołem zawiesili białe lampki klubowe i spędzili tu wiele wieczorów w towarzystwie swoich przyjaciół. Wszyscy, ubrani w grube swetry, kosztowali win.

– Musi być jakieś racjonalne wyjaśnienie – powiedziała Élise, trzymając ręce na biodrach.

– Jakie? Parowanie?

– Posłuchaj, kochanie, zawołam Victora, by pomógł ci zrobić inwentaryzację, on przecież od kiedy skończył pięć lat, zna te butelki na pamięć. – Élise roześmiała się i starając się trochę rozładować atmosferę, dodała: – Victor nie potrafił liczyć w szkole, ale w piwnicy zawsze był mistrzem. – Odwróciła się do wyjścia, ale Olivier chwycił ją za rękaw.

– Co takiego? – zapytała.

– Victor – rzekł jej mąż z wyrazem twarzy, w którym dostrzegła przerażenie, a jednocześnie ogromną złość.

Élise wzruszyła ramionami. Ostatni raz, kiedy widziała u męża taką minę, sprawa także dotyczyła Victora – miał wtedy czternaście lat i zwędził ich samochód dla zabawy, pojechał nim do wsi.

Élise zrozumiała obawy męża.

– Victor? Nie myślisz chyba...? Dlaczego miałby zabierać te butelki?

– Dla pieniędzy – odparł Olivier, wzruszając ramionami. Na jego twarzy ponownie pojawił się przestach. – Nie podobają mi się te dzieciaki z Aix, z którymi spędza czas, może go do tego namówiły? Może został nawet zmuszony, no wiesz, zastraszony? On zawsze podążał za innymi, nigdy nie był liderem. – Powstrzymał się przed dodaniem, że w rodzinie to Clara była liderką.

Élise przygryzła górną wargę, jak zawsze, gdy była

zdeenerwowana.

– Ja też nie za bardzo lubię tych jego przyjaciół, ale Victor ostatnio niewiele się z nimi spotyka. Myślę, że to był tylko taki etap. Dzisiaj wieczorem wychodzi do kina z Jérôme'em i Thomasem.

Jérôme i Thomas Clergue byli braćmi, synami najbliższych sąsiadów Bonnardów, którzy także wytwarzali wino. Po przejściu na wcześniejszą emeryturę Jean-Jacques Clergue zrobił sobie prezent i kupił ziemię. Zarobił sporo pieniędzy, pracując dla Goldmana Sachsa w Londynie, „zainkasował” je, jak mówili miejscowi, i osiadł na prowincji jako emeryt w wieku zaledwie trzydziestu siedmiu lat, gdy jego synowie byli jeszcze berbeciami. Dwie rodziny natychmiast się zaprzyjaźniły. Élise była przekonana, że żona Jean-Jacques'a, Lucy, która urodziła się i wychowała w Londynie, nie wytrzyma na francuskiej wsi dłużej niż dwa miesiące. Ale to Lucy pokazała Élise, jak piec placek z morelami posypany kruszonką, i to Lucy każdej zimy pomagała Olivierowi przycinać winorośle. A największą niespodzianką było to, że po odbyciu intensywnego kursu enologicznego Jean-Jacques Clergue robił fantastyczne wina. To Clergue, Olivier Bonnard i Hélène Paulik, która odpowiadała za produkcję wina, oraz Marc Nagel z Var podnieśli standardy tego trunku w południowo-wschodniej Francji. Inni wytwórcy win na tym obszarze uczyli się od tych trojga i lokalne apelacje¹ osiągały coraz wyższy poziom.

Olivier i Élise zamarli, kiedy na schodach usłyszeli kroki kogoś zbiegającego najprawdopodobniej w tenisówkach, kto pozostawiał za sobą chmury kurzu.

– O wilku mowa – mruknął do siebie Olivier Bonnard.

– Hej! Wszędzie was szukałem! – powiedział Victor. – Kiedy

będzie obiad, mamó? Film zaczyna się o ósmej w Aix, więc musimy złapać autobus o siódmej dziesięć. – Chłopak spojrzał na matkę, ale ona się nie odezwała. Potem zerknął na ojca, który także milczał. W pierwszej chwili pomyślał, że rodzice się kłócili. Serce podeszło mu do gardła. Może planują się rozwieść, tak jak rodzice Luca.

Ojciec odwrócił się do półek z winem i machnięciem ręki zwrócił na nie uwagę syna.

– Co do...? – zawołał chłopak.

– Dokładnie to samo powiedziała twoja matka.

Victor Bonnard zaczął biegać w tę i z powrotem wzdłuż półek, jak spanikowane zwierzę. Élise patrzyła na męża z uniesionymi brwiami, jakby ch Appellation d'origine contrôlée (AOC) – „kontrolowane oznaczenie pochodzenia”, francuski system certyfikacji przyznawanych pewnym regionom geograficznym, które specjalizują się w produkcji ściśle określonych, oznaczonych wyrobów spożywczych, m.in.: win, serów, masła. Informacje o przyznaniu certyfikatu umieszczane są na etykietach wyrobów. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).ciała powiedzieć: „Widzisz, jest tak samo zaskoczony jak my”.

– Brakuje wina z 1929! *Putain!* – krzyczał, nie przestając biegać. Schylał się często, by popatrzeć na butelki. – Czy dziadek wie?

– Nie. Teraz położył się na drzemkę. Boję się mu powiedzieć – odparł Olivier.

– Kto mógłby to zrobić? – zapytał Victor, nie mając nikogo konkretnego na myśli.

– Właśnie o to miałem ciebie zapytać – odrzekł mu ojciec. Ale dokładnie w chwili, gdy wypowiedział te słowa, pożałował tego.

Victor był wstrząśnięty.

– Co masz na myśli, tato? – Twarz młodzieńca zaczerwieniła się,

kiedy uderzył pięścią w wilgotną kamienną ścianę i zadrapał dłoń.
– Wielkie dzięki! – krzyknął i pobiegł z powrotem w górę schodów, zatraskując za sobą drzwi do piwnicy.

– Brawo, *chéri* – odezwała się Élise, wznosząc oczy ku niebu. Ona także weszła na szczyt schodów i skierowała się na zewnątrz, na późnopołudniowe słońce.

– *Bon* – powiedział do siebie Olivier Bonnard z westchnieniem. Pójdzie przeprosić Victora, potem wybierze się do Aix spotkać się z przyjacielem zajmującym się ubezpieczeniami. Nie był w mieście od tygodni, zamartwiał się, że w końcu sierpnia wyjątkowo dużo padało. Wcześniej razem z Hélène przeniósł ich roczne wino, w beczkach, do piwnicy na wina dwuletnie, by zrobić miejsce na nową produkcję. Kiedy zakończyli, Olivier i Cyril przenosili sprzęt i porządkowali przestrzeń na tłoczenie i wyciskanie nowych zbiorów – dopóki nie zepsuł się traktor. Dużo było pracy w piwnicy, Bonnard napełniał beczki, tłumacząc znudzonej Sandrine, że pięć procent wina wyparowywało przez drewniane ścianki beczek. Normalnie Victor z przyjemnością asystował w tej pracy, ale tym razem Olivier poprosił Sandrine, by mu towarzyszyła, mając nadzieję, że nauczy ją czegoś o procesie wytwarzania wina. Chciał, by Victor skoncentrował się na szkole. Wcześniej umówili się, że w tym ostatnim roku szkoły średniej przysiądzie nad książkami, by przynajmniej otrzymać godne oceny na egzaminie Bac – wyczerpującym sprawdzianem kończącym rok szkolny. Kiedy Victor był małym chłopcem, ojciec nauczył go określenia tej pięcioprocentowej straty – „wino dla aniołów”. Tak samo w czasach dzieciństwa Oliviera wytłumaczył mu to jego ojciec, Albert. Olivier uśmiechnął się na wspomnienie sześciolatniego Victora, który badawczo przyglądał się beczce, obchodził ją dookoła i próbował

złapać w złączone dłonie czerwone wino, wyobrażając sobie, jak wycieka ono na zewnątrz.

Kiedy Bonnard załatwi sprawy w Aix, pójdzie do domu Jean-Jacques'a Clergue'a i zaprosi go do siebie. Jacques będzie mógł mu coś poradzić, a on ma ochotę wypić wino z przyjacielem, w otoczeniu tego, co zostało z nagradzanych roczników. Jako winiarze Bonnard i jego koledzy *vignerons* zawsze uważali, by nie wypić za dużo. Ale tego wieczoru czuł, że chętnie przestałby się kontrolować. Jean-Jacques był bon vivantem, więc może przyniesie kilka kubańskich cygar. Olivier wypalił jedno z sędzią z Aix, kiedy tamten ostatni raz bawił tu z wizytą, i naprawdę mu zasmakowało. Élise zafundowała mu potem ciche dni, ale nie dbał o to.

Wspiął się po schodach, wyłączył światła i zamknął drzwi na zamek. Tym razem włożył klucz do kieszeni.

Ostatnie zakupy na rynku

Był zwyczajny wtorek, kiedy Mme Pauline d'Arras wyruszyła na rynek po zakupy, ostatnie, jakie ją czekały w życiu. Sierpień był ciepły, ale kobieta miała na sobie lekki bawełniany sweter założony na jedwabną bluzkę. Poranne słońce świeciło wysoko i jasno na błękitnym niebie. Im bardziej zbliżała się do Palais de Justice, tym większy panował wokół hałas. Jej suczka, Coco, próbowała wybiegać do przodu z podekscytowania, czując, że to dzień targowy. Madame pociągnęła za smycz i uśmiechnęła się do Coco. Piesek uwielbiał rynek, a w szczególności policjantów z drogówki na motorach.

Mme d'Arras szła zygzakiem, mijając wielkie stragany z warzywami i patrząc gniewnie na właścicieli. Żaden sprzedawca, który handlował bananami, ananasami i limetkami, z całą pewnością nie uprawiał własnych warzyw i owoców w Prowansji, ale kupował je hurtowo z magazynów w Marsylii. Jej ulubiony sprzedawca, Martin, rozkładał małe stoisko na odległym końcu rynku. Oferował organiczne warzywa, które hodował sam w gospodarstwie na północ od Aix. Madame precisięła się obok

grupy turystów, którzy fotografowali przyprawy, i mocno szturchnęła ich koszykiem.

„Czy nie zdają sobie sprawy, że niektórzy naprawdę muszą robić zakupy i gotować?” – pomyślała.

Uśmiechnęła się, podchodząc do stoiska Martina, ale uśmiech zniknął z jej twarzy, gdy zobaczyła długą kolejkę.

„A więc inni mieszkańcy Aix także poznali się na wspaniałych produktach Martina”.

Będzie musiała postać w kolejce i lunch opóźni się co najmniej o kwadrans. Ale jeżeli popracuje szybko po przyjściu do domu i nie zrobi sobie przerwy na herbatę, może uda jej się przygotować wszystko na czas. Wzięła jedną z plastikowych misek Martina stojącą na kupce czerwonych pomidorów i zaczęła wybierać warzywa do *pot-au-feu*, które przygotowuje po południu na kolację: rzepy, marchewki, ziemniaki, pory, cebule i czosnek. Wołowinę kupi w Boucherie du Palais.

„Bez wątpienia czeka mnie tam następna kolejka”.

Na lunch, który zjedzą z Gilles'em, poda kotlety wieprzowe i fasolkę szparagową. To było szybkie i łatwe danie, a Gilles je uwielbiał.

– Ty też, prawda, Coco? – zawołała, patrząc na psa.

Spojrzała w górę, zaskoczona, gdy zorientowała się, że ktoś do niej mówi.

– Madame – rzekł Martin z uśmiechem, ale oczy zdradzały troskę.

Mme d'Arras zebrała się w sobie i odwzajemniła uśmiech.

„Jakie piękne ma ręce, chociaż trochę brudne. Ciekawe, od jak dawna mnie wołał”?

Pamiętała, że mówiła do Coco, ale jak długo? Wręczyła

Martinowi miskę z wybranymi jarzynami.

– *Voilà* – powiedziała.

– Chyba dziś wieczorem będzie *pot-au-feu*? – zapytał sprzedawca.

– O tak – odparła. – Pyszny obiad, a przy tym niedrogi... No może z wyjątkiem wołowiny.

Spojrzała w kierunku Boucherie du Palais z nadzieją, że zdoła dostrzec, jak długa jest tam kolejka, ale nie widziała wnętrza sklepu. Być może to dobry znak, że kolejka nie wychodziła za drzwi, jak zdarzało się w soboty.

Martin starannie ważył jarzyny. Wiedział, że Mme d'Arras wpatruje się w wagę jak jastrząb. Popatrzył na jej starannie ułożone jasne włosy i designerskie okulary – należała do tych mieszkanek Aix, których wiek był nie do określenia, może gdzieś pomiędzy sześćdziesięcioma a siedemdziesięcioma pięcioma laty. Mme d'Arras to była twarda starsza babka, ale lubił ją. Należała do jego pierwszych klientek, od czasów, kiedy tylko zaczął sprzedawać tu organiczne warzywa i owoce. Przez lata czekał na pozwolenie z ratusza na prowadzenie stoiska, a przedpłaty nieomal doprowadziły go do ruiny, ale teraz stragan zdecydowanie się zwracał, zwłaszcza z obrotów w soboty. Zazwyczaj udawało mu się sprzedać wszystkie swoje produkty do południa.

Madame zaczęła rozmawiać z inną kobietą z kolejki – obie gotowały dziś *pot-au-feu* i porównywały przepisy. Martin nie wiedział, czy się wcześniej znały. Pracował i sprzedawał w Aix, ale w porównaniu z osadą, w której mieszkał, na północ od Manosque, to miasto stanowiło dla niego kompletnie obce – bogate i uprzywilejowane – terytorium. Nigdy nie wiedział, czy Mme d'Arras jest rzeczywiście czymś zainteresowana i dlatego odwraca się, by z kimś porozmawiać, czy jest po prostu wścibska. Uznał, że

jej ciekawość służyła zapewne jej własnym celom, ale to go nie uspokoiło. Martwił się o nią. Była wprawdzie w stanie poruszać się po mieście i robić zakupy i najwyraźniej pamiętała przepisy, ale przez ostatnie tygodnie wydawała się coraz bardziej roztargniona – nie słyszała, kiedy do niej mówił, a jej oczy zachodziły mgłą, stawały się prawie żółte.

– Proszę, Mme d'Arras. To będzie razem siedem euro i trzynaście centów. – Włożył do jej koszyka także pęczek pietruszki jako bonus.

Mme d'Arras z namysłem wyjęła portmonetkę na drobne od Hermèsa – prezent od siostrzeńca – i powoli odliczyła pieniądze. Martin uśmiechnął się i podziękował, a ona poniosła swój koszyk z powrotem przez tłum kupujących i sprzedających, zatrzymując się, by podziwiać słoneczniki oferowane przez jednego z farmerów. Postanowiła jednak ich nie kupować, ponieważ zbyt już była objuczona warzywami – ziemniaki i cebule ważyły niemało – i poszła dalej w kierunku Boucherie du Palais. Wewnątrz długiego i wąskiego sklepu mięsnego ustawiała się spora kolejka. Madame szybko udała się na tyły sklepu, gdzie uformowała się druga, niewielka, kolejka dla uprzywilejowanych klientów albo tych, którzy o tym zwyczaju wiedzieli. Skinęła głową i uśmiechnęła się do znajomych. Czekwała, starając się uspokoić coraz bardziej rozdrażnioną Coco. Przed nią stała młoda Amerykanka, zajęta przemawianiem do swojego małego synka, siedzącego w spacerówce. Mme d'Arras pochyliła się, udając, że patrzy na mięso. Zaczęła powolutku przesuwając się do przodu przed *l'Américane*, która z pewnością tego nie zauważy albo będzie zbyt uprzejma, by powiedzieć coś na temat starszej pani wpychającej się do kolejki. Ale kiedy Mme d'Arras wyprostowała się, jej stopy trafiły prosto na wózek, który Amerykanka popchnęła do przodu,

blokując przejście.

– *Il faut attendre, madame* – powiedziała młoda kobieta dobrą, choć zabarwioną ciężkim akcentem, francuszczyzną.

Mme d'Arras naburmuszyła się, udając, że nie rozumie, i zaczęła mówić do Coco. Była poruszona tym, że ta młoda kobieta nie tylko zablokowała jej przejście do przodu w kolejce, ale także znała sekret dwóch kolejek.

– Mme d'Arras – zakrzyknął Henri, rzeźnik i właściciel sklepu, kiedy w końcu przyszła jej pora. – Czyż nie wygląda pani dzisiaj pięknie?

Kobieta zarumieniła się i odparła:

– Musimy się jakoś prezentować, niezależnie od dnia, prawda?

– W rzeczy samej – odpowiedział rzeźnik. – A co piękna madame przygotowuje dzisiaj dla swojego męża szczęściarza?

Wbrew swojej woli zdradziła:

– *Pot-au-feu*.

– W takim razie proponuję jeden z moich wybranych kawałków wołowiny oraz trochę cielęciny.

– Cielęciny? – zająknęła się Mme d'Arras. To znacząco podniesie cenę. Inni rzeźnicy w tym sklepie sprzedawali jej tylko wołowinę.

– Oczywiście... cielęcina! Ale jeśli madame sobie nie życzy...

– Nie, pewnie ma pan rację... Trochę cielęciny wspaniale wpłynie na smak, *non*? – Nie chciała, aby Henri, a już zwłaszcza ta wścibska Mme de Correz, myśleli o niej, że jest skąpa.

Henri, doświadczony sprzedawca, uśmiechnął się, odkroił kawałek delikatnej cielęciny i dodał ją do wołowiny.

Mme d'Arras wzięła zakupy i stanęła w jeszcze jednej kolejce, by zapłacić, ale z doświadczenia wiedziała, że córka Henriego, która pracowała przy kasie, była niezwykle szybka i sprawna. Za chwilę

madame szła z powrotem rue Émeric David do swojego mieszkania. Niosła Coco, która umierała teraz ze zmęczenia i głodu. Zanim doszła do domu, zatrzymała się, mijając numer szesnaście, i zmarszczyła brwi. Jej sąsiad, młody nowobogacki, stał na zewnątrz Hôtel de Panisse-Passis i rozmawiał z robotnikami, którzy ustawiali rusztowanie. Philippe Léri don kupił rezydencję przed kilkoma laty, ale stała ona pusta – i cicha. On w tym czasie przebywał w Maroku i, jak poinformował Mme jej mąż, zarabiał miliony na sieci luksusowych hoteli. Léri don kupił ten podupadły, ale wciąż elegancki osiemnastowieczny budynek pod wpływem kaprysu, kiedy przebywał w Aix na wakacjach. W tym roku, po sprzedaniu swoich hoteli, przeprowadził się na stałe do tego miasta. Robotnicy przez całe tygodnie wchodzili do rezydencji i wychodzili, przez okrągły tydzień panował tam hałas, nawet w soboty. Ponieważ używali wiertarek udarowych, w jej mieszkaniu pojawiły się rysy na ścianach. Przypomniała sobie, by późniejszym popołudniem zadzwonić do prawnika, i przyspieszyła kroku – cieszyła się, a nawet czuła dumę, że potrafiła radzić sobie z takimi sprawami bez pomocy męża.

Z zamyślenia wyrwało ją pozdrowienie Philippe Léri dona:

– *Bonjour*, Mme d'Arras! – Ale ona szła o jeden budynek dalej, do Hôtel de Barlet pod numerem 18. Zanim włożyła klucz do zamka, obróciła się do Léri dona i wykrzyknęła, celowo prezentując mu swój wyborny akcent: – *Bonjour à vous, monsieur!* Skontaktuje się z panem mój prawnik!

Ledwie usłyszała jego protesty, kiedy szybko zamknęła za sobą drzwi prowadzące do znakomicie zachowanej osiemnastowiecznej rezydencji. Rzeźbione drzwi budynku, choć nie tak zdobne jak te w Panisse, były jej zdaniem bardziej eleganckie i zgrane z resztą

budowli. Z wejścia do Hôtel de Panisse wręcz wylewały się rzeźbione liście, miecze, korony i wstęgi, tak krzykliwe jak ich właściciel, z jego ciężkim akcentem z Oksytanii i wielkim zagranicznym samochodem, który ledwie mieścił się na rue Émerald David.

Mme d'Arras stanęła w hallu frontowym i westchnęła, zbyt zmęczona, by wziąć pocztę, którą listonosz zostawił na marmurowej konsoli. Powoli ruszyła schodami do swojego mieszkania na drugim piętrze. Kiedy posadziła Coco na podłodze, suczka zaskomlała i szybko pobiegła do góry. Madame otworzyła drzwi, a to zawsze trochę trwało, gdyż zamontowane były w nich trzy zamki, po czym razem z Coco weszła do środka. Udała się do kuchni, z suczką przy nogach, i postawiła zakupy na blacie. Ciężko usiadła przy białym stoliku, który był wystarczająco duży dla niej i dla Gilles'a na ich wspólne śniadania. Coś nie dawało jej spokoju, ale nie wiedziała co. Czy to kolejki? Nie, one nie były aż tak straszne. Być może spotkanie z pyszałkowatym sąsiadem, z jego wymyślnym samochodem i dorobkiewiczostwem? Uświadomiła sobie, że M. Léridon przerwał tok jej myśli, a właśnie wspominała swoją młodszą siostrę, Clothilde, i małą romańską kaplicę, gdzie śpiewały razem jako dziewczynki. Dokładnie pamiętała tę świątynię, jej okrągłą absydę widziało się od razu przy wjeździe do Rognes. Coco zaskomlała, przypominając, że czas na jej lunch.

– Tak, już ci nakładam – madame przemówiła pieszczotliwie do psa, po czym przypomniawszy sobie własny lunch, znowu usiadła, oparła głowę na dłoniach i zaczęła szlochać. Zapomniała kupić kotlety wieprzowe.

Zmartwiony mąż

Chociaż Gilles d'Arras od ponad czterdziestu lat mieszkał niespełna sto metrów od Palais de Justice w Aix, nigdy nie postawił tam nogi. Teraz siedział naprzeciwko rosłego, łysego policjanta, który patrzył na niego łagodnie i delikatnie doń przemawiał. M. d'Arras rozejrzał się i zobaczył innych policjantów, którzy coś pisali, rozmawiali lub chodzili w różne strony, nosząc dokumenty. Podobnie jak w jego biurze, z tą różnicą, że niektórzy mężczyźni i kobiety mieli na sobie mundury. Znów przeniósł wzrok na swego rozmówcę i zdał sobie sprawę, że teraz to on miał się odezwać. Jednak słowa z trudem przechodziły mu przez gardło.

– Przeszedłem do domu na lunch o zwykłej porze, trochę po dwunastej. Pauline – to znaczy Mme d'Arras – zazwyczaj miała wszystko gotowe na dwunastą trzydzieści. Tak było od dnia, kiedy się pobraliśmy, czterdzieści dwa lata temu.

Oficer zanotował te informacje, spojrzał na M. d'Arras'a i zapytał:

– Czy pokłócili się państwo dzisiaj rano, zanim poszedł pan do pracy?

– Nie – odparł Gilles d'Arras, najwyraźniej zaskoczony pytaniem.

– I wtedy ostatni raz widział pan żonę?

– Tak. Wyszedłem za kwadrans dziewiąta. Kiedy nie zastałem jej w domu w porze lunchu, zacząłem dzwonić do przyjaciół, zatelefonowałem też do starszej siostry Pauline, Natalie. Pytałem, czy może jest u kogoś z nich. Myślę, że wyszła w pośpiechu, gdyż Coco – nasza suczka – została sama w mieszkaniu. Pauline zwykle jej nie zostawia.

– Rozumiem, że nie odbiera telefonu komórkowego?

M. d'Arras potrząsnął głową.

– Ona ich nie znosi. Chciałem kupić jej taki telefon, kiedy po raz pierwszy się pojawiły, ale zdecydowanie odmówiła.

Komisarz Paulik przez chwilę nic nie mówił, a potem odezwał się tak łagodnie, jak tylko potrafił:

– Zgodziłem się z panem spotkać, M. d'Arras, ponieważ tak bardzo pan nalegał. Ale muszę powiedzieć, że zgłoszenie jest przedwczesne. Pańskiej żony nie ma od południa, a teraz jest dopiero wpół do szóstej. Ona może być wszędzie.

– No właśnie. Wszędzie – naciskał d'Arras. – Nigdy bym panu nie zawracał głowy, gdyby to nie było pilne. Ona może być wszędzie\... głodna, zziębnięta, obolała. Jadamy razem lunch codziennie od ponad czterdziestu lat. Tylko raz nam się nie udało, dwudziestego marca 1983 roku. Tego dnia miałem spotkanie w Paryżu. I nigdy się nie zdarzyło, by nie powiedziała mi o swoich planach na dany dzień. Nigdy.

Paulik poczuł dreszcz na swych potężnych przedramionach i powiedział:

– Oficer Flamant poinformował mnie, że sprawdził pan szpitale.

– Nie pamiętał, kiedy ostatnio jadł lunch ze swoją żoną, Hélène,

oboje byli zbyt zajęci. „Och, to łatwe życie starszych bogatych Francuzów” – pomyślał.

– Tak. Właściwie do szpitali zadzwoniłem od razu na początku.

Komisarz Paulik wyglądał na zaskoczonego.

– No cóż, moja żona nie była ostatnio sobą. Stała się roztargniona, płaczliwa. Miała nieobecne spojrzenie, jakby nie słuchała, co się do niej mówi. Według mnie to początki alzheimera, ale nie chciała iść na badania.

– Ach, *bon*. Czy to nie jest wyparcie, M. d'Arras? – Paulik zauważył, że Mme d'Arras odmawiała korzystania z pewnych rzeczy: telefonów komórkowych, badań lekarskich.

– Tak, pewnie wyparcie. Ale miała też dużo na głowie. Podczas ostatnich badań ogólnych nasz lekarz rodzinny zauważył u niej guzek w gardle. Badano ją w kierunku raka tarczycy... to chyba nazywano punkcją... w szpitalu, ale wyniki nie były jednoznaczne. Zatem w zeszłym tygodniu spotkaliśmy się ze specjalistą, który powiedział nam, że skoro punkcja nie wykazała, czy guz jest złośliwy, to pozostaje tylko operacja. To bardzo przygnębiło Pauline. Nienawidzi szpitali. Nigdy nie ufała lekarzom.

„Nienawidzi też szpitali” – zauważył Paulik w myślach.

– Jest za wcześnie, by stawiać służby w stan pogotowia z powodu zaginięcia, lecz jeśli żona nie wróci do domu do rana, obiecuję to zrobić. Czy przyniósł pan jakąś aktualną fotografię Mme d'Arras?

Starszy mężczyzna wyjął z teczki szarą kopertę. Paulik był pod wrażeniem – większość ludzi zapomina zabrać ze sobą zdjęcie bliskiej osoby, która zaginęła, pewnie z powodu paniki i stresu. Paulik spojrział na fotografię i podziwiał poważną, ale wytworną Mme d'Arras. Może ma kochankę? Była bezsprzecznie atrakcyjną kobietą, choć już niemłodą, za to bardzo dobrze zakonserwowaną.

Jej nieobecność trwała tylko jeden dzień, a właściwie kilka godzin. Komisarz był prawie pewien, że M. d'Arras odbierze niedługo pożegnalny telefon albo, co gorsza, list od swojej żony.

Paulik włożył zdjęcie do teczki i wstał, dając do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca. M. d'Arras wyglądał na rozczarowanego i nie od razu podniósł się z krzesła. Paulik obszedł biurko, położył dłoń na ramieniu starszego mężczyzny i zapytał:

– Zadzwoń pan, kiedy tylko będzie pan coś wiedział, prawda?

– Oczywiście – odpowiedział M. d'Arras szeptem.

– Odprowadzi pana oficer Flamant. – Paulik spojrzał na Flamanta, który pracował w pobliżu, i dał mu sygnał szybkim ruchem głowy wskazującym na M. d'Arras'a. Oficer podskoczył i zaraz znalazł się u boku starszego pana. Ujął go pod ramię i delikatnie przeprowadził obok biurka w stronę hallu.

Komisarz Paulik ominął swoje biurko i skierował się na tyły dużego biura, gdzie był mały gabinet Mme Girard.

– Jest u siebie? – zapytał ją, wskazując na większe pomieszczenie za czarnymi zamkniętymi drzwiami.

– Tak. Mówiłam mu, że chce pan z nim rozmawiać – odparła Mme Girard.

Paulik uświadomił sobie, że kobieta wygląda jak młodsza wersja Mme d'Arras – starannie uczesana, z dyskretnym makijażem, w designerskiej garsonce z krótką spódniczką.

– Proszę wejść – powiedziała, wskazując ołówkiem na drzwi.

– Dziękuję.

Paulik zapukał i wszedł do środka. Sędzia siedział za biurkiem pogrążony w lekturze dokumentów. Na widok komisarza zdjął okulary i podniósł się. Uścisnęli sobie dłonie, bo choć współpracowali ze sobą od blisko roku, nie wymienili *la bise*.

Pomiędzy mężczyznami szybkie cmoknięcie w oba policzki zarezerwowane było dla bardzo bliskich przyjaciół i członków rodziny.

– Jak idzie? – zapytał sędzia Verlaque. – Widziałem cię z tym starszym mężczyzną... skądś go znam, ale nie pamiętam skąd.

– Och, mieszka kawałek dalej na tej ulicy, mnie też wydał się znajomy. Aix jest zabawne pod tym względem, *non*? Przyszedł zgłosić zaginięcie. Jego żony nie ma mniej więcej od rana.

Verlaque wyglądał na zaskoczonego. – Od rana? Może być wszędzie. Choćby w Monoprix. Albo u fryzjera.

– Wiem, ale monsieur był tak zrozpaczony. Obawia się, że żona cierpi na alzheimera. Zgadzam się, ona może spędzać czas z przyjaciółką albo z kochankiem, ale mogła też gdzieś zawędrować i teraz nie potrafi znaleźć drogi powrotnej. Mój wuj Jean na to cierpiał.

– Co za strata czasu – mruknął Verlaque. – Czy to właśnie o tym chciałeś ze mną rozmawiać? – Dopiero wypowiedziawszy te słowa, sędzia zdał sobie sprawę, że wykazał się brakiem wrażliwości wobec wujka Jeana.

Paulik zakasłał. – Nie... – Zawahał się, zanim zaczął mówić dalej. – Bez wątpienia będzie pan uważał, że to taka sama strata czasu, ale na chwilę zanim przyszedł M. d'Arras, zadzwoniła do mnie niezwykle jak na nią roztrzęsiona Hélène.

– Twoja żona? Wszystko u niej w porządku? A u twojej córki, Léi?

– Verlaque przepadał za Hélène Paulik, która pracowała jako winiarz w prywatnym *château* na północ od Aix. Dziesięcioletnia córka Paulika uczyła się śpiewu w szkole muzycznej w Aix i podobno wspaniale jej to szło.

– O tak, obie mają się dobrze, dziękuję. Chodzi o posiadłość

Beauclair, gdzie H el ene pracuje. Okradziono ich. Wiem,  e kradzie  nie podlega pa skiej jurysdykcji, ale musz  g o no pomy le .

– Oczywi cie. Co zgin o? Pieniadze?

– Gorzej. Wina. Stare, nawet z 1929 roku.

Verlaque zagwizda  i odchyli  si  do ty u na krze le.

– Jaka strata. Wiedz , ile butelek zgin o?

Paulik potrza na  g ow .

– H el ene i jej szef, Olivier Bonnard, dopiero przeprowadzaj  inwentaryzacj . H el ene ledwo mog a m o ic, tak by a zdenerwowana. Jak powiedzia a, Olivier zasugerowa ,  e podejrzewa swego nastoletniego syna. Najwyra niej ten dzieciak kr ci  si  z jak s miejscow  bogat  m odzie  ... No c o , to mo e ma sens, bo Bonnardowie te  s  bogaci... W ka dym razie ci m odzi organizuj  sobie huczne przyj cia z szampanem, narkotykami... *la jeunesse dor e*. Jest taki nocny klub, gdzie p ac  czterdzie ci euro za samo wej cie.

– „La Fantaisie” – sprecyzowa  Verlaque.

– Tak, w a nie. W ka dym razie ten biedny facet cierpi na sam  my l,  e jego syn m og  sprzeda  nale ace do rodziny wina po to, by mie c pieniadze na te przyj cia.

– Powiedz Bonnardowi, by nie wyci ga  pochopnych wniosk w. To nie tajemnica,  e jego posiad o  jest najbardziej presti ow  winnic  w Aix. Niekt rzy  lodzieje specjalizuj  si  w kradzie y win. Tak naprawd ... – Verlaque zamilk  na chwil , za o y  okulary i popatrzy  na sw j telefon blackberry – ...jest taki by y  lodziej win, kt ry rozpoc a  nowy rozdzia  w  yciu i wsp o pracuje teraz z parysk  policj . W tpie , aby tutejsi  lodzieje c o  o nim wiedzieli. Wsp o pracuje tak e z domami aukcyjnymi Christie i Sotheby.

Ciekawy człowiek, z tego co wiem. – Popatrzył na ekran smartfona i przewijał informacje w dół, aż znalazł to, czego szukał. – *Voilà*. Mam tutaj nazwisko sędziego śledczego w Saint-Germain. Zadzwoń do niego – może będzie w stanie pomóc Olivierowi Bonnardowi i skontaktować go z ekspertem od kradzieży win. – Na kartce papieru zapisał nazwisko i numer telefonu i wręczył ją komisarzowi.

– Dziękuję – odparł Paulik. – Zaraz do niego zadzwonię. Mam nadzieję, że jest jeszcze w biurze.

– Tak się zastanawiam... Jutro muszę jechać do Paryża w sprawach rodzinnych – odezwał się Verlaque. – Zdobądź mi nazwisko i adres tego eksperta, a ja spróbuję go odwiedzić. On mnie od dawna intryguje.

– To wspaniale – ucieszył się Paulik. – Stokrotnie dziękuję.

Verlaque zdjął okulary i spojrzał na Paulika.

– Zatem jakie jest twoje zdanie o sprawie Mme d'Arras?

– Sądząc z jej zdjęcia, równie dobrze może być u fryzjera. Hélène miała kiedyś kaprys, żeby pofarbować sobie włosy, i zajęło to cztery cholerne godziny. Była wściekła. Może Mme d'Arras nadal siedzi pod jedną z tych suszarek? – powiedział Paulik, rękoma pokazując półkole ponad swoją głowę.

– Mam nadzieję – odparł Verlaque. Udało mu się powstrzymać uśmiech, kiedy jego komisarz, zawodnik rugby, uniósł ręce nad głowę i obrócił się szerokim ruchem. Co zaskakujące, przypominał nawet trochę baletmistrza.

Wyznania złodzieja win

Verlaque miał mieszane uczucia wobec tej okolicy. Wychował się w pierwszej *arrondissement*, pod numerem 6 na Place des Petits Pères, i bardzo mu się tu podobało: można było dotrzeć pieszo do każdego miejsca w Paryżu, a przynajmniej tam, gdzie chciał coś zobaczyć. Ale to była dzielnica dla turystów, miłośników piękna i wspaniałych zabytków, a nie obszar mieszkalny. Niewielu znajdowało się w *la première* dobrych rzeźników i sklepów spożywczych i punkty te mieściły się z dala od siebie. Mieszkańcy tego obszaru jadali poza domem lub – tak jak jego rodzice – mieli służących, którzy biegali po mieście w poszukiwaniu dobrych produktów spożywczych. Sędzia zatrzymał się na Place Vendôme, spojrzął na brukowany plac przy Hotelu Ritz i uśmiechnął się na myśl o zaprzyjaźnionym miłośniku cygar – Papie Hemingwayu, który wyzwolił hotelowy bar w 1944 roku.

Szedł dalej w górę rue De la Paris, skręcając w drugą *arrondissement*. Zadzwoił pod numer 15 i po dłuższej chwili usłyszał przez domofon ostre: – *Qui*. – Podał swoje nazwisko, po

czym rozległo się bzyczenie otwieranych drzwi. Wszedł do wypełnionego freskami lobby i skierował się ku szerokim kamiennym schodom. Na każdym piętrze zatrzymywał się, by przeczytać mosiężne plakietki przy podwójnych drewnianych drzwiach. To, czego szukał, znalazł na trzecim piętrze – M. Hippolyte Thébaud, Expert des Vins. Delikatnie zapukał w drzwi, a one otworzyły się niemal natychmiast. Widok, jaki Verlaque napotkał, odjął mu mowę. Znawca win odsunął się na bok, by sędzia mógł wejść. Wbrew oczekiwaniom Verlaque'a Hippolyte Thébaud nie był podstarzałym złodziejem i ekspertem od kradzieży win w jednej osobie. Sędzia nie dostrzegł u niego żadnych tatuaży, żadnych oznak czasu spędzonego w więzieniu. Gospodarz z pewnością całkiem niedawno przekroczył dopiero trzydziestkę, a ubrany był nienagannie w niebieską sztruksową marynarkę i białe lniane spodnie oraz jasnoniebieskie skórzane buty. Jego koszula i krawat miały niebieskie i białe paski – grube poziome na krawacie i cienkie pionowe na koszuli. Miał jasne włosy, ułożone starannie na czubku głowy, długi i cienki nos, pełne usta. Wysoki i szczupły, z szerokimi ramionami zdradzającymi, że regularnie odwiedza siłownię, Hippolyte Thébaud był po prostu piękny.

Uścisnęli sobie dłonie, a gospodarz wskazał Verlaque'owi drogę przez hall wejściowy do salonu. zaproponował kawę i kiedy sędzia skinął głową, z gracją opuścił pokój, nieomal kręcąc piruet. Verlaque usłyszał szum nalewanej wody i odgłos włączania ekspresu do espresso. Już wchodząc do salonu, zwrócił uwagę na feerię żywych barw w tym wnętrzu, ale dopiero teraz miał trochę czasu, by się rozejrzeć. Przedmioty wypełniające ten obszerny pokój najwyraźniej zostały kupione w różnym czasie i w różnych miejscach, ale zostały bardzo harmonijnie zestawione. Długa

rzeźbiona sofa obita jasnoczerwonym jedwabiem wyglądała według sędziego na wenecką. Obok niej stała zielona aksamitna sofa bez oparcia, także z rzeźbionymi drewnianymi nogami i podłokietnikami, a tuż przy niej niebieski głęboki fotel, którego okrągła rama została wykonana z cienkich prętów ze stali nierdzewnej i przypominała klatkę dla ptaków. Fotel, najpewniej amerykański i pochodzący z lat sześćdziesiątych, stał dumnie przy dwóch dwustuletnich europejskich sofach. Każdy stół miał inną podstawę, a niektóre nogi wyglądały jak przedziwne, odlane z brązu kości. Na wszystkich wolnych powierzchniach rozmieszczone były małe rzeźby, a szklane klosze chroniły, czy też uwydatniały wiele spośród nich. Dywaniki i ozdoby na ścianach także mieniły się żywymi kolorami za wyjątkiem zasłon, uszytych z białego lnu z tasiemką czerni na krawędziach. Była to, jak odnotował Verlaque, ta odrobina spokoju, której pokój potrzebował.

Hippolyte Thébaud podał gościowi małą filizankę i usiadł, elegancko krzyżując nogi. Verlaque podziękował za kawę i dodał:

– Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać tak szybko. Jak mówiłem panu przez telefon, obrabowano Domaine Beauclair, a pan jest znanym we Francji ekspertem od kradzieży win. – Zgadywał, że młody człowiek jest łasy na komplementy.

– Ekspertem od win, kropka – odparł Thébaud.

Verlaque uniósł brwi z niedowierzaniem.

– Czy nie jest pan trochę za młody jak na znawcę win?

– Szybko się uczę – odpowiedział gospodarz z uśmiechem.

Verlaque odwzajemnił uśmiech i odezwał się:

– Tak. Czytałem w pańskich aktach, że po raz pierwszy aresztowano pana jako dziewiętnastolatka. Za kradzież wina z trzygwiazdkowej restauracji, gdzie pracował pan jako kelner.

– Dopiero co skończyłem wtedy dziewiętnaście lat. Najpierw kradłem wina, żeby je sprzedać, przekonawszy się, jakie wygórowane ceny ludzie chcieli za nie płacić. Byłem naiwny i nie znałem radości, którą daje świetne wino. To wysublimowane poczucie, że kiedy kosztujesz Romanée-Conti, doświadczasz historii, geografii i geologii w jednej butelce. I to, że zawartość kredy w glebie ma tyle samo wspólnego ze smakiem wina co ręka i głowa winiarza. Że nieszczęśliwy winiarz wyprodukuje wino zamknięte, trudne dla podniebienia, a zakochany stworzy wino otwarte, takie, które się zmienia, kiedy wędruje po twoim podniebieniu i jeszcze zyskuje, gdy ześlizguje się po gardle. – M. Thébaud rozprostował długie, chude nogi i położył lewą rękę na podłokietniku sofy, sygnalizując, że skończył mówić.

Verlaque był pod wrażeniem, prawie odebrało mu mowę. Zaczerpnął powietrza i zapytał:

– Kiedy zaczął pan tak doceniać wino? – Chciał jeszcze dodać „i poezję”, ale zdążył się już zorientować, że młody człowiek nie potrzebuje dodatkowych komplementów.

– Och. To zdumiewająca część historii. Nauczyłem się tego wszystkiego, nie próbując nawet wspaniałych win. W więzieniu.

Verlaque uniósł brwi.

– W więziennej bibliotece? – Był pewien, że kosztowanie win nie należało do programu resocjalizacyjnego, w przeciwieństwie do nauki twórczego pisania i doskonalenia gry w tenisa.

Thébaud skinął głową.

– Nie przestawałem czytać. Kiedy poznałem już wszystkie książki w naszej bibliotece, poprosiłem o pozycje po angielsku, stopniowo uczyłem się tego języka. Wiedziałem wszystko o węgierskich tokajach i włoskich winach super tuscans, nawet ich

nie próbując. Wiedziałem, jak się je wytwarza, kto je produkuje i jak powinny smakować. To pomogło mi wcześniej wyjść z więzienia i dało mi siłę, by iść naprzód, pomimo brudu, jaki tam panował. – M. Thébaud skrzywił się i lekko pokiwał głową, wymazując wspomnienia z więzienia.

– A teraz jest pan czysty? – na wpół stwierdził, na wpół zapytał Verlaque.

Znawca win roześmiał się.

– Och, tak. Nie mam już powodu, by kraść wina, mogę sobie pozwolić na ich kupno. Kiedy opuściłem więzienie, wiedziałem o winie na tyle dużo, że mogłem je legalnie kupować i sprzedawać, i osiągać zyski. Posługiwałem się angielskim wystarczająco dobrze, by doradzać zagranicznym kupcom, a ponieważ poznałem wina, zanim naprawdę ich spróbowałem, to miałem do zaoferowania coś szczególnego, czym nie mogli się poszczycić inni eksperci.

Verlaque przechylił głowę na bok.

– Nie był pan tendencyjny?

– Właśnie, drogi panie sędzio. Jest pan jednym z niewielu ludzi, którzy to rozumieją. Nie kochałem żadnego rejonu bardziej niż innych. Dla mnie to była gra liczb, a ja byłem dobrym graczem. Oczywiście od tamtej pory się zmieniłem, teraz mam swoje preferencje. Ale wtedy nie miałem.

– Fascynujące – powiedział Verlaque z całkowitą szczerością. Uwielbiał takie opowieści – w których bohater robi coś ze swoim życiem pomimo wszelkich przeciwności. Ta historia była według niego bardzo niefrancuska, zważywszy na zamiłowanie Francuzów do właściwych szkół, odpowiedniego akcentu i dobrych rodzin. Hippolyte Thébaud to znawca win, który nie dorastał w rodzinie producentów win w Bordeaux, nie odebrał najlepszej edukacji

i z pewnością nie posiadał stosownych koneksji, a karierę zaczął jako kelner. – Powinien pan napisać wspomnienia – stwierdził.

– Och, już napisałem! – odparł Thébaud. – Właśnie szukamy dobrego tytułu.

– „Wyznania złodzieja win” – natychmiast odpowiedział Verlaque.

Thébaud rozpromienił się. – Cudownie! To właśnie dlatego, kiedy tylko pojawił się pan w drzwiach, wiedziałem, że muszę panu opowiedzieć moją historię. – Usiadł, podciągając nogi pod siebie.

Verlaque milczał, niepewny, jak zareagować na tak wyszukany komplement. Thébaud był przede wszystkim sprzedawcą, a dopiero w dalszej kolejności ekspertem od win i konsultantem policji. Sędzia zdecydował się przejść od razu do kradzieży u Oliviera Bonnarda. Przekazał Thébaudowi szczegóły i zakończył opowieść słowami:

– Uważamy, że złodziejem jest ktoś, kto zna rodzinę i winnicę.

Gospodarz odchylił się do tyłu i założył ręce za głowę.

– A to dlaczego?

– Ponieważ nikt nie majstrował przy zamku, a klucz znalazł się w zwykłym miejscu, przy drzwiach kuchennych.

– Klasyka! Winiarze są tacy pomysłowi! Trzymają klucze do swoich piwnic – czy to w Argentynie, czy w Alzacji, czy też w Adelajdzie – w tym samym idiotycznym miejscu. Każdy półgłówek może się wślizgnąć i zrobić kopię. Kiedyś to robiłem, udając, że sprawdzam licznik elektryczny. Co jeszcze?

– Złodziej nie wziął żadnych ostatnich roczników, ukradł różne wina, to tu, to tam, niezależnie od ich wieku i jakości.

Thébaud wyrzucił ręce w powietrze.

– Naśladują moje ruchy! Robiłem tak raz czy dwa, by wydawało

się, że kradzieży nie dokonał nikt obcy. Za drugim razem wróciłem po więcej, kiedy na terenie posesji była policja z Bordeaux i przesłuchiwała rodzinę i pracowników. Ha! – Na jego twarzy malowała się tak wielka radość, że sędziemu przebiegło przez myśl, iż młody człowiek może znów zaczął kraść.

Widząc wyraz twarzy Verlaque'a, Thébaud powiedział:

– Proszę się nie martwić. Nie kłamałem, mówiąc, że już nie muszę dopuszczać się kradzieży.

– Zatem jaka jest pańska opinia? – zapytał sędzia.

– Złodziej wróci po więcej – odparł gospodarz. – Czy ma pan ochotę na kolejną kawę?

Verlaque zdecydował się jechać na dworzec w nietypowy dla siebie sposób – metrem. Wiedział, że w porze lunchu trudno będzie złapać taksówkę. Kilka minut przesiedział na łące w Ogrodach Tuileries, podziwiając okrągłe, piersiaste kobiety wyrzeźbione przez Maillola, po czym wsiadł do pierwszej linii metra. Na następnym przystanku, Musée du Louvre, pociąg stał przez cztery minuty, zanim zamknęły się drzwi i ruszył dalej. Verlaque westchnął z ulgą, zerkając na zegarek. Uświadomił sobie, że nie doszacował czasu, w jakim linia metra numer jeden węzowym ruchem porusza się po centrum Paryża, równoległe do Sekwany. Na kolejnym przystanku pociąg stał już ponad siedem minut, kiedy z głośników dało się słyszeć komunikat, że w dalszej części linii zdarzył się wypadek z udziałem pasażera i pociąg jeszcze przez jakiś czas nie będzie mógł ruszyć. Pasażerowie zaczęli mamrotać coś o samobójstwie, a następnie powoli, jeden za drugim, opuszczali wagon. Verlaque wyszedł za nimi ze stacji i, tak jak pozostali, ruszył w górę rue de Rivoli, próbując złapać taksówkę. Niestety

wszystkie były zajęte – pora lunchu w Paryżu. Na ulicy rue Saint Honoré samochody kierowały się w stronę Gare de Lyon. Szedł najszybciej, jak mógł, jednocześnie zerkając przez ramię w poszukiwaniu wolnej taksówki. Bezskutecznie. Kiedy dotarł do następnej stacji metra, zatłoczonego Châtelet, spojrzął na zegarek i zorientował się, że nie zdąży już na pociąg do Aix o dwunastej czterdzieści dziewięć. Mógł zaryzykować i wsiąść tu do metra w pełni zautomatyzowanej linii czternaście lub nadal iść pieszo. Wybrał to drugie, starając się podziwiać miasto i nabrać filozoficznego dystansu do tego, że ucieknie mu pociąg. To był udany dzień. Omówił z rodzicami rodzinne finanse – wykupywane dwa razy do roku obligacje – i uzyskał cenne informacje od Hippolyte’a Thébauda. Thébaud był typowym *dandy* – to słowo nie miało odpowiednika we francuszczyźnie, więc Francuzi uznali je za swoje. Verlaque nie mógł się doczekać, kiedy powie Marine o złodzieju win.

Idąc, pogwizdywał. Dotarł na stację w odpowiednim czasie, by złapać pociąg o trzynastej pięćdziesiąt trzy. Pokazał bilet kontrolerowi i wyjaśnił sytuację ze spóźnionym metrem.

– I tak musi pan wykupić nowy bilet.

– Co? – wykrzyknął Verlaque. – To nie była moja wina. Na jednej ze stacji metra ktoś popełnił samobójstwo.

– Wszyscy tak mówią. Trzeba sobie rezerwować czas na takie rzeczy. To będzie dziewięćdziesiąt pięć euro za miejsce w drugiej klasie.

Verlaque wręczył mu kartę kredytową i wzdrygnął się na myśl o siedzeniu na jednym z wąskich miejsc.

– Proszę się nie martwić, będzie mnóstwo wolnych siedzeń – powiedział konduktor. – Może pan sobie wybrać każde.

Konduktor miał rację, pociąg zapełniony był zaledwie w połowie i sędzia miał do dyspozycji cztery miejsca, po dwa naprzeciwko siebie. Rozejrzał się za gniazdkiem, by podłączyć swój laptop, ale w tym wagonie takich nie było. Miał nadzieję, że bateria komputera jest wystarczająco naładowana. Za oknem szybko przesuwały się krajobrazy w pełnym, pięknym słońcu babiego lata i Verlaque poczuł się szczęśliwy. Zaczął pisać kilka e-maili, które od dawna odkładał na później. Wtem dał się słyszeć okropny hałas. Brzmiało to tak, jakby jacyś nastolatki obrzucali pociąg kamieniami albo jakby wagony wjechały w ogrodzenie. Pasażerowie przerwali swoje zajęcia, odłożyli książki i czasopisma, zdjęli z uszu słuchawki. Hałas dał się słyszeć jeszcze przez kilka strasznych sekund. Pociąg zwolnił i w końcu całkiem się zatrzymał, a pasażerowie wydali zbiorowy jęk.

– Uderzyliśmy w coś – powiedział do siebie mężczyzna po drugiej stronie przejścia.

– Nie – odezwała się starsza kobieta. – To brzmiało bardziej, jakby ktoś rzucał czymś w pociąg. Na przykład kamieniami.

W wagonie przez chwilę panowała cisza, po czym przebiegły przez niego dwie dziewczyny, które szukały konduktora. – W naszym wagonie jest wybite okno.

Pasażerowie znowu jęknęli, nie wiedząc, jak doszło do wybicia szyby, ale zdając sobie sprawę, że to oznacza opóźnienie, może nawet kilkugodzinne. Verlaque właśnie miał napisać esemesa do Marine i dać jej znać, by zjadła kolację sama, kiedy podeszła do nich pracownica TGV – niska, gruba kobieta o sterczących, białych włosach – i z twarzą tak białą jak jej włosy.

– Uderzyliśmy w kogoś – powiedziała, opierając się ręką o tył siedzenia Verlaque’a. – Samobójstwo. Co najmniej trzy godziny

opóźnienia.

Sędzia napisał do Brunona Paulika, który wcześniej zaofiarował się, że odbierze go ze stacji TGV z Aix. Jednak, jak się okazuje, Verlaque przyjedzie bardzo późno, więc weźmie taksówkę albo zabierze się do miasta autobusem. Odchylił się do tyłu i zamknął oczy. Kilkoro pasażerów, niewzruszonych opóźnieniem, wróciło do pracy. Mieli coś do zrobienia, a tej sytuacji i tak nie dało się zaradzić. Inni przyciskali twarze do okien, próbując dostrzec krew lub rozważając możliwość wymknięcia się na papierosa. Kobieta siedząca za Verlakiem dzwoniła do domu i instruowała osobę, która odebrała telefon, co z pozostałości po wczorajszym obiedzie podgrzać dzieciom. Przypominała też, że *petit Charles* nie lubił cukinii, ale i tak miał ją zjeść.

Verlaque wyjrzał na zalany słońcem krajobraz za oknem i poczuł ciepło promieni słonecznych na rękach. Nagle ogarnęła go silna tęsknota za Marine. Zrobiło mu się smutno, nie ze względu na utrudnienia w podróży, ale z powodu desperacji, która popchnęła kogoś do targnięcia się na własne życie. Tym groziła też młodemu Verlaque'owi Monique: – Jeśli nie przyjdiesz, zrobię sobie coś strasznego. – Sędzia zamknął oczy, zły na siebie, że pozwolił, by znów powrócił do niego duch Monique. Nie myślał o niej od miesięcy.

Przybyły służby ratownicze, a pasażerowie zaczęli prowadzić rozmowy i zapraszać się nawzajem do wagonu restauracyjnego na kawę lub piwo. Dwie godziny później pociąg tkwił w tym samym miejscu, wśród płaskiego, lecz pięknego krajobrazu. Równoległe do linii kolejowej przejeżdżał traktor, Verlaque patrzył, jak unosi się za nim kurz. Zauważył, że kierowca nawet nie obrócił głowy, by zobaczyć, dlaczego wokół stojącego w polu pociągu zgromadzili się

strażacy i policjanci. Miał do wykonania dużo pracy. A być może widział już takie sytuacje? Ziemia po obu stronach torów wysadzana była drzewkami owocowymi, a rosnące tuż przy linii kolejowej żółte polne kwiaty kołysały się na wietrze.

Atak w Éguilles

Opóźniony o kilka godzin pociąg TGV wjechał na nowoczesny, wykonany z drewna i stali dworzec w Aix o dwudziestej pierwszej piętnaście. Pasażerowie, sięgając po swoje płaszcze i torby, wzdychali z ulgą.

– Życzę wszystkim wspaniałego wieczoru – zażartował mężczyzna w średnim wieku, pakując swój laptop.

– Tak, do tej pory zabawa była na medal – odparł zmęczonym głosem student, wkładając słuchawki i iPoda do obszarpanego plecaka. Kobieta, która wcześniej siedziała za Verlakiem, teraz przesuwała się wzdłuż przejścia i znów rozmawiała przez telefon. Jak się wydawało, *petit Charles* zjadł wszystkie swoje warzywa, ale teraz nie chciał położyć się do łóżka, póki *maman* nie będzie w domu.

Verlaque uśmiechnął się do starszej pani, która siedziała po przeciwnej stronie przejścia, i wpuścił ją przed siebie.

– Spotkały nas pewne niedogodności – powiedziała, podziwiając przystojnego współpasażera z ciemnymi, smutnymi oczyma. – Ale

to nic w porównaniu z tym biedakiem, który dzisiaj zakończył życie. Verlaque skinął głową.

– Tak, proszę pani, spotkały nas niedogodności, ale mamy szczęście. – Nie powiedział jej, że to było już drugie samobójstwo, z jakim spotkał się tego dnia.

– Czy pomóc pani z bagażami? – zaproponował, widząc, że kobieta ma na półce dużą brązową walizkę i reklamówkę.

– O, to bardzo miło z pańskiej strony – odpowiedziała. – Na peronie powinien czekać na mnie zięć.

Sędzia wziął walizkę starszej kobiety i wyszedł na jasno oświetlony peron. Czekał tam na oko czterdziestoletni mężczyzna, który rozłożył ramiona, by przywitać przybyłą. Ta uściskała zięcia i podziękowała Verlaque'owi. Kiedy się pożegnali, uświadomił sobie, że to pierwsza podróż TGV, podczas której zawarł jakąś znajomość. Zdał sobie sprawę, że szok wywołany samobójstwem musiał być ogromny.

Spojrzał na nocne niebo i zobaczył nad Aix księżyc w pełni. Stał tak przez kilka sekund, zastanawiając się, czy powinien powlec się na drugą stronę dworca i zejść w dół kilka biegów schodów, gdzie mógł czekać autobus, czy raczej po prostu wyjść na zewnątrz i wsiąść do jednej z taksówek czekających o kilka metrów od niego. Ale nie musiał podejmować decyzji – przez automatyczne drzwi wiodące z parkingu na perony szybkim krokiem wszedł Bruno Paulik.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział.

– Dopiero dojechałem, Bruno, z pewnością nie musiałeś po mnie przyjeżdżać. Pewnie kiedy wysłałem ci wiadomość, właśnie dojeżdżałeś do domu.

– Tak, byłem w domu, ale odebrałem telefon z Palais de Justice

i musiałem pojechać do Éguilles – odparł komisarz, otwierając przed Verlakiem drzwi do starego modelu range rovera.

– Chcę panu podziękować za to, że pojechał pan do Paryża porozmawiać z tym ekspertem od win – odezwał się Paulik, kiedy podjechał do wyjazdu z parkingu i zapłacił. – Podobnie jak Hélène i Olivier. Oboje przesyłają pozdrowienia.

– Jechałem do rodziców, bo musieliśmy dziś rano razem przejrzeć kilka dokumentów, a nasz znawca win, Hippolyte Thébaud, mieszka tuż za rogiem – odparł Verlaque. – Przekazał mi cenne informacje, w tym to, że złodziej z pewnością wróci.

Paulik jęknął. – Tego się obawiałem. Okej, ostrzegę Oliviera. – Wyjechał na autostradę i zerknął na sędziego. – Jest pan głodny? – Bruno Paulik często myślał o jedzeniu.

– Nie, niespecjalnie. Kiedy zatrzymaliśmy się na przesiadkę w Walencji, dostaliśmy specjalny posiłek w pudełkach. Zastanawiałem się, czy w środku nie znajdę zabawki.

Paulik roześmiał się.

– Musieli zorganizować przesiadkę?

– Tak. Przód pociągu był zbyt zniszczony, by jechać długi dystans. Z trudem dotarliśmy do Walencji.

– Biedny człowiek – powiedział cicho Paulik.

Verlaque skinął głową, potem zdał sobie sprawę, że komisarz został wezwany z powrotem do Palais de Justice po tym, jak już wrócił do wygodnego domu w Pertuis, dwadzieścia minut drogi z Aix.

– Więc powiedz, dlaczego musiałeś wracać do pracy i masz przez to zmarnowany wieczór?

– To między innymi dlatego po pana przyjechałem, sir – odparł Paulik. – Pomyślałem, że pana wprowadzę i wyprzedzę Roussela.

Verlaque nie skomentował tego. Nie musiał – Yves Roussel był prokuratorem miasta Aix, charakteryzującym się wielką nadaktywnością.

– Co się stało w Éguilles? – zapytał.

– Wczesnym wieczorem zgwałcono młodą kobietę – wyjaśnił Paulik. – Była bardzo pobita i napastnik ją dusił, ale przeżyła. Jest w szpitalu, walczy o życie.

– O Boże. – Verlaque ukrył twarz w dużych dłoniach i głęboko zaczerpnął powietrza. – Dziś rano świat wydawał się taki piękny – powiedział, wyglądając przez okno. – No, ale zawsze mi się taki wydaje, kiedy siedzę w parku w Paryżu.

– Nazywa się Suzanne Montmory – kontynuował Paulik. – Ma dwadzieścia osiem lat i mieszka sama w mieszkaniu w Éguilles. Najbliższa sąsiadka nie słyszała niczego oprócz swojego telewizora. Jutro przeprowadzimy kolejne przesłuchania.

– Czy to było włamanie? – zapytał Verlaque, zainteresowany nową sprawą.

– Zamek nie został uszkodzony.

– Więc może знаła sprawcę?

– Na to wygląda, większość kobiet zna gwałciiciela. Mieszkanie było zdemolowane. Wydaje się, że Mlle Montmory stoczyła z nim ciężką walkę.

– O której to się stało?

– Pomiędzy dziesięć po czwartej a wpół do ósmej wieczorem. Współpracownicy Mlle Montmory z oddziału Banque de Provence w Éguilles powiedzieli, że narzekła na chore gardło i trochę wcześniej skończyła pracę. Wyszła z banku tuż przed czwartą, a dojście do jej mieszkania zajmuje tylko dziesięć minut.

– Kto ją znalazł o tej wpół do ósmej?

– Kolega się o nią martwił i poszedł do niej sprawdzić, jak się czuje. Kilka razy zapukał, a kiedy nie otwierała, nacisnął klamkę. Drzwi były otwarte. Znalazł ją i natychmiast wezwał pogotowie.

– Sprawdź go.

Paulik westchnął.

– Dokładnie to samo powiedział Roussel, a kiedy zostawiłem ich samych, Roussel urządził temu dzieciakowi piekło.

– To dobrze.

Paulik wyglądał na zaskoczonego. Sędzia wykazywał zwykle więcej współczucia i był skłonny widzieć wszystko w szerszej perspektywie.

– Dzisiaj na każdym kroku towarzyszyła mi śmierć – powiedział Verlaque, patrząc na komisarza. – Dlaczego ten facet poszedł sprawdzić, jak się czuje koleżanka z pracy, kiedy boli ją gardło? Ludzie często chorują na gardło. Nie wierzę mu.

– Mówi, że dziewczyna mu się podoba, a chore gardło było pretekstem, by ją odwiedzić. Zamierzał zaprosić ją na obiad.

– No, w to trochę łatwiej uwierzyć. A ty co myślisz?

– Ja mu wierzę – odparł Paulik, zjeżdżając z autostrady w kierunku Aix. – Nie mógł przestać płakać. Właściwie szlochać. A potem się wkurzył. Nie panował nad emocjami. Jest absolwentem Sciences Po² w Paryżu, a to jest dopiero jego druga praca.

– Studia na prestiżowym uniwersytecie nie wykluczają popełnienia zbrodni, ale masz rację, jego reakcja emocjonalna nie pasuje do mordercy – skomentował Verlaque, kiedy wjeżdżali do centrum wzdłuż rue de la Mule Noire. Verlaque wyjrzał przez okno na złote światło ulicznych lamp, spływające na kamienne fasady w Aix. Pomyślał, że to jedyna pozytywna strona opóźnienia pociągu

– zawsze wolał wracać do domu w nocy, bo miasto wyglądało wtedy najlepiej. – Ta kobieta... – zaczął.

– Mlle Montmory – przypomniał Paulik.

– Dziękuję. Jeżeli przeżyje, rozpozna napastnika.

– Właśnie. Postawiłem dwóch oficerów na warcie w szpitalu, dwóch innych pilnuje jej mieszkania.

– Dobrze.

– Czy zawieźć pana do domu, sir? – zapytał komisarz. Dojeżdżali do rozwidlenia dróg, gdyby skręcili teraz w prawo, dojechaliby do domu sędziego, do mieszkania na czwartym piętrze z widokiem na katedrę, z kolei wybierając drogę w lewo, trafiliby do Palais de Justice.

Verlaque odwrócił się do komisarza i zapytał:

– A ty co wolisz?

– Flamant zbiera dokumentację w sprawie Mlle Montmory. Myślę, że moglibyśmy na nią zerknąć. Ale jeśli jest pan zmęczony, możemy to zrobić jutro z samego rana.

– Czy w budynku znajdzie się jakieś zimne piwo? – zapytał Verlaque.

– Tak, myślę, że zostało trochę z *pot* Flamanta.

– O, z jakiej to okazji? – zainteresował się sędzia. Nie słyszał o tej fecie, ale może dostał e-maila i nie zwrócił na niego uwagi.

– To było wczoraj. Flamant się zaręczył – odpowiedział Paulik, pokaszując. Nie był pewien, czy Antoine Verlaque został zaproszony. Być może powinien był o tym wspomnieć, ale nigdy nie miał pewności, czy inni policjanci lubili swojego szefa. Obrócił się w lewo i powiedział: – Mamy zatem coś do zrobienia. Jestem gotowy.

– Ja też. Przez tę długą podróż do domu złapałem wiatr w żagle.

A przynajmniej nie jestem wykończony tak, jak się spodziewałem.

Zaparkowali w podziemnym garażu Palais de Justice i weszli do świetlicy, by poszukać czegoś do jedzenia. Tak jak przypuszczał Paulik, w lodówce pozostały puszki piwa, a na stole w miseczkach nie całkiem zaschnięte chipsy ziemniaczane i precle. Chwycili cztery puszki oraz chipsy i precle i po schodach skierowali się w górę do gabinetu Verlaque'a. Kiedy tylko sędzia zadzwonił do Marine, by ją przeprosić, usiedli nad aktami, które Flamant przygotował i zostawił na biurku szefa.

Verlaque założył okulary i pochylił się nad biurkiem, opierając łokcie na szklanym blacie.

– To powiedz mi, co masz.

Paulik otworzył teczkę z dokumentami i zaczął czytać:

– „Mlle Suzanne Marie Montmory. Urodzona w Awinionie osiemnastego lipca 1978, co oznacza, że właśnie skończyła dwadzieścia osiem lat. Samotna, nigdy nie wyszła za mąż. Mieszka sama, żadnych zwierząt.”

Verlaque poprosił:

– Mów dalej.

– Pracuje w Banque de Provence, od kiedy osiem lat temu skończyła dwuletni college. Zatrudnił ją wtedy obecny szef, dyrektor Kamel Iachella. On jest żonaty, ma czworo dzieci i mieszka w Éguilles. Flamant zanotował tutaj, że Iachella był „w szoku” na wieść o napaści.

– Nic dziwnego, skoro to on dał Mlle Montmory pierwszą pracę – powiedział Verlaque. – Z pewnością się lubili.

– Ponieważ było późno, ustaliliśmy, że pojedziemy do Éguilles jutro rano i przesłuchamy jej kolegów i koleżanki z pracy – mówił dalej Paulik. – O dwunastej zamkną bank.

Verlaque pociągnął łyk piwa.

– A co z tym dzieciakiem, któremu ona się podoba?

Paulik przewrócił kartkę i pochylił się, by przeczytać:

– „Gustav Lapierre, dwadzieścia pięć lat, absolwent Sciences Po w Lyonie sprzed trzech lat. To jego druga posada w banku”, najwyraźniej chce się zajmować bankowością inwestycyjną.

– Wspina się po szczeblach kariery, prawda? – skomentował Verlaque. – Ale jeżeli skończył jedną z najlepszych uczelni, to co robi w przedpotopowej filii przeciętnego banku?

– Dobre pytanie – przyznał Paulik, sącząc piwo. – Jeden z moich kuzynów skończył Sciences Po i natychmiast przeniósł się do Paryża, bo dostał świetną posadę w Ministerstwie Kultury.

– Bruno, ilu ty masz kuzynów i kuzynek? – zapytał sędzieja. Bruno Paulik wychowywał się na farmie w Lubéronie i pochodził z bardzo dużej rodziny.

Paulik chwycił garść precli i zaczął jeść.

– W pierwszej linii? Tylko czterdzieści dwoje. W drugiej linii? Ponad dwieście.

Verlaque uśmiechnął się.

– Jeszcze jakieś informacje?

Paulik zajrzał na następną stronę, ostatnią w teczce.

– Nie.

– Więc skończmy na dziś. Spotkamy się w banku jutro rano?

– Tak. To w centrum Éguilles, blisko *hôtel de ville*. Tuż przed dziewiątą, dobrze?

– Świetnie.

Wrzucili puszki do kosza do segregacji odpadów obok gabinetu Verlaque’a.

– Aha, jeszcze jedno – powiedział sędzieja. – Są jakieś wieści o tej

zaginionej kobiecie?

– A tak, Mme d'Arras, miałem to panu powiedzieć. Miał pan rację, sir. Rzeczywiście była w Monoprix i zdecydowała się zafundować sobie nową fryzurę. Po wizycie w zakładzie fryzjerskim wydawała się zagubiona, więc jedna z fryzjerek odprowadziła ją do domu, gdzie czekał na nią M. d'Arras. Przepraszam, że zawracałem panu tym głowę.

– Nie przejmuj się, Bruno – odparł Verlaque, mając w pamięci wuja Brunona, Jeana.

Włożył kurtkę i zdecydował, że dzisiejszą noc spędzi u siebie. Napisał do Marine esemesa, obiecując, że zobaczą się następnego wieczoru, a on ugotuje kolację. Pomyślał o swoich kuzynach – miał ich dwóch i nie widział ich od lat, może dziesięcioleci. Jego ojciec był jedynakiem, a matka miała dwóch braci. Jeden z nich nigdy się nie ożenił, drugi był wdowcem z dwoma synami. Starszy kuzyn pracował jako kardiochirurg w Genewie, młodszy rzucił pracę nauczyciela historii w szkole średniej i mieszkał teraz gdzieś w Masywie Centralnym, hodując owce.

– Czy wszystko w porządku?

Marine uważała, że poprzedniego wieczoru dobrze ukryła przed Antoine'em rozczarowanie tym, że się nie zobaczyli. Ale nigdy nie szło jej dobrze udawanie czegokolwiek przed ojcem.

– Antoine wrócił z Paryża, ale pracuje do późna – powiedziała, odkładając słuchawkę.

Z powodu deszczu jej ojciec odwiózł matkę na próbę chóru w kościele Saint-Jean de Malte. Jego wizyta była więc nieplanowana, ale bardzo mile widziana. Marine żałowała, że nie zdarza się to częściej.

– Masz ochotę na kieliszek wina? – zapytała. – Albo ziołową herbatę? Wiem, że macie z mamą fioła na jej punkcie.

– Rzeczywiście, na starość bardzo polubiłem taką herbatę – powiedział Anatole Bonnet. – Ale chętnie dotrzymam ci towarzystwa i wypiję kieliszek wina.

– Mam w lodówce trochę sera i oliwek – zawołała Marine z kuchni.

Wróciła do pokoju dziennego, niosąc półmisek z serami: chèvre z Doliny Loary w kształcie piramidy, plasterek stiltona i saint-marcellina, który był tak płynny, że można go było podać jedynie z łyżeczką. Wyszła z powrotem do kuchni po wino i kieliszki, a kiedy wróciła, jej ojciec pochylał się nad stolikiem z nożykiem w rękę, spiesząc się, by odkroić część piramidy.

– Pouligny saint-pierre – powiedział, zaczynając kroić ser, którego wnętrze było gładkie i białe jak marmur. – Nie jadłem go od lat.

Marine uśmiechnęła się, widząc, jak jej ojciec nakłada sobie spory plaster jej ulubionego sera.

– Na rue d'Italie jest nowy sklep z serami – oznajmiła. – Właściciel pracował przez dwadzieścia lat w zaawansowanych technologiach i wszystko to rzucił, by realizować swoje pasje. – Pomyślała, że jeśli powie ojcu, gdzie jest ten sklep, może pójdzie i kupi jakieś sery dla siebie. Zakupy spożywcze zawsze robiła matka, choć także pracowała zawodowo. Kupowała jedzenie, kierując się ceną i wygodą, a nie smakiem i jakością. Ale to ojciec, pracujący jako lekarz rodzinny, był w rodzinie smakoszem. To była jedna z rzeczy, które dzielił z Antoine'em Verlakiem.

Doktor Bonnet, jakby czytał w jej myślach, zapytał:

– Jak się ma Antoine?

Marine nie była zaskoczona tym, że ojciec zadał to pytanie dokładnie w czasie, gdy ona pomyślała o Verlaque'u. Taka telepatia przydarzała im się nieustannie.

– Zapracowany – odrzekła. – W Domaine Beauclaire doszło do kradzieży wina. Nie wiem, co zdarzyło się dzisiaj, ale sądząc z jego głosu, to coś poważnego.

Ojciec szybko ugryzł kawałek sera saint-marcellin, zanim ten spłynął z chleba.

– Lubię Antoine'a – zakomunikował tak zwyczajnie, jakby mówił o tym, że lubi ser.

Marine poczuła, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi. Opinia ojca bardzo wiele dla niej znaczyła.

– Cieszę się – powiedziała, starając się, by brzmiało to równie zwyczajnie.

– Ktoś, kto doprowadził twoją *maman* do takiego śmiechu, jak on tamtego wieczoru, musi być w porządku.

Marine roześmiała się, przypomniawszy sobie, jak bardzo obawiała się w zeszłym tygodniu, że rodzinny obiad okaże się krępujący. Antoine był gospodarzem, razem z Marine ugotowali golonkę baranią i wieczór był bardzo udany. Może nie była to oszałamiająca zabawa, ale naprawdę mogli sobie pogratulować.

– Nie byłam pewna, jak mama przyjmie ten dowcip na tematy religijne – powiedziała Marine. Mme Bonnet była emerytowaną wykładowczynią teologii.

– Och, twoja matka uwielbia te dowcipy z księdzem, rabinem i imamem lecącymi jednym samolotem. – Pociągnął łyk wina i cmoknął z rozkoszy. – Co pijemy?

– Burgund z Givry – wyjaśniła Marine. – Smakuje ci?

Anatole Bonnet kolejny raz popił trochę trunku.

– Jeszcze sprawdzam – powiedział z uśmiechem. – Jest bardzo dobre. Gdzie je kupiłaś?

– Antoine zamawia je od kupca winnego, w skrzynkach – odparła Marine.

– Coś takiego – zdziwił się ojciec. – Czy sądzisz, że mógłby zamówić dla mnie skrzynkę przy kolejnym zakupie?

– Oczywiście. – Marine przyjęła to jego nowe zainteresowanie dobrymi winami za kolejny dowód, że jej rodzice – a przynajmniej ojciec – akceptują Antoine’a.

– A jak twoja przyjaciółka Sylvie? – zapytał doktor Bonnet.

– Świetnie. Właśnie dzwoniła z Megève. Już się tam ochłodziło, mówiła, że wrócą tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego.

– Tuż przed rozpoczęciem? – upewniał się. – Biedna Charlotte będzie przecież potrzebowała więcej czasu, by się przygotować...

– Papa – powiedziała Marine ostrzegawczo – one są do tego przyzwyczajone. Wolą jak najdłużej zostać w Alpach z rodzicami Sylvie i jej rodzeństwem...

– Ale bez ojca Charlotte...

– Papa! – Marine zagryzła wargi, by nie okazać złości. Jej najlepsza przyjaciółka, Sylvie, była fotograficzką i historyczką sztuki oraz samotną matką dziewięcioletniej Charlotte – chrześnicy Marine.

Anatole Bonnet zdał sobie sprawę, że przesadził, więc wskazał na stilton.

– A to co za ser? Nie przypomina żadnego sera pleśniowego, jaki znam.

– Stilton – wyjaśniła Marine. I zanim zdążył zaprotestować, uniosła rękę. – Spróbuj.

6

Zrozumieć Prowansję

Jules Schoelcher już drugi raz próbował zamknąć drzwi samochodu.

– *Scheiße* – szepnął, usiłując zatrzasać drzwi jedną ręką, bo w drugiej trzymał swoją policyjną czapkę.

Roger, jego partner tego dnia, spojrzał na niego i się roześmiał.

– To tylko mistral – powiedział. – Schłodzi powietrze.

Jules wzruszył ramionami, siłąc się na uśmiech, ale tak naprawdę tęsknił za domem. Jak dwudziestosiedmioletni oficer mógł się do tego przyznać? Kiedy zgłosił się do pracy w policji, wiedział, że może zostać wysłany w każde miejsce Francji, ale nie przewidział, że będzie to tragicznie gorący rejon, w którym temperatura przekracza trzydzieści stopni nawet we wrześniu. Przynajmniej ten wiatr – mistral, jak go nazywają – trochę pomaga. Ale nie mógł znieść Prowansji, wiatru, suchej gorączki i kolegów z ich serdecznymi uściskami i *bise* (prawdziwi mężczyźni w Alzacji nie wymieniali się pocałunkami, jeśli nie byli spokrewnieni). A te ich bezustanne wyświechtane prowansalskie

żarty i głośny śmiech! Wszystko tu było „*mon ami*” to i „*mon pote*” tamto. Czy nie mogło tu nigdy być spokojnie? Alzaccyzy nie musieli czekać, kiedy mówili, i nie czuli potrzeby, by zachowywać się najgłośniej w towarzystwie. Nie wpychali się przed innych w kolejkach, co Jules widział tutaj dziesiątki razy na poczcie i w banku. Ludzie na południu nie respektowali kolejek, a właściwie to one nie istniały, ludzie ustawiali się raczej w bezładne grupki, jak gdyby nie potrafili stanąć w prostej linii. A co robili Prowansalczyzy, jeśli otwarte były dwa bankomaty obok siebie albo dwa okienka na poczcie? Nie formowali jednej kolejki na środku, tak jak w Kolmarze czy Strasburgu, lecz ustawiali się w dwie, po czym przesuwali się do tyłu i do przodu, dopóki nie wysunęli się na początek.

Jules podbiegł do drzwi szpitala i otworzył je przed Rogerem, który niespiesznie przechodził przez parking, uśmiechając się jak idiota.

– Wyluzuj – powiedział, wyjmując z kieszeni paczkę papierosów.
– Przyjechaliśmy dziesięć minut przed czasem. Pora na dymka.

– Śmiało. Pal tego swojego szluga – powiedział Jules.

Roger roześmiał się głośno. Nie pamiętał, by ktoś mówił o papierosach „szluga”, od kiedy chodził do piątej klasy szkoły podstawowej. Uświadomił sobie, że właśnie wtedy zaczął palić.

– Hej, Jules, czy kiedykolwiek opowiadałem o tym, jak poszliśmy na wagary i wypłynęliśmy w morze z rybakami?

Jules westchnął.

– Nie, ale chętnie o tym posłucham. Innym razem. Założę się, że złapaliście taką wielką rybę. – Rozłożył ręce na odległość metra.

– Tak, była mniej więcej taka! – odparł Roger. – Ale teraz Morze Śródziemne jest wytrzebione prawie do czysta, już nie ma takich

dużych ryb.

Jules roześmiał się, nie wierząc, że tak łatwo udało mu się nabrać Marsylczyka na taką starą sztuczkę. Francuzi naśmiewali się z Prowansalczyków, zwłaszcza tych z Marsylii, z powodu ich skłonności do przesady. Dwudziestocentymetrowa ryba zamieniała się w metrową, wiatr wiał z prędkością nie pięćdziesięciu pięciu, tylko dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Jules pomachał Rogerowi i wszedł na wyłożone tanim linoleum szpitalne schody, wciąż śmiejąc się pod nosem. No cóż, Roger może się spóźnić, jeśli chce – to typowe dla południowców zawsze przychodzących o pięć, dziesięć minut za późno, nawet do pracy – ale on będzie na czas.

Roger z kolei patrzył na Jules'a wskakującego po schodach.

– Co za palant – mruknął. Zapalił papierosa i uśmiechnął się do przechodzącej pielęgniarki. We wtorek na przyjęciu Alaina Flamanta Jules prawie z nikim nie rozmawiał, z wyjątkiem kilku policjantek i sekretarek. Roger słyszał, jak Alzatczyk mówił, że nie pije *pastis*, lubi wyłącznie białe wino, najbardziej riesling. Większość oficerów przed przyjęciem przebrała się w cywilne ciuchy i jeden z nich szturchnął Rogera w bok, wskazując na dzinsy Jules'a – z kantami i dwiema dużymi zaprasowanymi zaszewkami po każdej stronie. Posypały się dowcipy o prasowaniu, dopóki nikt już nie chciał słuchać Rogera i jego kolegi, zatem ci dwaj dolali sobie *pastis* i pocieszali się nawzajem z powodu złej passy marsylskiej drużyny piłki nożnej.

Jules także myślał o tamtej chwili, idąc jasno oświetlonym korytarzem w kierunku pokoju Mlle Montmory. Słyszał wtedy te dowcipy i wiedział, że dotyczą jego dzinsów. Jednak żaden z innych policjantów nie zwracał na nie uwagi, a komisarz Paulik nawet uśmiechnął się do Jules'a i wznosił oczy ku niebu.

Jules zobaczył oficera Flamanta, który stał na końcu korytarza i rozmawiał z rudowłosym policjantem znanym Alzarczykowi tylko z widzenia. Ten żółtodziób zawsze wydawał się zdenerwowany i chciał wszystkich zadowolić. W przeciwieństwie do Rogera, palącego teraz na dole papierosa, ciężko pracował. Jules podszedł do obu mężczyzn i kiedy wymienili uściski dłoni, dowiedział się od nich, że Mlle Montmory jest w stanie krytycznym i że tylko pracownicy szpitala posiadający plakietki mogą wchodzić do jej pokoju. Późnym popołudniem będą mogli odwiedzić ją rodzice. Flamant miał ich fotografię i przekazał ją Jules'owi.

– Gdzie Roger? – zapytał Flamant.

– Za chwilę przyjdzie. Uhm... zapomniał czegoś z samochodu.

Z pokoju Mlle Montmory wyszedł lekarz w białym fartuchu i zatrzymał się, widząc policjantów.

– Dzień dobry – wyciągnął do nich rękę. – Jestem doktor Charnay. Cieszę się, że pokój pacjentki jest dobrze strzeżony.

Jules przeczytał nazwisko lekarza i uważnie przyglądał się jego twarzy. Starał się zapamiętać pracowników szpitala, którzy odwiedzali pokój Mlle Montmory.

– Jestem specjalistą – powiedział lekarz, dostrzegając zainteresowanie policjanta. – Miłego wieczoru – dodał, zerkając na zegarek. – Mam nadzieję, że nie będzie on nudny. Zawsze możecie pozawracać głowę pielęgniarkom – zakończył ze śmiechem.

– Dobranoc, doktorze – pożegnał go Flamant.

Lekarz pomachał im dłonią i powiedział coś do pielęgniarek. Jules zauważył, że jedna z nich wzniosła oczy do nieba i weszła z powrotem na oddział. Nagle pojawił się Roger, od którego czuć było woń papierosów, a Flamant westchnął i powtórzył to, co przed chwilą powiedział Jules'owi.

– Kończycie służbę o siedemnastej – poinformował obu kolegów.
– Nie muszę mówić, że zmieniacie się, kiedy któryś z was chce coś zjeść, czy też wychodzi z jakiegoś innego powodu. Tutaj zawsze ma ktoś być.

Młody rudy policjant zaczął kołysać się z nogi na nogę i Flamant pomyślał, że pewnie chce iść do toalety.

– Możesz już iść – powiedział. – Wyśpij się i do zobaczenia jutro.

Roger roześmiał się, kiedy żółtodziób popędził korytarzem.

– Czy dzisiaj wpadnie komisarz Paulik? – zapytał.

– Chyba tak – odparł Flamant. – Teraz jest w banku i przesłuchuje pracowników. Może przyjść z sędzią Verlakiem.

– Ach! – jęknął Roger. – Chryste!

– Słucham?

– Dobrze, że nie był na twoim *pot*, co, Alain? – kontynuował Roger, poklepując Flamanta po ramieniu.

Jules przypatrywał mu się z niedowierzaniem. Nie spotkał jeszcze sędziego, ale nie mógł uwierzyć, że kolega w taki sposób wyraża się o przełożonym.

– Wystarczy – odezwał się Flamant. – Uważaj na to, co mówisz, Roger.

Pożegnał się z dwoma policjantami i szedł korytarzem, myśląc o narzeczonej, z którą miał się spotkać tego wieczoru, i o sędzim Verlaque'u. Co tak irytowało w nim innych? Czy naprawdę był takim snobem? Nie był na jego *pot*, ale przecież nie został zaproszony. Flamant źle się z tym czuł, nie chciał przecież nikogo pominąć. Stał u szczytu schodów i spojrzał z powrotem na korytarz, pomalowany na kolor, który zawsze kojarzył mu się ze szpitalami – miętowo-zielony. Widział tam policjanta z Alzacji, stojącego na baczność przed drzwiami Mlle Montmory, a także

Rogera, znanego w Palais de Justice ze swej brawury i dowcipów, a teraz zajętego rozmową z pielęgniarkami w recepcji. Flamant westchnął i zbiegł w dół, spiesząc się do Palais de Justice, by zbierać dalsze informacje na temat sprawy. Chciał znaleźć coś o życiu Mlle Montmory, co rzuciłoby światło na sam atak i na napastnika.

Place Gabriel Payeur w Équilles, przy którym mieścił się zarówno ratusz, jak i kościół, zawsze się Verlaque'owi podobał. Z jego obrzeży rozciągał się wspaniały widok na wschód – cyprysy były rozrzucone po winnicach tak jak w Toskanii i pomyślał, że to miejsce, a zwłaszcza ten rozciągający się przed nim krajobraz, przywodzi mu na myśl Cortonę. Odwrócił się i spojrzał na imponujący czterokondygnacyjny ratusz, wybudowany z jasnego kamienia w okresie renesansu dla bogatej miejscowej rodziny. Wydawał się za duży na *mairie* w miasteczku liczącym zaledwie osiem tysięcy mieszkańców i dominował nad sąsiadującym z nim kościołem.

Za rogiem znajdował się Banque Populaire, Verlaque minął go w drodze do centrum, ale zaparkował na placu, by móc podziwiać widok. Teraz skierował się do banku, pochylając głowę pod naporem mistralu. Kiedy znów spojrzał przed siebie, zobaczył Brunona Paulika, który właśnie zamykał drzwi swojego range rovera.

– *Salut*, Bruno – powiedział Verlaque.

– Dzień dobry – odpowiedział komisarz. – *Merde ce vent!*

– Nigdy się do niego nie przyzwyczaiłeś?

– Nigdy – zawołał Paulik, przekrzykując mistral. – A przecież tutaj się urodziłem! Wczoraj wieczorem rozmawiałem z Olivierem

Bonnardem i przekazałem mu informacje od pańskiego znawcy win... pańskiego kontaktu. Olivier zabrał z haczyka klucz od piwnic i trzyma go cały czas przy sobie. Wraz z synem inwentaryzuje też wina.

– Inwentaryzacja to dobry pomysł, ale złodziej mógł wziąć odcisk klucza, aby go dorobić.

– Wiem, to samo mu powiedziałem.

– Czy w Puyricard lub Rognes jest ktoś, kto dorabia klucze? – zapytał Verlaque, kiedy przechodzili przez ulicę.

– Niestety nie – odparł Paulik. – A pewnie taki rzemieślnik w małym miasteczku mógłby pamiętać twarz klienta.

– No cóż, z pewnością jest około tuzina takich punktów usługowych w Aix, ale ponieważ musimy zająć się przypadkiem usiłowania morderstwa, nie możemy skierować ludzi, by rozmawiali z nimi wszystkimi.

Paulik skinął głową i rzekł:

– Oczywiście.

Dotarli do drzwi wejściowych banku, metalowe żaluzje zostały opuszczone. Przyklejona była do nich informacja: „Z przykrością informujemy klientów, że w związku z próbą zamordowania jednej z naszych pracownic, bank będzie dziś rano zamknięty. Otworzymy go ponownie o czternastej”.

– O rany – powiedział Paulik, odwracając się do Verlaque’a. – To bardzo bezpośrednio.

– Rzeczywiście. Przejdźmy do tylnych drzwi, skoro na nas czekają.

Przeszli wzdłuż bocznej ściany budynku i pomachali kobiecie, którą zobaczyli przez okno, a ta wskazała im tylne wejście do banku. Kiedy podeszli, otworzyła drzwi i zaprowadziła ich do

środka.

– Nie mogliśmy otworzyć frontowego wejścia, bo zaraz pojawiłby się tam tłumek klientów. Jestem Charlotte Liotta, zastępca dyrektora.

Wyciągnęła rękę i uściśnięła dłonie mężczyzn. Była po pięćdziesiątce, i miała na sobie pogniecioną różową jedwabną bluzkę oraz szare poliestrowe spodnium. Jej włosom przydałoby się kolejne farbowanie – przy skórze widoczne były ponad centymetrowe odrosty, przechodzące w jasnorude loki. Verlaque wyobraził sobie, że Charlotte Liotta matkuje innym pracownikom, robi im herbatę czy kawę, kiedy źle się czują albo bardzo z czymś spieszą. Uświadomił sobie, że nie mają nikogo takiego w Palais de Justice. Mme Girard uważałaby, że wykonywanie takich zadań jest poniżej jej godności.

Mme Liotta ruszyła szybko korytarzem, minęli kilka biur z otwartymi drzwiami oraz bardzo zabałaganioną kuchenkę. Zerknęła na nią i, nie zwalniając, rzuciła przez ramię:

– Przepraszam za ten nieład, wszyscy jesteśmy w szoku. Ale pewnie widzieli panowie gorsze rzeczy. – Zatrzymała się i obróciła w ich stronę. – Mam na myśli w pracy. Nie w domach.

Weszli do małego holu, gdzie zgromadzili się pozostali pracownicy. Niektórzy siedzieli i pili kawę, inni chodzili po pomieszczeniu. Verlaque szybko ich policzył, było tam, razem z Mme Liottą, pięć osób.

– Uwaga wszyscy, posłuchajcie. Są tutaj sędzia śledczy i komisarz, by z nami porozmawiać. To potrwa do popołudnia, bank otworzymy dokładnie o czternastej. – Położyła ręce na szerokich biodrach i skinęła głową w kierunku Paulika.

– Dziękuję, Mme Liotta. Jestem komisarz Paulik, a to sędzia

Verlaque. To, co się stało ostatniego wieczoru, było niewyobrażalne i teraz musimy postarać się znaleźć każdy ślad, każdy powód, z jakiego mogło to się przytrafić Mlle Montmory. Będziemy...

– Czy ona wyzdrowieje? – wtrącił się młody człowiek łamiącym się głosem.

– Jest w stanie krytycznym. Ale lekarz, z którym dziś rano rozmawiałem, był dobrej myśli.

Cała grupa odetchnęła z ulgą, a siwowłosa mężczyzna pochodzący z północnej Afryki, który chodził w tę i z powrotem, otarł sobie czoło chusteczką.

– Zdeptując dywan, nie pomożesz Suzanne, Kamelu – zwróciła się do niego Mme Liotta.

– Pan jest M. Iachella, dyrektor oddziału? – zapytał Verlaque.

– Tak. Przepraszam bardzo – powiedział mężczyzna, przechodząc przez hol, by uścisnąć dłonie Verlaque'owi i Paulikowi. – Jestem kompletnie wytrącony z równowagi. Wybaczcie mi, panowie.

– Przyniosę ci herbaty, Kamelu, z cytryną i miodem – zaoferowała Mme Liotta. Verlaque ucieszył się, że prawidłowo rozpoznał opiekuńczą naturę kobiety.

Paulik mówił dalej:

– Porozmawiamy najpierw wszyscy razem, następnie przeprowadzimy indywidualne przesłuchania z każdym z państwa. Chciałbym zacząć od pytania, czy w ostatnim tygodniu Mlle Montmory powiedziała komukolwiek coś o swoim życiu prywatnym. To może być cokolwiek... Jakiegokolwiek troski, które mogły ją trapić, kłopoty z chłopakiem, takie rzeczy.

Pracownicy banku patrzyli po sobie, dopóki młoda kobieta w ciasnej, krótkiej spódniczce nie wystąpiła do przodu.

– Suzanne była bardzo cicha. Nigdy nie mówiła o swoim życiu

osobistym i nigdy nie wychodziła razem z nami, prawda? – Kobieta rozejrzała się po współpracownikach, którzy przytaknęli.

– To dlatego, że nie byłaś dla niej miła, Sharon – odezwał się młody człowiek.

– To nieprawda, Gustavie! – odparowała. – Przepraszam, panowie. Jestem Sharon Pallard. Sharon, tak jak Sharon Stone.

Verlaque był wdzięczny Paulikowi, że podszedł do niej, by się przywitać, bo tym sposobem szerokie ramiona komisarza przesłoniły uśmiech sędziego. Chociaż bowiem Mlle Pallard nosiła krótką spódniczkę, czarne włosy miała związane w koński ogon, a szerokie usta pomalowane jasnoczerwoną szminką, to jednak niewiele ją łączyło, przynajmniej fizycznie, ze słynną aktorką.

– Mlle Pallard, dlaczego według pani Mlle Montmory była cicha?

Młoda kobieta obciągnęła spódnicę i wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, to chyba nieśmiałość. A może uważała, że jest od nas lepsza?

– Przecież ona żyje, przestańcie mówić o niej w czasie przeszłym. Jestem Gustav Lapierre – zwrócił się do Verlaque'a młody mężczyzna. – Suzanne nie jest snobką. Po prostu nie miesza życia prywatnego z pracą.

– To pan ją znalazł, prawda? – Verlaque zapytał Lapierre'a. Mężczyzna miał na sobie wyprasowany garnitur, koszulę i krawat. Wyglądał za młodo na pracownika banku, ale sędzia przypomniał sobie, że niedawno ukończył on Sciences Po.

– Tak – potwierdził Lapierre, patrząc w dół na zniszczoną wykładzinę. – Wczoraj wieczorem byłem w Palais de Justice.

– Dobrze. Porozmawiamy o tym później na osobności – powiedział Verlaque. – Kto znał Mlle Montmory najdłużej?

Kamel Iachella i Charlotte Liotta podnieśli ręce.

– My, a właściwie Kamel, zatrudnił Suzanne, ale ja już tu wtedy pracowałam – odezwała się Mme Liotta, która właśnie weszła do pokoju z herbatą dla swojego szefa. – Pracuję tutaj od prawie dwudziestu lat.

– To prawda – potwierdził M. Iachella. – Suzanne zaczęła tu pracę kilka miesięcy później niż ja, tuż po ukończeniu studiów w zakresie finansów. Była pierwszą osobą, którą zatrudniłem.

– Czy pochodzi z Éguilles?

– Wychowała się w Aix – odparł M. Iachella. – Więc była zachwycona, że znalazła pełnoetatową pracę tak blisko, w Éguilles.

– A czy ma w Aix rodzinę i przyjaciół?

– Tak, na pewno rodzinę – odpowiedziała Mme Liotta za M. Iachellę, który usiadł i znów pocierał brwi. – Jej rodzice mieszkają w centrum, w północnej części. Ma też brata i siostrę, oboje starsi, brat żonaty, siostra zamężna. Ale jeszcze nie ma siostrzeńców ani bratanków. – Mme Liotta rozejrzała się po współpracownikach, a Gustav Lapierre przewrócił oczyma.

– Nie ma chłopaka? – zapytał Paulik.

– Nie – odparła Mme Liotta.

– Tak, to prawda – potwierdził Gustav Lapierre. – Tak mi powiedziała.

Sharon Pallard zarechotała.

– Sharon! Uspokój się! – upomniała ją Mme Liotta.

Verlaque spojrział na Paulika rozdrażniony, a ten powiedział:

– Być może indywidualne przesłuchania więcej nam wyjaśnią. Zaczniemy od razu. Na początek M. Lapierre, a później porozmawiamy z każdym z państwa. Gdzie możemy przeprowadzić rozmowy?

– W moim gabinecie – zaoferowała Mme Liotta. – Już go

przygotowałam. Czy podać kawę?

– Tak, proszę – jednogłośnie odpowiedzieli Verlaque i Paulik.

Weszli razem z Gustavem Lapierre'em do wskazanego gabinetu i zamknęli drzwi. Verlaque usiadł w fotelu Mme Liotty, dwaj pozostali mężczyźni zajęli miejsca naprzeciwko.

– Wiem, że komisarza Paulika poznał pan wczoraj wieczorem.

– Tak – potwierdził Lapierre.

– Przepraszam, ale muszę znów pytać pana o to, co stało się wcześniej wczorajszego wieczoru. Rozumiem, że to dla pana co najmniej traumatyczne.

Lapierre skinął głową, a oczy wypełniły mu się łzami. Verlaque zerknął na biurko i zobaczył pudełko chusteczek. Zastanawiał się, czy Mme Liotta położyła je tam specjalnie na czas przesłuchań, czy zawsze tam stało.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem. „Traumatyczne” to nie dość mocne słowo – odparł Lapierre. – Bardziej pasuje „wstrząsające”.

Verlaque wpatrywał się w młodego mężczyznę z podziwem.

– Czy jest tam domofon? – zapytał.

– Tak. Dzwoniłem, ale oczywiście nikt nie odpowiadał. Miałem już odejść, kiedy sąsiadka Suzanne przyszła z pracy i mnie wpuściła.

– Która była godzina? – chciał wiedzieć Paulik.

– Tuż przed wpół do ósmej. Wyszedłem z banku około wpół do siódmej, w tym samym czasie co M. Iachella, i wypłem piwo w barze naprzeciwko. – Dla kurażu.

Verlaque spojrzał na Paulika, który kiwał głową i robił notatki. Napastnika mogła także wpuścić sąsiadka. Niestety żadne z sąsiadów niczego nie słyszało.

– Ten zbir mógł dostać się do budynku podobnie jak ja, a może znał Suzanne i ona mu otworzyła – powiedział Lapierre. – Właśnie mi to przyszło do głowy.

– To prawda – odparł Verlaque. – Proszę mi opowiedzieć o Suzanne. Wydaje się, że dobrze ją pan znał i darzył szacunkiem.

– Tak jak powiedziałem wczoraj wieczorem – rzekł Lapierre, patrząc w kierunku Paulika – szedłem do niej nie tyle zapytać o jej zdrowie – bo to było tylko chore gardło – ile zaprosić ją na obiad. W pracy to było raczej niemożliwe. Zauważyli panowie tę atmosferę... z Mme Liottą niańczącą nas i z Sharon – primadonną w jej tandetnych krótkich spódniczkach...

Verlaque i Paulik odnotowali niechęć Lapierre'a do krótkich spódniczek Sharon.

Lapierre sięgnął przez biurko, wziął chusteczkę i wydmuchał nos.

– Im więcej pracowałem z Suzanne, tym bardziej mi się podobała. Miała w sobie coś tajemniczego, nie tak jak inne dziewczyny, które spotkałem. Była ładna i nosiła modne ciuchy, ale mówiła o robieniu na drutach i o tych kostiumowych filmach w telewizji, które tak lubi oglądać moja mama. Była inna, rozumiecie?

Mężczyźni potaknęli. Obaj związali się z kobietami, które Gustav Lapierre uważałby za „inne”, a nawet „tajemnicze”. Verlaque pomyślał o Marine, zwiniętej na sofie ze szklaneczką jęczmiennej whisky, pogrążonej w lekturze pamiętników Jeana-Paula Sartre'a. Paulik miał przed oczyma Hélène w niebieskim bawełnianym kombinezonie, jakie nosili rolnicy na całym świecie. Klęczała na skalistej ziemi Domaine Beauclair i przycinała próbki z winorośli, po czym przynosiła je do domu i codziennie oglądała.

– Sprawdzam je pod kątem pasożytów – mówiła mężowi. – Kiedy

jest więcej czarnych pajęczków, życie jest piękne. Ale gdy zbyt wiele czerwonych, musimy spryskiwać.

– Proszę mówić dalej – powiedział Verlaque, odchylając się na oparcie obrotowego krzesła Mme Liotty.

– Więc... Szedłem do niej zaprosić ją na randkę, to wszystko. Ale mogę teraz panom powiedzieć, zanim powie to panom policjant, z którym rozmawiałem wczoraj...

– Prokurator Roussel? – upewniał się Paulik.

– Tak, on. Zapytał mnie, skąd wiedziałem, gdzie mieszka Suzanne. Mogłem sprawdzić jej adres tutaj, w banku, ale w zeszłym tygodniu któregoś dnia szedłem za nią do jej domu. Byłem ciekaw.

Verlaque i Paulik spojrzeli na siebie. Pierwszy uniósł brwi, drugi robił notatki.

– A kiedy znalazł ją pan wczoraj wieczorem? – zapytał Verlaque.

– Niczego nie dotykałem – odparł Lapierre. – Widziałem wystarczająco wiele kryminałów, by wiedzieć, że nie powinienem tego robić, widziałem też, że Suzanne ma poważne obrażenia. Natychmiast wyciągnąłem z kieszeni telefon i zadzwoniłem na pogotowie. Ona wyglądała strasznie.

Gustav Lapierre skrzyżował ramiona wokół talii, pochylił się i zaczął szlochać. Paulik spojrział na Verlaque'a – sędzia podniósł ręce na głowę, potarł swoje gęste czarne włosy i milczał.

Babka cytrynowa

Kamel Iachella, choć nie płakał, wydawał się tak samo roztrzęsiony jak Gustav Lapierre. Miał podkrążone, wypełnione łzami oczy i kiedy usiadł naprzeciwko Verlaque'a, przysunął do siebie pudełko chusteczek Mme Liotty.

– Przykro mi, że spotykają panowie mnie i moich wspaniałych pracowników w takich okolicznościach – powiedział cicho.

– Mnie też jest przykro – odparł Verlaque. – Wydaje się, że Mlle Montmory jest spokojną, delikatną młodą kobietą.

– Tak. Podczas naszej pierwszej rozmowy mówiła tak cicho, że musiałem poprosić ją, by mówiła głośniej. Ale widziałem, że jest zdolna.

– Czy wie pan coś o jej życiu osobistym? – zapytał sędzia.

– Nic więcej ponad to, co powiedział panom Gustav. Wiem, że jej rodzice i rodzeństwo mieszkają w Aix. Powinienem był więcej o niej wiedzieć. Źle się z tym czuję, zwłaszcza teraz.

– Rozumiem – rzekł Verlaque. – Czy ostatnio wydawała się zdenerwowana? Źle się czuła?

Iachella kręcił głową na boki, wydawał się zaskoczony.

– Może to był błąd, ale jako dyrektor bardziej zajmowałem się pracownikami, którzy mieli problemy lub wydawali się niezadowoleni. Cisi, pracownicy członkowie personelu po prostu sobie radzili, nieprawdaż?

Zarówno Paulik, jak i Verlaque uśmiechnęli się.

– A ten dzień, kiedy wyszła wcześniej? – zapytał sędzia. – Był zwyczajny?

– Tak, zachowywała się normalnie – odpowiedział Iachella. – W ciągu dnia wszyscy słyszeliśmy, że traci głos. Mme Liotta martwiła się, że to zapalenie zatok, i około czwartej wysłała ją do domu.

Verlaque pomyślał, że skoro traciła głos, to nie była w stanie wzywać pomocy. Zespół policjantów przesłuchiwał teraz mieszkańców trzypiętrowego budynku, w którym mieszkała Mlle Montmory. Może ktoś z nich bezwiednie wpuścił napastnika?

– O której pozostali pracownicy opuścili bank? – chciał wiedzieć sędzia.

– Zamykamy o osiemnastej i zazwyczaj wszystko porządkujemy – mam na myśli transakcje finansowe, a nie porządki w biurze – do wpół do siódmej. Wyszedłem właśnie o tej godzinie, z Gustavem. Inni opuścili bank przed nami, pomiędzy szóstą a wpół do siódmej.

– Dziękuję. To wszystko.

– Będą nas panowie informowali? – zapytał Iachella, wciąż z załzawionymi oczyma. – Mme Liotta próbowała dzwonić do szpitala dziś rano, ale nie udzielili jej żadnych informacji.

– Takie otrzymali instrukcje – wyjaśnił Verlaque. – Oczywiście będziemy państwa informować. Do widzenia. Proszę przysłać teraz Mme Liottę.

Kiedy Iachella cicho wyszedł z pokoju, Paulik zwrócił się do

sędziego:

– Napastnik musiał znać jej godziny pracy. Ale jeśli nie pracował tutaj, nie wiedział, że wychodzi ona wcześniej niż zwykle. Więc myślę, że atak miał miejsce bliżej wpół do ósmej.

– Ja też – odpowiedział Verlaque. – Jeżeli codziennie wychodziła z banku pomiędzy szóstą a szóstą trzydzieści i dziesięć minut szła do domu, to on mógł już na nią czekać. Z tym że to ryzykowne atakować tak w świetle dnia, prawda? Dlaczego nie poczekał do wieczora, żeby nikt nie zobaczył go, jak wchodzi do budynku?

– Ma rodzinę? – zasugerował Paulik. – Albo pracuje nocami?

– Albo nie martwił się tym, że ktokolwiek go zobaczy? – zastanawiał się Verlaque. – Bo jest szanowanym obywatelem, w garniturze i pod krawatem. Nikt się go nie obawia.

– Bankier?

– Albo każdy inny profesjonalista. Przystojny. Atrakcyjni ludzie mają łatwiej w życiu. Ludzie im bardziej ufają.

Paulik przytaknął. Jego łysą głowę pokrywały blizny, miał kartoflowaty nos, a jedno ucho zaczynało przypominać kalafior po zbyt licznych młynach podczas grania w rugby. Spojrzał przez biurko na Verlaque'a, którego, choć nie był klasycznie przystojny, kobiety uważały za atrakcyjnego.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła Mme Liotta z tacą w rękach.

– To zabawne pukać do własnego gabinetu – powiedziała, stawiając tacę z trzema filiżankami kawy, cukiernicą i trzema kawałkami ciasta. – Wczoraj wieczorem, kiedy Kamel zadzwonił do mnie z wiadomością o ataku na Suzanne, upiekłam ciasto cytrynowe. Musiałam się czymś zająć. – Uśmiechając się, podała każdemu z mężczyzn kawę i kawałek ciasta, nie pytając, czy sobie

tego życzą. Kiedy usiadła, przybrała poważniejszy wyraz twarzy – wypełniła już obowiązek matki.

– Niewiele wiem o życiu prywatnym Suzanne – zaczęła niepytana. – Ale wiem, że jakieś dwa lata temu spotykała się z młodym człowiekiem z Aix. Jak sądzę, to zaczęło być poważne, przynajmniej ze strony Suzanne, dopóki on się nie zabrał i nie wyjechał.

– Wyjechał? – zapytał Verlaque.

– Tak, do Montrealu. Prawie bez uprzedzenia. Suzanne powiedziała mi o tym któregoś ranka, kiedy ją posadziłam i zrobiłam jej kawę. Widziałam, że płakała.

– Nie mógł ot tak przeprowadzić się do Montrealu – skomentował Verlaque. – Trzeba kilku miesięcy, może nawet roku, by załatwić formalności związane z imigracją.

Mme Liotta skinęła głową.

– No właśnie. Musiał wykonać całą papierkową robotę wcześniej, w tajemnicy przed Suzanne. Ona sama uważała, że on ją wykorzystuje. – Pochyliła się i szepnęła: – Do własnych celów.

– Co pani ma na myśli? – chciał wiedzieć sędzia. – Chodziło o seks?

– O nie – odparła Mme Liotta. – Suzanne powiedziała mi, że chodził z nią, by zrobić wrażenie na swojej rodzinie. Płakała w moich ramionach, mówiąc, że spotyka się z nią tylko po to, by mieć uroczą partnerkę na dwa wesela tamtego lata.

– Czy rozstali się pokojowo? – zapytał Verlaque.

– Nie – odpowiedziała Mme Liotta. – Kłócili się, jak powiedziała mi Suzanne. W głębokiej tajemnicy wyznała mi też, że on był dziwny... w łóżku...

Verlaque zerknął na Paulika, który zapisywał coś w notatniku.

Kobieta siedziała teraz odchyłona do tyłu i jadła ciasto, unosząc brwi w zachwycie nad jego smakiem.

– Czy pamięta pani, jak się nazywał? – dopytywał sędzia.

– Na imię miał Edmond. Niezwykłe, staroświeckie imię. Burżuazyjne. Może ktoś z jej rodziny pamięta nazwisko? Wiem, że pracował w logistyce na marsylskim lotnisku. Suzanne powiedziała, że Kanadyjczycy chętnie zatrudniają Francuzów z takim doświadczeniem.

– Dziękuję, madame. Czy jeszcze coś chciałaby pani nam powiedzieć o pozazawodowym życiu Suzanne?

Mme Liotta odłożyła ciasto i wytarła dłonie serwetką do czysta.

– Nie. Suzanne to spokojna dziewczyna. Byłam bardzo zaskoczona, kiedy tamtego ranka powiedziała mi tak dużo o Edmondzie. Od tamtej pory już nic się nie wydarzyło.

– To znaczy, że jej życie było bardzo uporządkowane? – pytał Verlaque.

– Tak, poza wczorajszym dniem, kiedy wyszła wcześniej, i którymś dniem w zeszłym tygodniu, bo miała wizytę u lekarza. Rutynowe badania, jak powiedziała. Nie dociekałam.

– Czy zna pani nazwisko jej lekarza? – zapytał Verlaque.

– Nie pamiętam, ale powie wam to nasza inspektor kredytowa, Patricia. To ona zasugerowała Suzanne, by do niego poszła, bo on jest tu na miejscu, w Éguilles.

– Dziękuję, Mme Liotta. Także za ciasto. Teraz go skosztujemy.

Kiedy kobieta wyszła, sędzia i komisarz pochyłili się nad biurkiem, szybko jedząc ciasto.

– Uhm, bardzo dobre – powiedział Verlaque. – Szkoda, że Mme Girard nie robi takiego.

– To wbrew jej zasadom żywieniowym – odezwał się Paulik

z pełnymi ustami. Wraz z ostatnim kawałkiem ciasta wziął na łyżeczkę pozostałe okruszki.

Verlaque uśmiechnął się.

– Zjedz wszystko co do odrobinki.

– Proszę się nie martwić.

– Poprośmy teraz tę inspektor kredytową – zasugerował Verlaque. Wychylił głowę przez drzwi i zawołał panią inspektor.

Patricia Pont okazała się elegancką kobietą przed czterdziestką. Szczupła, średniego wzrostu, w bladoniebieskim konserwatywnym spodniom, które w przeciwieństwie do stroju Mme Liotty zostało wykonane z jakościowego lnu. Miała pociągłą twarz i jasnoniebieskie oczy, usta pomalowała jasnoróżową szminką. Jej naszyjnik sugerował, że kiedy nie była w pracy, ubierała się z rozmachem – naszyjnik był niezwykle, wykonany z nieprzezroczystych szklanych koralików, blisko okalających szyję.

– Pracuję tu na część etatu – powiedziała, nie tracąc czasu. – I na drugą część w trochę większej gałęzi banku w Ventabren, gdzie mieszkam.

– Więc dobrze zna pani Suzanne Montmory? – zapytał Verlaque, choć znał już odpowiedź.

– Nie. Przecież raz tu byłam, raz mnie nie było.

– Macie tego samego lekarza, jak mi powiedziano – rzekł sędzia.

– Tak, to doktor Vilion, Jean-François. Ma gabinet na tej ulicy, pod numerem czterdzieści sześć, na drugim piętrze, nad kolejną agencją nieruchomości w mieście. To już chyba czwarta.

Verlaque odezwał się:

– Sądziłem, że to usługi fryzjerskie są najliczniejsze w Prowansji. Ale ma pani rację, teraz to agencje nieruchomości. Dlaczego Mlle Montmory potrzebowała nowego lekarza?

- Jej doktor przeszedł na emeryturę.
- Na co się skarżyła? – chciał wiedzieć Verlaque.

Mme Pont zawahała się przez krótką chwilę, ale odpowiedziała na pytanie:

- Na grypę żołądkową.
- Co jeszcze pani o niej wie? – interesował się sędzia.

Mme Pont uśmiechnęła się.

– Poza tym, że mamy tego samego lekarza rodzinnego, nie mogę powiedzieć, bym wiele wiedziała o Suzanne. Mam troje dzieci, więc kiedy wychodzę z pracy, wyłączam mój bankierski umysł.

– Nie mogłem nie zauważyć wrogości w głosie Sharon na każdą wzmiankę o Suzanne Montmory – powiedział Verlaque.

– Och, ta Sharon – odparła Mme Pont z westchnieniem. – To nie jest żadna tajemnica. Sharon i Suzanne ubiegały się o to samo stanowisko i Suzanne wygrała. Myślę, że Sharon jest po prostu zazdrosna.

– Rzeczywiście to może wszystko wyjaśniać – skomentował sędzia. – Dziękuję pani. A czy jeżeli przypomni się pani coś niezwykłego w niedawnym zachowaniu Suzanne, skontaktuje się pani z nami?

– Oczywiście – odparła Mme Pont. – A tak przy okazji, widzieliście, panowie, informację na drzwiach? Mojego autorstwa?

– Pani to napisała? – odezwał się Paulik. – To bardzo bezpośrednio.

– Tak, chciałam jeszcze dodać „i gwałtem”, ale Kamel mi nie pozwolił.

Verlaque skinął głową i milczał. Zgadzał się z decyzją dyrektora banku.

– Mam dwie córki – mówiła dalej Mme Pont. – Ten mężczyzna

musi zostać złapany dla dobra nas wszystkich.

– Złapiemy go – rzekł Verlaque. – Obiecuję.

Mme Pont cicho wyszła z pokoju, ale Verlaque i Paulik nie mieli czasu, by jej zeznania przemyśleć – przy drzwiach stała już Sharon Pallard.

– Witam, witam – powiedziała, szybko wchodząc do pokoju i zajmując miejsce. – Jestem gotowa. Pytajcie.

„Czy nie mogłaby chociaż udawać szoku wywołanego atakiem na Mlle Montmory?” – pomyślał sędzia. Rozdrażniony zapytał:

– Nie lubi jej pani, prawda?

Nawet jeżeli Sharon Pallard czuła się zaskoczona jego bezpośredniością, to nie dała tego po sobie poznać.

– No cóż, nie powiedziałabym tego – odparła. Zatrzymała się na chwilę i dodała: – I bardzo mi przykro z powodu tego, co jej się przydarzyło. Możecie sobie, panowie, to wyobrazić?

– Oczywiście, że nie – odparł Verlaque. – Czy ona kiedykolwiek się pani zwierzała?

Mlle Pallard roześmiała się.

– Nie! Trzymałyśmy się na dystans!

– Dlaczego?

– No cóż... po prostu nic nas nie łączyło, to wszystko.

– Więc nic pani o niej nie wie? Chociaż obie jesteście kobietami i to w tym samym wieku?

– Ja jestem starsza – sprecyzowała, obciągając spódnicę i prostując się na krześle. – Uhm... wiecie, panowie... Wiem o niej tylko drobiazgi. Na przykład to, że prowadzi nudne życie i ogląda staroświeckie filmy, a także to, że podlizuje się M. Iachelli i Mme Liotcie.

– Naprawdę?

– Jeżeli musicie, panowie, wiedzieć, w zeszłym miesiącu starałyśmy się o ten sam awans i to ona go dostała. Mam więcej doświadczenia, jestem starsza, a to ona wygrała. Powinniście ją, panowie, zobaczyć z klientami. Taką wyniosłą i poważną! Ja ich zagadywałam. Pytałam o ich dzień. O ich wnuki i prawnuki. O takie rzeczy.

Verlaque uśmiechnął się, zadowolony, że Mlle Pallard nie miała dostępu do jego konta bankowego.

– Czy jest pani zła, że to ona uzyskała awans?

– Zaraz, chwila! Wkłada pan w moje usta inne słowa?

– Nie muszę – odparł Verlaque. – Sama mi pani o tym opowiedziała.

Mlle Pallard poruszyła się na krześle.

– Nie miałam jej tupetu.

Paulik zapisał jej słowa i na marginesie narysował gwiazdkę. Tak właśnie zrobiłaby jego dziesięcioletnia córka Lea. Albo przynajmniej wtedy, gdy miała siedem lub osiem lat.

– Może pani odejść – oznajmił Verlaque.

Młoda kobieta hałaśliwie wstała, nabzdyczona.

– Dobrze – powiedziała, stojąc u drzwi. – Do zobaczenia później.

Paulik zamknął za nią i obrócił się do sędziego:

– Jakiś podejrzany?

Verlaque odchylił się na krześle.

– Nie wiem. Nie ukrywała swojej pogardy ani zazdrości wobec Mlle Montmory, a ktoś winny na pewno by tego nie ujawniał. Jest głupia i nieźle wkurzona. Ale czy to wystarcza, by zorganizować brutalny atak na koleżankę z pracy?

Paulik wzruszył ramionami i zamknął notes.

– Pójdziemy teraz do szpitala czy do Palais de Justice?

– Pójdźmy do Palais zobaczyć, jak idą badania Alaina. Możemy też poszukać informacji o byłym chłopaku. Znalezienie nazwiska kogoś o imieniu Edmond, kto pracował na marsylskim lotnisku, nie powinno być trudne. Nie masz przypadkiem jakiegoś kuzyna, który tam pracuje?

Ja jestem, ona jest

Marine przestępowała z nogi na nogę, zła, że musi stać w kolejce na poczcie w jedyny dzień, kiedy nie musiała iść na uniwersytet. Dużo wcześniej przygotowała szarą kopertę, ale oba automaty, które ważyły i oklejały paczki znaczkami, uległy awarii. Była zadowolona ze swojego eseju o podobieństwie pomiędzy Honoré Mirabeau – słynnym politykiem i literatem z Aix-en-Provence – a Thomasem Jeffersonem. Myślała nawet, że ta praca może stać się jednym z rozdziałów w nowej, bardzo oczekiwanej, uwspółcześnionej biografii Mirabeau. Biografie były jej ulubionym gatunkiem literackim i z tego powodu Antoine Verlaque stale się z nią drażnił.

– Podglądaczka – powiedział któregoś wieczoru, kiedy leżała z biografią Eleonory Akwitańskiej.

– Nie chodzi wcale o to, że lubię podglądać życie innych ludzi – odrzekła Marine. – Choć oczywiście to też lubię. Ale Kocham biografie, bo to jest gatunek, który obejmuje tak wiele dziedzin – politykę, historię, sztukę, naukę, religię, politykę gender i tak dalej, i tak dalej.

– Rozumiem – odparł Verlaque, kładąc się do łóżka z własną

lekturą i okularami na końcu nosa.

– A czy nie interesujesz się życiem poetów? – zapytała, widząc, że tym razem Verlaque nie miał w ręku antologii wierszy Philipa Larkina, ale poezje Czesława Miłosza.

Verlaque roześmiał się.

– Absolutnie nie. Myślę, że byłbym zawiedziony ich życiorysami.

– Szkoda – stwierdziła Marine. – Myślę, że to pomogłoby ci zrozumieć ich poezję.

– Nie sędzę, by życie artysty miało taki związek z jego sztuką.

Marine odłożyła książkę na kolana.

– Nie jestem tego taka pewna. Co z tym angielskim poetą, który wymyślał wiersze, spacerując ze swoją siostrą po Lake District?

– A, Wordsworth.

– Czy to, że przez cały czas chodził po górach, nie wpłynęło na jego poezję?

Verlaque pochylił się do przodu i pocałował Marine.

– Masz rację, na pewno wpłynęło. Czy to cię nie kusiło?

– Masz na myśli chodzenie po górach i pisanie wierszy?

– Nie! – odparł Verlaque. – Napisanie biografii.

– Przy moim planie zajęć?

– Anthony Trollope tworzył wczesnym rankiem, przed wyjściem do pracy na poczcie.

– No cóż, najwyraźniej twój Mr. Trollope mógł się poszczycić dużo większym talentem, niż ja kiedykolwiek będę miała.

– Marine – mówił dalej Verlaque. – Przecież każdego roku masz około pięciu miesięcy wolnych od uniwersytetu.

– Tak – zgodziła się. – Ale wtedy prowadzę badania i piszę prace naukowe.

– Więc zapomnij o pracach naukowych i napisz książkę. Weź

urlop naukowy.

– Hm... Może coś w tym jest. Ale o kim mam pisać? – Wprawdzie Mirabeau ją intrygował, ale nie była pewna, czy jego życie fascynowało ją w wystarczającym stopniu, by poświęcić całe lata na pisanie o nim.

– Coś wymyślisz.

Teraz, stojąc w małym, dusznym urzędzie pocztowym na Place de l'Hôtel de Ville, czekała, by nadać swój esej do francuskiego wydziału romanistyki Uniwersytetu w Cambridge na sympozjum poświęcone historii francuskiego prawa. Przycisnęła kopertę do piersi, życząc sobie szczęścia. Mogła wysłać esej e-mailem, ale zrezygnowała z tego pomysłu, wyobrażając sobie, że uniwersytet taki jak Cambridge mógł preferować wersję na papierze. Kiedy jednak przekonała się, że kolejka nie poruszyła się ani odrobinę w ciągu ostatnich pięciu minut, pożałowała swojej decyzji. Marine Bonnet, nawet w swoim wolnym dniu, w dzinsach i bladoporóżowym T-shircie Petit Bureau, wyróżniała się na tle innych i niektórzy ludzie z kolejki patrzyli z podziwem na jej kręcone kasztanowe włosy i zielone oczy. Ona także przyglądała się innym oczekującym i starała się nie zwracać uwagi na to, jak szybko posuwa się kolejka obok niej.

– Musimy po prostu być cierpliwe, Coco – odezwała się stojąca tuż za nią kobieta.

Marine odwróciła się i uśmiechnęła. Nie zaskoczył jej fakt, że Coco nie była labradorem ani innym dużym psem, ale pudelkiem.

– Ja tylko po znaczki – powiedziała kobieta. – To nie zajmie dużo czasu.

Marine zmusiła się do uśmiechu, wiedząc, że starsza pani

sugeruje, by ustąpić jej miejsca w kolejce.

– Ja też – odparła. – Muszę tylko nadać ten... list. Szkoda, że oba automaty nie działają.

Kobieta, która miała złote włosy ułożone w nienaganną fryzurę, a na sobie kostium Chanel, zdaniem Marine za ciepły jak na początek września, westchnęła i szcęknęła zębami.

– O, jakie piękne koperty – powiedziała. Jednocześnie przesuwała się do przodu, udając, że podziwia ekspozycję pocztówek i kopert ozdobionych zdjęciami okolicy, właśnie wydanych przez pocztę.

– Ach, to o to jej chodzi – szepnęła Marine, widząc, jak starsza pani toruje sobie drogę na początek kolejki po jej prawej stronie.

– Madame – odezwał się czarnoskóry nastolatek. – Przepraszam, ale my też czekamy.

– *Bravo, jeune homme* – powiedziała Marine cicho.

Mme d'Arras nadal wpatrywała się w pocztówki. Szybko wybrała jedną z nich i, ignorując chłopaka, przeszła na początek jego kolejki. Wykorzystała przy tym fakt, że dwie stojące z przodu dziewczyny pochłonięte były rozmową. Jedna z nich zauważyła wreszcie starszą panią i zapytała ją:

– Hej, czy pani od początku stała przed nami?

Jej koleżanka zerknęła znad swojego iPoda, równie zaskoczona.

– My byliśmy z przodu, prawda, Eugénie?

– Z całą pewnością stałam przed wami – odpowiedziała kobieta i zaczęła mówić do swego psa.

– Nie sędzę – odparła dziewczyna o imieniu Eugénie.

– Nie, nie stała tam – odezwała się kobieta w średnim wieku, która, podobnie jak Marine, obserwowowała zajście. Czarnoskóry chłopak westchnął i założył na głowę słuchawki, nie chcąc brać

udziału w sporze.

W tym momencie w całym urzędzie pocztowym dał się słyszeć głęboki głos o silnym akcencie *midi*, a na drobnym ramieniu starszej pani pojawiła się duża dłoń.

– Mme d'Arras – powiedział mężczyzna, do którego należała ta dłoń – jak miło spotkać panią na poczcie. Ładne pocztówki, prawda?

Kobieta speszyła się tak bardzo, że upuściła pocztówkę i zamachała rękoma w powietrzu, jakby właśnie została zaatakowana. Dwie dziewczyny roześmiały się, podobnie jak ciemnoskóry nastolatek, który teraz zdjął słuchawki, zaintrygowany.

– M. Léridon! – pisnęła starsza pani. – Co, u licha, pan\ tutaj robi?

M. Léridon zaśmiał się.

– Kupuję znaczki, tak jak wszyscy inni, Mme d'Arras.

Marine spojrzała na niego, zadowolona, że kolejka w końcu posuwa się do przodu. Mężczyzna był przystojny jak gwiazdor filmowy albo słynny sportowiec, który właśnie skończył karierę i staje przed kamerą jako komentator. Miał gęste, czarne włosy, najprawdopodobniej farbowane, i zbyt doskonale białe zęby. Ubrany był w lniane spodnie i koszulę, a jego opalone stopy obute były w drogie jasnobrązowe włoskie mokasyny. Marine spojrzała w dół na swoje jasnozielone buty do biegania firmy Nike i uśmiechnęła się na myśl o swojej najlepszej przyjaciółce, Sylvie, która, zakłopotana wyglądem Marine, kazała jej kiedyś iść kilka kroków za sobą. Marine przeniosła uwagę z powrotem na dwie osoby przed nią, uświadomiwszy sobie, że nie słyszała części ich rozmowy.

– Niech pan nie myśli, że nie wiem, co pan wyprawia w tym swoim domu – powiedziała Mme d’Arras. – Hôtel Panisse-Passis miał przez lata wielu właścicieli, ale żaden z nich nie był tak aktywny wieczorami jak pan, M. Lériidon.

Marine i kobieta przed nią wymieniły spojrzenia. Nazwa budynku wydała jej się znajoma. Była pewna, że znajdował się on przy rue Émeric David. Po zastanowieniu doszła do wniosku, że nazwisko d’Arras także nie było jej obce.

– Co ma pani na myśli? – zapytał M. Lériidon, już z mniej przyjaznym wyrazem twarzy.

– Przez całą noc chodzi pan po dziedzińcu z latarką... Ludzie wchodzą i wychodzą. Słyszałam od sklepikarzy, że ma pan jakąś tajemnicę...

M. Lériidon przestąpił z nogi na nogę.

– Nie sądziłem, że jestem podglądany we własnym domu – powiedział surowo.

– Wiem wszystko – mówiła dalej Mme d’Arras. – Prawda, Coco?

– Jak powiedziałem, M. d’Arras, zaproponowałem pokrycie każdej szkody, jaką mój remont spowodował w państwa domu. – Jego głos stał się delikatniejszy, jakby próbował zachować się grzecznie, a może nawet oczarować starszą panią.

– Wszystko, co dotyczy domu, to moja domena, *cher* M. Lériidon – powiedziała. – Zawsze byłam z tego dumna. W większości małżeństw to mężczyźni robią wszystko...

– Chciałabym – szepnęła kobieta stojąca przed Marine i mrugnęła okiem.

– Ale ja upieram się przy prowadzeniu wszystkich spraw domowych – kontynuowała Mme d’Arras. – I to właśnie dlatego, jak panu powiedziałam, moi prawnicy będą się kontaktowali

z pańskimi. – Po czym podniosła Coco, która zaczęła już szczebrać, i opuściła pocztę.

– *Merde! Quelle chante dame!* – zawołał M. Léridon. – Ziemia nie powinna takich nosić! – I on także wyszedł.

– Dokładnie tak bym ją opisała – skomentowała kobieta przed Marine.

Marine przytaknęła.

– Strasznie upierdliwa.

– Oboje zapomnieli kupić znaczki – zauważyła kobieta.

– Rzeczywiście! – roześmiała się Marine. – A tymczasem pani kolej!

Znalezienie Edmonda, który pracował na marsylskim lotnisku, nie przysporzyło Alainowi Flamantowi większych trudności, podobnie jak zdobycie jego numeru telefonu i adresu w Montrealu. Inaczej przedstawiało się zrozumienie wymowy jego współlokatora przez telefon. Flamant przytrzymał dłonią mikrofon i powiedział do Verlaque'a: – Przepraszam, panie sędzio! On mówi z takim twardym akcentem. Nigdy w życiu nie słyszałem takiej francuszczyzny. Czy może pan z nim porozmawiać?

– Oczywiście – odparł sędzia, biorąc do ręki telefon. – *Hello* – odezwał się po angielsku i rozmowa zaczęła toczyć się w tym języku.

– W Montrealu też mówią po angielsku? – zapytał Paulika Flamant.

– Tak sędzę – odpowiedział komisarz, niepewny, czy cały Quebec jest dwujęzyczny, czy też sędzia po prostu miał szczęście.

Verlaque mówił dalej, ale ani komisarz, ani oficer nie byli w stanie go zrozumieć. Verlaque kilkukrotnie unosił brwi, a raz pokiwał głową tak, jak to robią Włosi, jakby ktoś w Montrealu

oznajmił mu coś zaskakującego, a nawet szokującego. Po pięciu minutach sędzia pożegnał się i odłożył słuchawkę, po czym przysunął swoje krzesło bliżej Paulika i Flamanta.

– Współlokator Edmonda Martina powiedział mi, że Edmond jest teraz poza krajem, na wakacjach.

– Gdzie? – zapytali Paulik i Flamant jednocześnie.

– Tutaj we Francji. Współlokator poinformował mnie też, że Martin zachowywał swoją wyprawę w wielkiej tajemnicy.

Paulik zagwizdał.

– Skontaktujmy się z jego rodziną.

– A jeśli go chronią? – zapytał młody oficer.

– Jeżeli porozmawiamy z nimi osobiście, z łatwością zauważymy, że kłamią. Większość ludzi robi to beznadziejnie – odparł Verlaque.

– Martin wyleciał z Montrealu w ostatni piątek, miał przylecieć tu w sobotę. W kolejny poniedziałek ma być z powrotem w pracy, w Montrealu.

– Zaraz spotkam się z jego rodziną – zadeklarował Paulik. – Są właścicielami *château* z winnicą w Puyricard, niedaleko od miejsca pracy Hélène. To po drodze do mnie do domu.

– Doskonale. Postaraj się dowiedzieć, gdzie on przebywa i z kim – powiedział Verlaque.

– Zrobię, co się da – obiecał komisarz, chwycił swoją marynarkę i telefon, pożegnał się i szybko wyszedł. Prawie natychmiast dało się słyszeć pukanie do drzwi gabinetu sędziego.

– Proszę – powiedział.

Była to Mme Girard. Stała niepewnie w drzwiach, bawiąc się długim, perłowym naszyjnikiem. Verlaque i Flamant patrzyli na nią zaskoczeni. Mme Girard zazwyczaj wykazywała się wielkim opanowaniem.

– Właśnie zadzwonił do mnie ze szpitala oficer Schoelcher – poinformowała lekko łamiącym się głosem.

– Proszę mówić dalej, Mme Girard – zachęcił ją Verlaque. Poruszył się na krześle, czując się niekomfortowo. Flamant najwyraźniej miał podobne wrażenie, bo podniósł się z krzesła, stanął przy regale z książkami i wyciągnął jedną z nich na chybił trafił.

– To zła wiadomość – kontynuowała sekretarka. – U Mlle Montmory doszło do zatrzymania akcji serca. Zmarła przed godziną.

Flamant ponownie usiadł, a Mme Girard wyszła, delikatnie zamykając za sobą drzwi. Młody oficer patrzył na swoje kolana i milczał. Verlaque zerknął na niego i uzmysłowił sobie, że z każdym dniem lubi go coraz bardziej. Alain Flamant, choć średniego wzrostu i średniej budowy ciała, był szczupły i silny. Zaczął karierę policjanta na rowerze, patrolując wąskie ulice Aix, aż niedawny awans skierował go pod skrzydła komisarza Paulika. Miał brązowe, nieco smutne oczy, powiększające się zakola i wyraziste kości policzkowe, a gdy się uśmiechał, pokazywał białe zęby. Verlaque wyobrażał sobie, że ten chłopak miał powodzenie u kobiet. Potem przypomniał sobie, że właśnie odbyło się przyjęcie uświetniające zaręczyny tego młodego człowieka.

Verlaque odchylił się do tyłu na krześle.

– To fatalna wiadomość.

– Tak, rzeczywiście, sir. Nawet szokująca.

– Czy możesz zadzwonić do oficerów, którzy pełnili dyżur przy jej pokoju, i poprosić, by przyszli tu jutro rano zaraz po rozpoczęciu pracy?

Flamant wyglądał na zaskoczonego.

– Ale to był atak serca.

– Tak, Alain. Ale nawet jeśli tak było, musimy wiedzieć, kto wchodził do tego pokoju i z niego wychodził.

Oficer spojrział na zegarek.

– Właśnie skończyli służbę. Szybko do nich zadzwonię.

– Dobrze. Ja telefonicznie zawiadomię komisarza.

Kiedy Flamant wyszedł, Verlaque wstał i wyjrzał przez okno na żółte ściany więzienia, załując, że jeszcze nie siedzi tam człowiek, który zabił Suzanne Montmory.

Antoine Verlaque nie pamiętał, kiedy droga do domu, prowadząca przez kilka ulic, zajęła mu tyle czasu. Na rue Rifle-Rafle złapał się na bezmyślnym wpatrywaniu się w witrynę sklepu z czekoladą. Ruszył więc do przodu, przeszedł przez rue Paul Bert i skierował się w górę wąskiej rue Esquicho Coude-Provençal, gdzie przechodnie ocierali się o siebie łokciami – był to bardziej chodnik niż ulica – w stronę swojego mieszkania. Wchodząc do budynku, opróżnił skrzynkę na listy, którą zazwyczaj wypełniały rachunki, ale dziś znalazła się w niej pocztówka. Zaczął się piąć po schodach, czuł się tak, jakby go ktoś dźgnął w brzuch. Szedł niezwykle wolno i dzięki temu zauważył, jak dużo farby odchodziło od trzystuletnich ścian i jak wiele płytek w kolorze pomidora było popękanych lub nie było ich wcale.

Zadowolony, że wcześniej poprosił Marine, by kupiła stek na dzisiejszą kolację, wszedł do mieszkania. Wyjął z kieszeni pieniądze i swojego blackberry i położył na blacie kuchennym z białego karraryjskiego marmuru. Właśnie wtedy telefon wydał dźwięk. To był esemes od Marine: „Jestem spóźniona, straszna kolejka na poczcie! Będę za pół godziny ze stekiem i deserem od

Michaуда!”

Mieszkanie Verlaque’a było trzy razy tak długie jak szerokie. Sędzia przeszedł do łazienki, oddzielonej od sypialni wielką szklaną ścianą i zaczął nalewać sobie wody na kąpiel. Spojrzał na olbrzymi czarny obraz Pierre’a Soulages’a, po czym odwrócił się i przeniósł wzrok na wypełniony drzewami spokojny dziedziniec, na który wychodziły dwa okna pomieszczenia. Jedynymi słyszalnymi dźwiękami był śpiew ptaków. Przypomniął sobie, jak wielki upór wykazał i jakim był szczęściarzem, że znalazł to mieszkanie w centrum miasta. Rozebrał się i położył w wannie. Zatykając nos, zanurzył się trzy razy. Miał nadzieję, że kiedy uniesie się z powrotem nad poziom wody, Mlle Montmory jakimś cudem wciąż będzie żyła.

Sięgnął do małego prowansalskiego stołka z trzciniowym siedzeniem, gdzie leżały grube, białe ręczniki. Spojrzał na pocztówkę, którą przyniósł ze sobą. Z jasnymi, prawie fluorescencyjnymi kolorami wyglądała, jakby wyprodukowano ją w latach sześćdziesiątych. Na pierwszym planie zobaczył jakieś rośliny o grubych liściach, w tle widoczna była suszarnia tytoniu ze strzechą na dachu, obok niej pochylał się farmer w kapeluszu i zrywał jedną z łodyg. Verlaque uśmiechnął się, natychmiast rozpoznając słynne pola tytoniu w okolicach Viñales w zachodniej Kubie. Odwrócił kartkę i przeczytał: „Zrobiłem tak, jak pan mi radził, i odwiedziłem naszych uprawiających tytoń przyjaciół. Niezwykli ludzie! Naprawdę są solą tej ziemi. Nie mogę uwierzyć w ich siłę, dumę i szczodrość! Czuję się tu rozpieszczany. Jutro wracam do Hawany, gdzie, mam nadzieję, jakimś zrządzeniem losu albo dzięki wielkiej ilości rumu udoskonale swoją salsę w Casa de la Música! Uściski. Arnaud”.

Uśmiechając się, Verlaque wyszedł z wanny, spuścił z niej wodę, włożył dżinsy i koszulkę polo, a potem wrócił do kuchni, gdzie zawiesił pocztówkę od Arnaud na lodówce. Chłopak w wieku zaledwie osiemnastu lat pisał tak dobrze, jak mówił, i sędzia poczuł pewną dumę, że zatrudniał go do prac dorywczych, by pomóc mu w sfinansowaniu jego epickiej przygody poprzedzającej poważne studia. Arnaud wraz z matką, wdową, mieszkali na dole w tej samej kamienicy.

Verlaque otworzył szafkę, wybrał jedną z kryształowych szklaneczek baccarat po dziadku i nalał sobie trochę whisky, którą jego przyjaciele Jean-Marc i Pierre przywieźli mu z Dublina: Writers Tears. Usiadł w klubowym fotelu i otworzył leżące na stoliku pudełko z cygarami. Dotknął ich, by poczuć ich wilgotność. Kiedy w końcu wybrał robusto marki Hoyo de Monterrey, ściął końcówkę i powoli zapalił drugi koniec zapalniczką w kształcie latarki, którą właśnie kupił w sklepie tytoniowym. Zaciągając się, opadł na oparcie fotela i zamknął oczy. Obok notesu leżał tomik poezji Miłosza w twardej oprawie, chwycił go i otworzył na chybił trafił. Sądził, że prawdziwy uczony przeczytałby wszystkie wiersze od początku do końca, w takiej kolejności, w jakiej zostały wybrane i ułożone, ale on nigdy nie czytał poezji w ten sposób. Uświadomił sobie, że wybiera te wiersze, które odzwierciedlają jego nastrój.

Pierwszy wiersz, na który się natknął, dotyczył Europy i jej powojennych obywateli. Chociaż znalazł w nim piękne wersy, nie pasował on do jego obecnego stanu ducha. Przełożył stronę i zobaczył utwór zatytułowany *Esse*, napisany w 1954 roku. Dzisiejszy dzień należał do kobiet, pomyślał: Mlle Montmory, kobiety w banku, Mme Girard, a nawet narzeczona Flamanta, która, jak sobie wyobrażał, pracowała w zawodzie opiekuńczym,

jako wychowawczynie w przedszkolu, a może nawet pielęgniarka, co pasowało do delikatnego oficera. A teraz ta Esse poety, kimkolwiek była. Pałac cygaro, przeczytał wiersz raz, potem drugi. Marine powiedziała kiedyś, że znajomość życia autora pomagała zrozumieć jego dzieła. Verlaque nie był tego całkiem pewien. Czy miało znaczenie, kim była Esse? Czy rzeczywiście istniała? Zauważył, że zapomniał o cygarze i whisky i kilkakrotnie czytał wersy na końcu wiersza. Chwycił notes i zapisał:

„Na to mi przyszło, że po tylu próbach nazywania świata umiem już tylko powtarzać w kółko najwyższe, jedyne wyznanie, poza które żadna moc nie może sięgnąć: ja jestem – ona jest. Krzyczcie, dmijcie w trąby, utwórzcie tysięczne pochody, skaczcie, rozdierajcie sobie ubrania, powtarzając to jedno: jest!”³

– „...ja jestem – ona jest” – powtórzył Verlaque głośno. – „...ja jestem – ona jest”. – Zamknął książkę i zapalił cygaro, pociągnął mały łyk swojej whisky. Świadomie starał się nie zasnąć, bo poprzedniej nocy rzucał się w łóżku. Śniła mu się Monique, z tą różnicą, że w tym śnie miała na imię Suzanne. Był wdzięczny, że nie było obok niego Marine, choć bardzo za nią tęsknił, bo był pewny, że wypowiedział głośno imię Monique i obudził się spocony.

Zadzwoił domofon, sędzia podskoczył i pobiegł bosy, by go odebrać.

– Wejdz! – powiedział i zdał sobie sprawę, że prawie krzyczał. Nie słyszał stukotu obcasów na schodach i zaczął się martwić. Może to jakaś dostawa? Ale przez balustradę z kutego żelaza dały się dostrzec kasztanowe włosy, choć Marine wchodziła dopiero na piętro niżej – sędzia słyszał jej znajome nucenie. Stał w drzwiach, nie mogąc się doczekać, kiedy ją zobaczy. Weszła na ostatni stopień i wtedy zrozumiał, dlaczego nie dochodził go dźwięk

obcasów – Marine miała na sobie jasnozielone adidas. Wyszedł za drzwi i stanął na podeście, po czym podbiegł ją przywitać.

– Kocham cię – powiedział, obejmując ją tak mocno, jak tylko mógł, by nie zrobić jej krzywdy. Cieszył się, że kobieta nie odpowiedziała, tylko mocno się do niego przytuliła.

9

Notes Jules'a

Był ciepły wrześniowy poranek, kiedy Jules Schoelcher opuścił małe mieszkanie przy rue du Cancel i skierował się w stronę Palais de Justice. Mistral oczyścił powietrze i pozostawił bezchmurne niebo. Policjant wiedział, że nad jego rodzinnym miastem Colmar zawisły teraz szare chmury, które pozostaną tam do pierwszych miesięcy następnego roku. Jego matka telefonowała poprzedniego wieczoru, by poinformować go o wydarzeniach w rodzinie oraz o pogodzie w Alzacji. Było chłodno i padała mżawka, jak w większości północno-wschodniej Francji o tej porze roku. Jules uświadomił sobie, że powoli przyzwyczajają się do suchego gorąca w Prowansji, i zbliżając się do ogromnego Place de Cardeurs, zaczął pogwizdywać. O dziewiątej rano brukowany plac był pusty. W południe wypełnią go restauracyjne stoliki.

Przeszedł pod Tour d'Horloge, uskakując z drogi turyście, który fotografował szesnastowieczną wieżę zegarową o złotawej barwie. Kiedy minął ratusz, zszedł na Place Richelme i zdecydował, że wypije szybkie espresso w małej kafejce, którą ostatnio odkrył, a w której – jako jedynej w Aix – mielono własne ziarna. Wszedł

i zamówił espresso oraz szklanę wody, po czym usiadł przy jednym ze stolików na zewnątrz i obserwował, jak rozlokowani naprzeciwko niego sprzedawcy ryb rozmawiają ze sobą i z klientami, przy czym do wielu spośród nich zwracali się po nazwisku. Jules z zaskoczeniem odkrył, że chociaż kawiarniane stoliki znajdowały się bardzo blisko starannie ułożonych na lodzie ryb, prawie nie czuło się ich woni. Spojrzał dalej i zauważył statuetkę dzikiej świni, która z pewnością nie wyglądała na dziką.

Słońce przyjemnie ogrzewało mu przedramiona. Sięgnął do kieszeni i wyjął swoje ray-bany, uśmiechając się do ładnej kelnerki, która właśnie przyniosła na małej tacy kawę i wodę.

– Nie tak źle, jak na pogodę we wrześniu – powiedziała, podając Jules’owi małą filiżankę z kawałeczkiem czekolady na spodku.

– Pogoda jest wspaniała – odparł. – Jestem z Alzacji – dodał, powoli otwierając torebkę z cukrem i wsypując go do kawy.

– O la la – odpowiedziała ze śmiechem. – Tam jest zupełnie inny klimat! Macie tam coś takiego? – Wykonała szeroki gest ręką, wskazując na rynek, stragany wypełnione kolorowymi owocami i warzywami, rybami i owocami morza, miodem, mydlami, stosikami przypraw i pojemnikami pełnymi oliwek.

Jules wzruszył ramionami.

– Może u nas jest mniej kolorowo. Więcej ziemniaków i rzepy.

– Ha! – roześmiała się znowu. – I tak musi tam być przyjemnie. Nigdy nie byłam w Alzacji. W sierpniu w Aix jest za gorąco nawet dla mnie, chociaż się tu urodziłam.

Jules uśmiechnął się, patrząc na jej drobne ciało i duże brązowe oczy.

– Tak, mnie też to lato daje się we znaki, szczególnie w pracy.

– Czym się pan zajmuje? – zapytała, sprzątając sąsiedni stolik

i stawiając puste filiżanki na tacy.

– Jestem policjantem.

– Och! Dam panu znać, kiedy będę potrzebowała pomocy! – zaśmiała się jeszcze raz. – Bywał pan już u nas wcześniej, prawda?

– Tak. Zwykle w drodze do Palais de Justice.

– Nie ma pan na sobie munduru – skomentowała.

– To miał być mój wolny dzień – odparł – ale muszę iść do pracy na krótkie spotkanie.

– Następnym razem proszę założyć mundur – powiedziała, mrugając okiem.

– Hej, Magali! – zawołał stojący naprzeciwko sprzedawca ryb znad ekspozycji świeżo złowionych ryb śródziemnomorskich. – Przestań flirtować z klientami!

Jules i Magali – policjant ucieszył się, że poznał jej imię – roześmiali się, a sprzedawca, znalazłszy publiczność, mówił dalej:

– W środku masz pół tuzina klientów, którzy nie mogą się doczekać swojej pierwszej kawy! Muszą zaraz iść do pracy i trochę zarobić! Przez ciebie załamie się gospodarka europejska!

– Och, Anna może ich obsłużyć! – zawołała w odpowiedzi Magali. – Goście na tarasie są w tej chwili uprzywilejowani! – Spojrzała na Jules'a i znów do niego mrugnęła.

– Tak, widzę! – krzyczał sprzedawca. – Poproszę o espresso, kiedy tylko będziesz miała czas! Pewnie muszę czekać gdzieś do południa!

Magali parsknęła śmiechem.

– Już idę – powiedziała. – Ale będziesz miał szczęście, jeżeli dostaniesz kawałek czekolady!

– Do zobaczenia – odezwała się do Jules'a, a on skinął głową i zasalutował. Kiedy skończył swoją kawę, położył półtora euro na

drewnianym stoliku i pośpiesznie wyszedł. Sprzedawca ryb zajęty był pokazywaniem klientowi fioletowych iglastych jeżowców i instruowaniem, jak je przygotować.

Jules szedł do Palais de Justice jak na autopilocie i nie przestawał myśleć o Magali. Przed drzwiami wejściowymi prawie zderzył się z Rogerem Carombem.

– Pobudka! – zawołał Roger, gasząc niedopałek papierosa na chodniku.

– Od tego są kosze na śmieci – zwrócił mu uwagę Jules.

– Och, jaki pedancik! – odparował Roger. – Przypomnij mi następnym razem, bym zamiótł chodnik przed Jego Królewską Mością!

– Chcę powiedzieć, że gdybyśmy wszyscy zachowywali się tak jak ty, Prowansja byłaby jeszcze brudniejsza. – Jules spojrzał na chodnik, na którym walało się kilka kawałków gazet, zgniecione paczki po marlboro i puste puszki po oranżadzie.

Roger rozejrzał się dookoła.

– Prowansja jest brudna?

Jules westchnął i przytrzymał koledze drzwi.

– Nieważne.

– Powiedz – odezwał się Roger, kiedy wchodzili po schodach, kierując się do gabinetu Verlaque'a – z jakiego powodu jest to spotkanie?

– Chcą cię wylać – wypalił Jules.

– O, z ciebie to dopiero żartowniś – powiedział Roger, klepiąc Jules'a po plecach.

Gdy dwaj młodzi policjanci weszli do gabinetu, Verlaque i Paulik już tam byli.

– Usiądźcie – poprosił Verlaque. – Wiadomość o śmierci Mlle

Montmory zaszokowała nas i chociaż powodem było zatrzymanie akcji serca, chciałbym poznać nazwisko każdego pracownika szpitala, który wchodził do jej pokoju.

Roger spojrział na Jules'a, a potem na Verlaque'a.

– Patrzyliśmy na ich zawieszki z nazwiskami, panie sędzio, ale nie zapamiętaliśmy, kim byli.

– Ja zapamiętałem, sir – odezwał się Jules, zadowolony, że pamiętał o zabraniu ze sobą swojego małego pomarańczowego notesu. Wyjął go teraz z kieszeni marynarki, otworzył na odpowiedniej stronie i podał Verlaque'owi. – Jedydami osobami spoza personelu szpitala, które weszły do pokoju Mlle Montmory, byli jej rodzice.

– To prawda – dodał pośpiesznie Roger. – Uważnie patrzyliśmy na zawieszki każdego lekarza i pielęgniarki.

– A sanitariuszy? – dopytywał sędzia.

Roger spojrział na Jules'a w osłupieniu.

Jules wyjaśnił mu:

– To ci faceci, którzy przyszli pomóc pielęgniarkom podnieść Mlle Montmory. Tak – mówił dalej, patrząc na Verlaque'a. – Sprawdzaliśmy wszystkich, także personel sprząający.

– Dziękuję za zapisanie nazwisk, oficerze...

– Schoelcher. Jules Schoelcher.

– Czy mógłbyś nam to skopiować? – poprosił sędzia.

– Ja to zrobię – zaoferował Paulik. Wziął notatnik i wyszedł z gabinetu.

– I nie zauważyliście niczego niezwykłego? – zapytał Verlaque.

– Oczywiście, że nie. Jak powiedział Roger, z wyjątkiem rodziców dziewczyny tylko członkowie personelu szpitalnego wchodzili i wychodzili. Kilku doktorów i pielęgniarki.

Roger spojrział na swojego partnera z wdzięcznością za jego lojalność i z ogromną ulgą, że Jules pomyślał o zapisaniu nazwisk w swoim notesiku, który zdaniem Rogera zawierał głównie numery telefonów jego dziewczyn.

Mme Pauline d'Arras podziwiała widoki z okien autobusu. Nie pamiętała, kiedy ostatnio korzystała z tego środka lokomocji, i cieszyła się, że miała dość pieniędzy w portmonetce na drobne, by zapłacić za przejazd. Licealiści na końcu autobusu przez pierwszą część podróży puszczali głośno jakąś kocią muzykę, ale teraz większość z nich siedziała odchyłona do tyłu z małymi, białymi słuchawkami w uszach. Mme splotła swoje długie, upierścienione palce na brzuchu i wyjrzała przez okno. Przyglądała się mijanym jasnozielonym krzewom winnym, aż ciężkim od wielkich czerwonych gron. Teraz wyrosło tutaj tak wiele nowych domów, brzydkich rozpleniających się bungalowów, zbudowanych w stylu prowansalskim, z jasnożółtymi ścianami i nowymi, tandetnie wyglądającymi dachówkami. Nie miały one w sobie nic z uroku Hôtel de Barlet w Aix ani jej rodzinnego domu, Hôtel Bollène, dużej siedemnastowiecznej rezydencji, znajdującej się tuż za wioską, tam, dokąd teraz zmierzała. Nie była pewna, czy potrafi znaleźć Hôtel Bollène. Należał do rodziny Aubanel od wieków, dopóki nie został sprzedany po śmierci jej ojca. Tak naprawdę nie pamiętała, dlaczego tu przyjechała, ale to wydawało się ważne. Nie umiała wyrzucić z głowy wyobrażenia jej poprzedniego domu ani obrazu wiejskiej kaplicy. W każdym razie miała czas i była zadowolona, że jedzie autobusem. Dzięki temu odbywała także wycieczkę krajoznawczą. Tęskniła za swoją siostrą Clothilde, nie mogła się doczekać, kiedy znowu ją zobaczy i będzie mogła opowiedzieć jej

o swoim sąsiedzie, jego popisywaniu się tym wulgarnym samochodem i jego małych sekretach. Clothilde będzie wiedziała, co robić.

Spojrzała w górę i zobaczyła mężczyznę w mundurze, który jej się przyglądał.

– Tak? – zapytała go. – Czy coś jest nie tak, młody człowieku?

Mężczyzna, który miał na sobie białą koszulę i krawat, zakasłał.

– Właśnie dojechaliśmy do końca trasy, madame. To ostatni przystanek.

Mme d'Arras rozejrzała się dookoła. Uczniów już nie było, a autobus się nie poruszał. Co też ona do tej pory robiła? Och, podziwiała widoki. Tak niewielu ludzi teraz to robi. Wyjęła swoją różową portmonetkę firmy Longchamp i wstała.

– Doskonale – powiedziała.

– Czy potrzebuje pani pomocy? – zapytał ją mężczyzna.

Zdała sobie sprawę, że to musi być kierowca pojazdu. Oczywiście nie potrzebowała pomocy od kogoś, kto zarabia na życie prowadzeniem autobusu.

– Nie, dziękuję młody człowieku. Po prostu nie poznałam... – wyjrzała przez okno i zobaczyła spółdzielnię producentów win – ...spółdzielni winiarskiej. Wejdę tam i kupię butelkę wina dla mojej przyjaciółki... Philomène. Doskonale.

– Wspaniale – powiedział kierowca autobusu. – *Bonne journée, madame.*

Wysiadła z autobusu i skierowała się do spółdzielni. Dlaczego skłamała? Ale imię Philomène tak naturalnie przyszło jej do głowy, pomyślała przy tym o swojej przyjaciółce z dzieciństwa, jej kruczoczarnych włosach i głośnym, szczerym śmiechu. Kiedyś późno w nocy, kiedy miały już spać, zdradziła Philomène sekret

rodziny Aubanel. Miały wtedy dwanaście, może trzynaście lat. Pauline natychmiast tego pożałowała i przez jakiś czas żyła w strachu, że przyjaciółka zdradzi ich tajemnicę, ale ona nigdy tego nie zrobiła.

– Właśnie skończyłem rozmowę z doktor Bouvet – poinformował Paulika Verlaque, kiedy oficerowie Schoelcher i Caromb wyszli. – Jej zdaniem to możliwe, że atak serca Suzanne Montmory został wywołany przez kogoś z personelu.

– To straszna myśl – powiedział Paulik. – Ale oczywiście przyczyny mogły być naturalne, *non*?

– Tak, ale wcześniej tego dnia tak dobrze się trzymała – odparł sędzia. – Nawet ten młody oficer z Alzacji to mówił. Widział, jak spojrzała na swojego ojca i uścisnęła mu dłoń.

Paulik na krótką chwilę zamknął oczy.

– Porozmawiajmy z każdym z członków personelu, potem wystosuję prośbę do rodziny o zgodę na sekcję zwłok, przeprowadzoną przez Bouvet.

– Dobrze. Musimy też jak najszybciej znaleźć Edmonda Martina – odezwał się Verlaque – chociaż to wielce nieprawdopodobne, by się przebrał za jednego z pracowników i zdobył zawieszkę z nazwiskiem.

– Jego rodzinę bardzo zaskoczyło to, że on jest w Prowansji – mówił Paulik. – Według nich miał przyjechać na święta Bożego Narodzenia, nie wcześniej. Byli w szoku.

– Nie powiedziec najbliższym, że się przyjeżdża do domu – dlaczego?

– Bo przyjeżdża się po to, by zgwałcić i próbować zabić swoją byłą dziewczynę?

– Jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się zbrodni – skomentował Verlaque. – Chociaż ja też uważam go za podejrzanego numer jeden. I jeśli naprawdę jest na wakacjach, dlaczego ukrywa to przed rodziną?

– Ponieważ jest z kimś, kogo oni by nie zaakceptowali?

Verlaque skinął głową.

– Tak, to bardzo prawdopodobne. Czy nie masz nic przeciwko temu, bym zapalił cygaro?

– Nie – odparł Paulik z uśmiechem. – I nikomu nie powiem.

– Otworzę okno, ale jeśli Mme Girard poczuje choćby odrobinę tego zapachu... – Sędzia usiadł, wyjął z oprawnej w skórę cygarnicy jedną double coronę i ją zapalił. – Jaka dziewczyna by im się nie spodobała? Spotkałeś się z nimi wczoraj.

– Dziewczyna z klasy pracującej – wyjaśnił Paulik. – Bonnardowie znają Martinów i Olivier ostrzegł mnie, że to prawdziwe snoby. To potwierdziło się podczas mojej wczorajszej wizyty. Poza tym ich wino nie jest za dobre.

Verlaque roześmiał się.

– Tak, wiem. Kupiłem je raz i nigdy więcej. Zupełnie nie ma finiszu. A co by powiedzieli na starszą kobietę? Albo mężatkę?

– Może... – odparł Paulik. – Alain dzwoni teraz do banku i próbuje zdobyć dostęp do bankowych danych Edmonda Martina. Szuka opłat za hotele, wynajem samochodów i tym podobne.

– No i ta lista nazwisk – powiedział Verlaque, zaciągając się i patrząc na kopię listy Schoelchera. – Edmond Martin mógł zgwałcić swoją byłą dziewczynę albo nie, a ona być może umarła z przyczyn naturalnych, czy też innych, ale nadal musimy porozmawiać z każdą osobą z tego zestawienia. Czy możesz odciągnąć tego dzieciaka z Alzacji od normalnych obowiązków

i zatrudnić go przy tej sprawie? Jego pierwszym zadaniem może być przygotowanie personelu szpitala do przesłuchań.

– Oczywiście.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę – powiedział Verlaque, chowając cygaro pod biurkiem i starając się machaniem rękoma skierować dym w stronę otwartego okna.

– Ładny zapach – rzekł Flamant, wchodząc do gabinetu. – Proszę się nie martwić. Mme Girard odeszła teraz od biurka.

– Dzięki Bogu – odparł Verlaque. – Czy udało ci się zrozumieć policję z Quebecu?

– Tym razem tak. Jeden z oficerów wyemigrował kilka lat temu z Paryża i jeszcze nie ma tamtejszego akcentu. Ale są strasznymi służbistami i nie chcieli udzielić mi żadnej informacji. Powiedzieli, że musimy zwrócić się do nich „oficjalnymi kanałami”.

– *Merde* – zaklął Verlaque. – I co zrobiłeś?

– Pomiąłem ich i zadzwoniłem bezpośrednio do banku Edmonda Martina.

Sędzia spojrzał na młodego policjanta z uniesionymi brwiami.

– A skąd miałeś kontakt do tego banku?

– Zadzwoniłem jeszcze raz do współlokatora Martina i on mi go przekazał, bardzo chętnie. Teraz dużo lepiej go rozumiałem, a okazuje się, że Martin zalega z czynszem...

Verlaque i Paulik roześmiali się.

– Brawo, Alain – powiedział Verlaque. – A zatem czego dowiedziałeś się w banku?

Flamant podszedł do sędziego i wręczył mu kilka świeżo wydrukowanych kartek.

– Edmond Martin jest teraz na rejsie statkiem wycieczkowym,

który wypłynął z Tuluzy w niedzielę trzeciego września. Dziś wieczorem wraca.

Verlaque ścisnął szklane krawędzie swojego biurka i spojrzał na Paulika.

– Trudno być na Morzu Śródziemnym i w Éguilles jednocześnie – skomentował tamten.

Flamant zakasłał.

– Chyba że zaokrętujesz się gdzieś dalej na wybrzeżu – na przykład na postoju w Genui, w środę wieczorem.

Rejsy Judy

– Dobrze – odezwał się Verlaque. – Alain, czy możesz tu zostać i zadzwonić do kapitana tej linii? Poproś go, by zatrzymali Edmonda Martina w porcie, do czasu gdy dotrzemy do Tulu. Winny czy niewinny, powinien dowiedzieć się o śmierci Suzanne Montmory.

– Oczywiście, sir.

– Poprośmy któregoś z oficerów, by nas zawiózł – powiedział sędzia do Paulika. – To przynajmniej godzina jazdy do Tulu, a statek ma dopłynąć do doku za półtorej godziny. – Spojrzał na papiery, które wydrukował dla niego Flamant. – Zabierzemy to ze sobą. Będziesz musiał wydrukować sobie jeszcze jedną kopię.

– Nie ma problemu – odparł Flamant, kierując się do drzwi.

– Rejsy Judy. Co za dziwna nazwa – skomentował Verlaque, czytając w okularach dokumenty. – Czy te rejsy nie nazywają się zazwyczaj „Zachód Słońca” albo jakoś tak jak kolory morza?

Wyszli na zewnątrz i zobaczyli Jules’a Schoelchera. Paulik odciągnął go na bok i kazał mu zorganizować przesłuchania w szpitalu na poniedziałek rano.

– Kto może nas zawieźć? – zapytał Verlaque i w tym momencie obaj z Paulikiem zauważyli Rogera Caromba. Stał przy ekspresie do kawy i, sądząc z gestów rąk i jego śmiechu – opowiadał dowcip trzem lub czterem innym oficerom, którzy się wokół niego zebrali.

– Mam jeszcze jeden! – mówił dalej Roger. – Jak blondynki... – Zobaczył podchodzącego do niego Verlaque'a i urwał w pół słowa.

– Oficerze Caromb – odezwał się sędzia. – Jak szybko potrafi pan jechać samochodem?

Roger Caromb wciągnął brzuch i wyprężył pierś.

– Jak wiatr.

– Jedźmy więc. Musimy być w Tulonie przed czternastą trzydzieści.

Roger Caromb, kiedy już usłyszał, dokąd się wybierają, nie musiał jechać ani szybko, ani niebezpiecznie – jego babcia mieszkała w Tulonie i wiedział nie tylko, gdzie znajdowało się nabrzeże, ale także jak dotrzeć do niego bocznymi uliczkami. Przybyli tam, kiedy statek dobijał do portu, i zaparkowali przed biurem straży przybrzeżnej. Verlaque zadzwonił wcześniej z telefonu komórkowego do kapitana portu i teraz czekał już na nich wysoki, opalony mężczyzna, po którym widać było, że spędzał dużo czasu na zewnątrz.

– Kapitan poinformował mnie, że ten młody człowiek będzie wysiadał ostatni, z kapitanem i pierwszym oficerem – powiedział.

– Dziękuję panu – rzekł Verlaque.

Mężczyźni stali przed panoramicznym oknem biura i obserwowali, jak statek zbliża się do portu.

– Jest ogromny – skomentował Paulik.

– Tak naprawdę Judy to mały statek wycieczkowy – odparł

kapitan portu. – Zabiera tylko siedmiuset pasażerów. Dużo mieszczą ich nawet trzy tysiące.

Roger Caromb spojrział w bok i wskazał ręką za okno.

– Kolorowy – powiedział z uśmiechem. – Podoba mi się tęcza na rufie.

Kapitan portu uśmiechnął się.

– To zawsze wielkie wydarzenie, kiedy Judy wpływa do portu – powiedział. – To zawsze świetna paczka facetów... i babek, nie powinienem o nich zapominać! Jest dwudziesty pierwszy wiek, prawda? Pierwszy raz, kiedy tu zawinęli, przed czterema laty, nie wiedziałem, co o tym myśleć. Ale, tak jak mówię, to świetna paczka. Nigdy nie mieliśmy żadnych problemów.

Verlaque patrzył na niego, skonsternowany. Zerknął na Paulika, który wyglądał na równie zdezorientowanego i w końcu wzruszył ramionami.

Statek wpłynął na syrenie. Jeden z członków załogi portu wbiegł do biura i zawołał:

– Judy już jest! Chodźmy!

Kapitan portu obrócił się do mieszkańców Aix i powiedział:

– Miejmy nadzieję, że nadal są ubrani! Zazwyczaj są!

– Ubrani? – mruknął do siebie Roger. Opuścili biuro i schodami biegnącymi po zewnętrznej elewacji budynku zeszli do pomostu. Znow dała się słyszeć syrena statku, a towarzyszyły jej głośne okrzyki pasażerów, zgromadzonych i machających na górnym pokładzie. Powoli zbierało się tam więcej osób, niektórzy wiwatowali, inni śpiewali. Słońce oślepiało Verlaque'a, zasłaniał oczy dłonią.

– Czołem, kolego! – powiedział do niego przechodzący marynarz, odpowiadając na pozdrowienie sędziego.

– Przepraszam. Nie salutowałem... – Verlaque chciał odpowiedzieć marynarzowi, ale przerwał. Zdał sobie sprawę, że marynarz nie był marynarzem, ale przebranym pasażerem, bo jeszcze tuziny jemu podobnych schodziły z deku ramię w ramię z księżmi, biskupami, piłkarzami, strażakami i policjantami. Roger Caromb dostrzegł tych policjantów i pomachał do nich radośnie. Paulik i Verlaque roześmiali się.

– Tęcza\ – powiedział Verlaque.

Paulik roześmiał się.

– Judy\.

– Garland? – zapytał sędzie.

– Tak, jest gejowską ikoną – odparł Paulik.

– Nie wiedziałem.

Większość pasażerów stanowili mężczyźni, ale wysiadało też trochę kobiet, idących pod rękę z innymi kobietami, niektóre przebrane w kostiumy, niektóre prawie bez ubrania. Verlaque szturchnął Paulika i wskazał na Rogera Caromba, który patrzył teraz prosto przed siebie i obserwował tłum z otwartymi ustami. Komisarz i sędzia znowu wybuchnęli śmiechem.

– To dlatego Edmond Martin nic nie powiedział rodzicom – stwierdził Verlaque, ocierając łzy z oczu. – To rejs gejowski.

Starając się szybko odzyskać powagę przed rozmową z Edmondem Martinem, obaj mężczyźni zakasłali. Wpatrywali się w pasażerów i wydawało im się, że rozpoznali mężczyznę z fotografii. Był przebrany za mnicha i siedł z dwoma mężczyznami w mundurach, którzy najwyraźniej nie należeli do przebranych pasażerów. Musiał to być kapitan i pierwszy oficer.

– Czy pójdziemy z powrotem do biura? – zapytał kapitan portu, stając przy policjantach. – Widzę już kapitana i pierwszego oficera,

mężczyzna przebrany w strój mnicha to najprawdopodobniej wasz M. Martin. Możecie skorzystać z mojego biura.

– Dziękuję – odezwał się Verlaque.

Skąpo odziany mężczyzna, który miał na sobie czapkę kucharską, fartuch i niewiele więcej, przeszedł obok i mrugnął do niego.

Pięć minut później byli w biurze, a przed nimi stał Edmond Martin.

– O co chodzi? – zapytał Martin, wykręcając dłonie. Rękawy jego długiego, białego habitu kołysały się w rytm jego ruchów.

– Obawiam się, że przywozimy złe wieści – powiedział Verlaque.
– Proszę usiąść.

– Ktoś z rodziny? – zapytał Edmond Martin, podskakując na krześle.

– Nie, nie – zapewnił go sędzia.

Martin ponownie usiadł i patrzył na Verlaque'a z przerażeniem w oczach.

– A zatem co się stało?

– Chodzi o Suzanne Montmory.

– Suzie?

– Tak. Z przykrością muszę panu powiedzieć, że Mlle Montmory zmarła wczoraj z powodu niewydolności serca.

Twarz Edmonda Martina zrobiła się biała jak ściana.

– Ale to niemożliwe – powiedział. – Ona jest zupełnie zdrowa. – Pokiwał z niedowierzaniem głową. – Nie – dodał. – To absolutnie niemożliwe. Z całą pewnością macie inną dziewczynę. Suzie jest w świetnej formie.

Paulik spojrzał na Verlaque'a.

– To bardziej skomplikowane – odezwał się i pochylił ponad

biurkiem kapitana portu w stronę młodego człowieka. – W środowe popołudnie, gdzieś między czwartą a siódmą trzydzieści Mlle Montmory została brutalnie zaatakowana i zgwałcona w swoim mieszkaniu, pozostawiona tam na śmierć. Przetrwała jeden dzień w szpitalu, ale niestety odeszła w czwartkowe popołudnie.

– O mój Boże – Martin próbował krzyknąć, ale z jego ust wydobył się tylko ochryply szept i spazmy.

Verlaque sięgnął przez biurko i podał mu pudełko chusteczek, patrząc na Paulika z wyrazem twarzy, który mówił: „To niemożliwe, żeby on to zrobił”.

– Bardzo mi przykro, Edmondzie – powiedział Verlaque. – Da pan sobie radę?

– Tak – odparł młody człowiek, ocierając łzy. – Dziękuję. Koledzy z rejsu mają podwieźć mnie na marsylskie lotnisko, czekają na mnie na parkingu. Wszyscy wylatujemy jutro rano, więc dziś zatrzymamy się w hotelu.

– Pańscy rodzice próbowali się z panem skontaktować w Montrealu i przekazać wieści. Komisarz Paulik odwiedził ich wczoraj.

– Naprawdę? – zapytał Martin, przestraszony.

– Musiałem dowiedzieć się, gdzie pan przebywa – wyjaśnił Paulik.

– Byłem podejrzany?

Paulik skinął głową.

Kapitan statku zrobił krok do przodu i wręczył Verlaque'owi kartkę papieru.

– Mogę zeznać, że M. Martin wszedł na pokład statku tutaj w Tulonie w niedzielę i nie opuszczał go, z wyjątkiem popołudniowego wypadu na zakupy w Cannes, aż do dzisiaj.

– Dziękuję – odpowiedział sędzia.

– Nie powiecie, panowie, moim rodzicom, że uczestniczyłem w tym rejsie?

– Nie – odparł Verlaque. – Ale wiedzą, że był pan w Prowansji, więc być może to dobry moment, by przekazał im pan... swoją nowinę.

– Nie – zaproponował Martin. – Wydziedziczą mnie.

– Może się pan myli – powiedział Verlaque. – Jakoś to przeżyją.

– Nie, nie oni.

– Czy nie spałby pan lepiej w nocy? – zapytał sędzia.

– Być może – odparł Martin. – Ale nie mam poza nimi żadnej rodziny i żadnego spadku.

Wioska po latach

To dziwne, pomyślała Pauline d'Arras, że wioska może wyglądać tak swojsko, jak wyglądała pięćdziesiąt lat temu, a jednak tak inaczej. Budynki stały wciąż te same, wszystkie wykonane z miejscowego złotego kamienia, wydobywanego tuż za wioską; kamieniołomy i pochodząca z nich żółta, porowata skała przyniosły wiosce bogactwo. Główna droga także się nie zmieniła, nadal skręcała na wschód przy spółdzielni *cave* i prowadziła delikatnie w dół w kierunku północnym, na zewnątrz osady. Oczywiście trudno byłoby zmieniać budynki i drogi, skoro wojna ich nie zniszczyła – myślała Mme d'Arras, siadając na ławce pod platanem. Nie zburzyło ich też trzęsienie ziemi. Bez trudu przypomniała sobie datę: 1909 rok, zginęło wtedy czternaścioro mieszkańców wioski.

Obok przeszła młoda matka odziana w strój, który Mme d'Arras uznała za *risqué* – spódniczka była o wiele za krótka jak na kobietę tak niską, o przysadzistej budowie. Kobieta mówiła coś niecierpliwie do swojego syna, z wyglądu zbyt wyrosniętego, by wozic go w wózku, i zbyt dużego, by pozwalać mu na ssanie

smoczka. Nosił jakieś anglo-saksońskie imię, choć oboje byli najwyraźniej Francuzami. Właśnie to się zmieniło, zdała sobie sprawę starsza pani – ludzie i sklepy. Pięćdziesiąt lat temu, może nawet trzydzieści, mogła usiąść na tej ławeczce i wiedziała, że zna wszystkich przechodzących. A oni znali ją – mijając ją, pochylali głowy i witali się: – Dzień dobry, Mlle Aubanel. – Czasem rozmawiali o gorących wrześnieowych dniach i przekazywali pozdrowienia siostrze Pauline. Natalie była od niej o dwa lata starsza, a Clothilde o dwa lata młodsza.

– Kochana Clothilde – mruknęła do siebie Mme d'Arras. Powinna już pójść do kaplicy i popytać, gdzie siostra jest teraz, bo nie mogła sobie tego przypomnieć. W kościele znajdzie też ulgę od gorąca. Cieszyła się, że zdecydowała się na tę podróż. Podniosła się z ławki i skierowała w dół głównej ulicy w stronę kościoła. Ze swoją okrągłą romańską absydą kaplica stanowiła jeden z pierwszych budynków, który się dostrzeżało, wjeżdżając do wioski od południa, od Aix. Gdy do niej doszła, była już zmęczona i żałowała, że kupiła butelkę wina w spółdzielni *cave* – nie umiała wybierać wina, zawsze robił to Gilles. Odłożyła torebkę na dół, na swoje stopy, i spojrzała na świątynię. Nie ozdobiły jej żadne ornamenty i to właśnie się Mlle d'Arras podobało – i rosące po każdej stronie budowli wysokie cyprysy. Nie było rzeźb ani żadnych innych elementów dekoracyjnych, jedyny akcent stanowił dzwon w małej wieżyczce w kościelnym frontonie. Drewniane drzwi wejściowe ustąpiły pod lekkim naciskiem, choć Mme d'Arras założyła, że nie uda jej się wejść do kaplicy. Ale chociaż w obawie przed wandalami i rabusiami większość wiejskich kościołów była zamykana w ciągu dnia, tym razem w środku pracowała sprzątaczką i zostawiła drzwi otwarte.

Ławka rodziny Aubanel znajdowała się na przedzie z lewej strony, w trzecim rzędzie. Mme d'Arras poszła tam teraz i usiadła. Sprzątaczką skinęła jej głową z miejsca, w którym wycierała ołtarz, i pracowała dalej. Wnętrze kaplicy znacząco różniło się od ciosanego z kamienia zewnątrz – gładkie, wapnowane ściany i sufit pomalowano na jasny niebieski – kolor tak lubiany przez konserwatorów z początku dwudziestego wieku. Mme d'Arras pochyliła się do przodu i bawiła się małym mosiężnym haczykiem, który kiedyś podtrzymywał ich kapelusze i torebkę mamy. Teraz wymknął jej się z dłoni i uderzył w drewnianą ławkę przed nią z głośnym stuknięciem. Sprzątaczką spojrziała na nią znowu, a Mme d'Arras pospiesznie wstała, przeżegnała się, przechodząc przed ołtarzem, i wyszła.

Z kaplicy tylko krótki spacer dzielił ją od domu z dzieciństwa. Sięgnęła do torebki i ustawiła butelkę wina przy kamiennej ścianie kościoła. Albo przyjdzie później i ją weźmie, albo jakiś mieszkaniec wioski lub sprzątaczką ją zabiorą. Niech korzystają – ona kupiła ją tylko ze względu na kierowcę autobusu.

Ścieżka, która prowadziła z kościoła do Hôtel Bollène, była zacieniona, znaczyły ją duże kępy waleriany, pomiędzy jej fioletowymi kwiatami krążyło mnóstwo motyli. Na końcu ścieżki Pauline d'Arras zmarszczyła brwi i zatrzymała się. Po drugiej stronie ulicy powinien znajdować się dom jej przyjaciółki Philomène – ładny budynek z lat dwudziestych, zbudowany po pierwszej wojnie światowej. Philomène mieszkała tam z matką i dwiema samotnymi ciotkami. Dziewczynki zaprzyjaźniły się, kiedy śpiewały w chórze. Obok domu biegła ścieżka, którą Pauline i jej siostry zawsze szły do domu. Mme d'Arras nie była tu od lat, a ostatnim razem, kiedy Gilles ją tu przywiózł, musiała nie zwrócić

uwagi na to, że zarówno dom Philomène, jak i ścieżka już nie istniały. Zastąpił je rząd nowoczesnych bungalowów oddzielonych wąskimi brukowanymi uliczkami, wykorzystywanymi jako parkingi. „Biedna Philomène” – pomyślała kobieta.

Radio lub telewizor – nie była pewna, które z nich ryczało z jednego z małych tandetnych budynków. Wzruszyła ramionami i poszła dalej. Nie pamiętała, że jej przyjaciółka wyszła za jednego z chłopców Joubertów i że wkrótce po ślubie wyprowadzili się do Aix. Co więcej, Philomène nadal śpiewała, ale teraz w kościele Saint-Jean de Malte.

Mme d'Arras podeszła kawałek w górę ulicy, lecz tak daleko, jak mogła sięgnąć wzrokiem, widniały nowe domy. Nie miała pojęcia, która była godzina, ale zdawała sobie sprawę, że jeśli chce być w domu przed kolacją, powinna wrócić na ławeczkę i poczekać na autobus (tak naprawdę było już piętnaście po siódmej). Obróciła się, postanawiając, że odwiedzi swój dom rodzinny innym razem. W tej chwili muzyka dobiegająca z jednego z domów ustała i otworzyły się drzwi. Mme d'Arras mlasnęła językiem, kiedy zauważyła, że żółta framuga desperacko potrzebuje malowania. Odskoczyła do tyłu i instynktownie przycisnęła torebkę do piersi.

– Dzień dobry – powiedział szybko mężczyzna, zamykając za sobą drzwi. – Co za niespodzianka.

– No cóż, nie wiem, dlaczego – odparła. – To moja wioska.

– O, doprawdy? – zdziwił się.

– Tu się wychowałam – mówiła dalej. – A to był dom Philomène.

– O, coś takiego. – Próbował się uśmiechnąć. – Od dawna pani tu jest?

Kobieta westchnęła.

– Oczywiście, że nie. Dlaczego miałabym się tu zatrzymywać na

dłużej, skoro Philomène najwyraźniej już tu nie mieszka? – Czuła złość na tego mężczyznę, była zła, że wioska tak bardzo się zmieniła (i to bez jej wiedzy i zgody), zła, że domu przyjaciółki już nie było i że już jej nie widywała. Choć prawda była taka, że Pauline d'Arras była zbyt wielką snobką, by utrzymywać kontakty z Philomène Joubert, kobietą, która przez czterdzieści lat z dumą pracowała w jednej ze szkół średnich w Aix, a jej mąż był drukarzem.

Mężczyzna zrobił krok naprzód, a starsza pani cofnęła się, zaniepokojona.

– Ja tylko chcę otworzyć drzwi samochodu – wyjaśnił. – Czy też przyjechała tu pani samochodem?

– Oczywiście, że nie. Nie umiem prowadzić.

– Pozwoli pani zatem, że zawiozę ją z powrotem do Aix – powiedział, wskazując na fotel pasażera. – Musimy wyruszyć zaraz albo utkniemy w korku. – Zauważył, że wachlowała się dłonią. – W samochodzie jest klimatyzacja – dodał.

– Dobrze – odparła. – Muszę wracać, by zrobić kolację.

– Oczywiście – powiedział, patrząc na zegarek. – Pospieszmy się więc.

Podał jej ramię, przeprowadził wokół samochodu na stronę pasażera i pomógł wsiąść, trzymając jej torebkę, kiedy się sadowiła. Szybko przeszedł na stronę kierowcy, włączył silnik i wycofał. Mme d'Arras uważała, że zrobił to zbyt szybko, nie patrząc w lusterko wsteczne.

– Możemy jechać tą malowniczą drogą, przez las – zaproponował.
– *Route nationale* będzie zapchana.

Kobieta była zbyt zmęczona, by protestować. Ponieważ ledwie zwolnił przed znakiem stopu, musiała przekrzywić głowę, by po raz

ostatni spójrzeć na kaplicę i jej okrągłą absydę. Zerknęła na kierowcę, już się nie uśmiechał, patrzył przed siebie z obiema rękami mocno zaciśniętymi na kierownicy.

Zbyt szpanerski jak dla mnie

– I co myślisz? – zapytała Marine. Stała w swoim pokoju dziennym, z rękami na biodrach, miała na sobie niebieską jedwabną portfelową sukienkę i zielone sandały na wysokich obcasach.

– Wyglądasz rewelacyjnie, może po prostu powinniśmy zostać dziś wieczór w domu – odparł Verlaque, odkładając książkę, by się lepiej skoncentrować. – Jesteś pewna, że chcesz iść? – zapytał. Wstał z kanapy i podszedł do Marine, by pocałować ją w czoło, co nieomal zmusiło go do stanięcia na palcach.

– Oczywiście, że chcę – odpowiedziała. – Przecież obiecałam.

– I nie będziesz miała nic przeciwko tuzinowi palaczy cygar?

Marine roześmiała się.

– Tuzin palaczy cygar na dworze w letni wieczór? Nie. To nie będzie dużo gorsze niż jazda twoim porsche, kiedy palisz przy zamkniętych oknach.

– Hej, to nie fair – bronił się Verlaque. – Zawsze otwieram okna.

Marine uśmiechnęła się.

– Rzeczywiście. Nie otworzyłeś ich tylko raz, dlatego że zaczęło padać. Ale obiecałeś mi dobre jedzenie i doskonałe wina

dzisiejszego wieczoru, więc zbierajmy się, zanim zmienię zdanie. Inne żony i dziewczyny też tam będą, prawda?

– Dwa razy do roku to dozwolone – odpowiedział sędzia. – Ale nie więcej. Pierre i Jean-Marc oczywiście też tam będą.

– Ale oni są parą! Czy to jest w porządku?

– Tak, ponieważ oni obaj należą do klubu – wyjaśnił Verlaque, zdejmując marynarkę z wieszaka w holu. – Poza tym nie wiem, czy inni koledzy zauważyli, co ich łączy.

Marine nałożyła nieco szminki przed lustrem w holu. Zacisnęła usta i powiedziała:

– Jestem pewna, że to zauważyli. Nie są tępi. – Uśmiechnęła się do Verlaque'a, a on roześmiał się, wiedząc, że się z nim drażni. Kiedy obaj mężczyźni powiedzieli mu o swojej miłości, była to dla niego kompletna niespodzianka.

– Kto jest dzisiaj gospodarzem klubu palaczy cygar? – zapytała Marine.

– Jacob – powiedział Verlaque. – Jest w połowie Egipcjaninem, w połowie Francuzem. I pracuje w londyńskim city.

– W Londynie? Dlaczego tak daleko?

– Dowiesz się wieczorem.

Piętnaście minut później Verlaque przejechał swoim porsche przez kilka wysokich czarnych bram, które pozostawiono otwarte dla gości.

– Ależ tu pięknie – odezwała się Marine, wychylając głowę przez otwarte okno. – Może to głupie, ale uwielbiam ten podjazd.

Sędzia uśmiechnął się i otworzył swoje okno. Strasznie lubił entuzjazm Marine, nawet dla podjazdu. Ptaki śpiewały, przelatując pomiędzy platanami a sosnami, rosnącymi wzdłuż podjazdu.

– Masz rację – powiedział. – Bywałem już tutaj, ale tylko wieczorami. Teraz rozumiem, o czym mówisz.

Podjazd nie był brukowany, dwa wąskie pasy z kamieni wyznaczały drogę dla kół pojazdów. Pomiedzy nimi i po każdej ich stronie rosła jasnozielona trawa, więc ogólne wrażenie, jakie się odnosiło, dojeżdżając do domostwa, było związane nie z betonem, nie z kamieniem, ale z *verdure*. Coś w śpiewie cykad, w ciepłe wieczoru i przymglonej zieleni sprawiło, że oczy Verlaque'a się zaszklily. Samochód powoli podskakiwał na ścieżce, aż zatrzymał się na końcu podjazdu, na dużym, zwirowanym parkingu.

Wypieszczony *deux chevaux* Pierre'a przyćmiły dużo większe samochody, w większości niemieckie, i trzy lub cztery SUV-y. Pierre i Jean-Marc właśnie wysiedli z małego niebieskiego pojazdu, podszli do Verlaque'a i wymienili *bise*. Wszyscy trzej mężczyźni zerknęli na przednie siedzenie srebrnego porsche cayenne.

– Czyj to samochód? – zapytał Pierre. – Nie poznaję go.

– Należy do Christophe'a Chazeau – odparł Verlaque. – Mówił mi o nim, kiedy wpadłem na niego w Café Mazarin.

Jean-Marc obszedł samochód. Marine przyglądała się mężczyznom z uśmiechem.

– Zachowujecie się jak nastolatki – zawołała.

Pierre wzruszył ramionami, mówiąc:

– Cóż mogę powiedzieć, to po prostu piękne obiekty.

Verlaque nogą usunął błoto z lewego tylnego błotnika.

– Christophe musi umyć to swoje cacko.

– Hej, czy coś jest nie tak z Marine? – zapytał Pierre.

Verlaque obrócił się i zobaczył, że Marine wpatruje się w dom.

– Marine! – zawołał Jean-Pierre. – Zapomniałaś języka w gębie?

– Ciii... – odpowiedziała Marine, idąc w ich stronę. – Usłyszą!

– Ty lubisz domy, my lubimy samochody – odezwał się Verlaque.

– Imponująca budowla, prawda? – powiedział Pierre.

– Tak, imponująca, ale nie nachalna – odrzekła kobieta. – To chyba najpiękniejszy dom, jaki kiedykolwiek widziałam.

Trzej mężczyźni odwrócili się od Marine, by przyjrzeć się trzystuletniemu *mas*. Dom, pomimo swojej wielkości – Pierre mruknął, że musi tam być ze dwanaście sypialni – był bezpretensjonalny. Wyglądał tak, jakby zaczynał jako mały *manoir*, czy też lokum bogatego rolnika, i przez dziesięciolecia, a nawet stulecia rozbudowywano go w bardzo harmonijny sposób. Został wykonany z szorstkiego, odkrytego kamienia, okiennice pomalowano na jasnoszary kolor. Rosnące wokół rośliny, należące do miejscowej flory, mieniły się niezliczonymi odcieniami zieleni i szarości, gdzieś pojawiały się wysokie, wąskie cyprysy. Wszyscy czworo okrążyli budynek, przechodząc na jego tyły, gdzie usłyszeli śmiech, muzykę i odgłosy rozmów. Około tuzina par zgromadziło się wokół długiego, eleganckiego basenu. Kamienny, wysoki na półtora metra mur chronił przed wiatrem jego północny kraniec, ponad murem wznosiły się pokryte winoroślą wzgórza. Na zachodzie ukazywało się kolejne, bardziej strome wzgórze, z tarasami wypełnionymi roślinnością: małymi, zaokrąglonymi żywopłotami, rozmarynem, tymiankiem, lawendą oraz tu i ówdzie śródziemnomorskimi kwiatami, które kochają słońce, nie są wymagające w kwestii gleby i znoszą chłodne zimy w okolicach Aix.

– Wszystkie są białe – powiedział Pierre, patrząc wraz z Marine na rośliny. – Mam na myśli kwiaty.

– Masz rację – zgodziła się. – Właśnie to sprawia, że ten ogród jest tak przyjemny dla oka.

– I w dobrym guście – odparł Pierre, mrugając okiem.

– Proszę, proszę – dało się słyszeć Fabrice’a, prezesa klubu cygarowego i właściciela sklepów hydraulicznych w całej Prowansji, który właśnie podchodził do Pierre’a i Marine. – Wspaniale cię widzieć, Marine. – Przełożył swojego dużego drinka z prawej ręki do lewej, by móc uścisnąć dłoń kobiety.

Marine zamiast tego pochyliła się w jego kierunku i złożyła *bise* na jego policzku.

– Czy jest tutaj twoja żona? – zapytał Pierre.

– Nie – odparł Fabrice. – Nasza najstarsza córka lada chwila ma urodzić. Moja żona siedzi w domu i czeka na telefon od niej. A co u ciebie, Pierre?

– Co masz na myśli?

– Przyjechałeś tu z kimś wyjątkowym? – chciał wiedzieć Fabrice. Pochylił się i łokciem szturchnął Pierre’a w bok. – Jakaś miła, młoda dziewczyna, którą chciałbyś nam przedstawić?

– Przyjechałem z Jean-Markiem – odpowiedział Pierre spokojnie.

Fabrice skinął głową i wyglądał na zakłopotanego, ale po chwili się uśmiechnął:

– Wiedziałem.

– Cześć, Fabrice – przywitał się Verlaque, który właśnie podszedł i objął Marine w talii.

Fabrice pochylił się do przodu i powiedział z ekscytacją:

– W pawilonie przy basenie jest człowiek, który robi mojito lepsze od tego, które piłem na Kubie.

– Brzmi wspaniale. Chodźmy i spróbujmy – Verlaque zwrócił się do Marine.

Fabrice pociągnął ostatni głośny łyk przez słomkę i rzekł:

– Zaraz do was dołączę. Chyba potrzebuję kolejnego drinka.

W drodze do pawilonu spotkali Jacoba i jego żonę, Rebecę.

Dokonano prezentacji, a Rebecca powiedziała:

– Proszę wszystkim się częstować – aperitif każdy bierze sobie sam, a potem usiądziemy razem do kolacji. A teraz wybaczcie mi, muszę biec i przynieść więcej tapenady.

– Sama ją robi – oznajmił Jacob z promiennym uśmiechem.

– Naprawdę? – zapytała Marine z podziwem. Tylko raz spróbowała zrobić tapenadę, ale drylowanie oliwek było dla niej zbyt męczące.

– Oto pierwsze cygaro tego wieczoru – zaoferował José, inny członek klubu, wręczając Verlaque'owi małe kwadratowe drewniane pudełko. – To Limited Edition Upmann.

Verlaque przedstawił mu Marine.

– Moja żona, Carmé, chce cię poznać – powiedział José. – Jest tam, ma na sobie beżowe spodnie i białą bluzkę. Uczy hiszpańskiego na uniwersytecie, a ja powiedziałem jej, że wykładasz prawo.

– O, to wspaniale – odparła Marine. – Powiedz Carmen, że z chęcią poplotkuję o uniwersytecie.

José i Verlaque roześmiali się.

– Powiem jej. A jej imię brzmi Carmé – odezwał się José. – To kataloński odpowiednik Carmen.

José oddalił się, by podawać kolejne cygara. Verlaque ściął końcówkę upmanna i zaczął się poklepywać po kieszeniach marynarki, ale szybko zorientował się, że nie ma przy sobie zapalniczki. Kiedy obrócił się w prawo, zobaczył nieznanego mężczyznę, który zbliżał płomień do jego cygara.

– Dziękuję – powiedział Verlaque, zapalając cygaro. – Chyba jeszcze się nie spotkaliśmy. Jestem Antoine Verlaque.

– Dzień dobry – odrzekł mężczyzna, ściskając dłoń sędziego. –

Philippe L ridon.

– A to Marine Bonnet – dodał Verlaque.

– Miło mi cię poznać. Czy teŹ palisz cygara?

– O nie – odparła Marine. – Jestem tutaj jako reprezentacja Źon i partnerek.

L ridon rozeŹmiał si .

– A ty? – zapytała kobieta. Pr bowała nie wpatrywa  si  w niego, ale sk dŹ go znała. Sk d? Aix było takie małe, m gł sta  w tej samej kolejce w Monoprix.

– Na ten wiecz r zaprosił mnie Christophe Chazeau – wyjaŹnił L ridon.

Verlaque powiedział:

– Posłuchajcie, moŹe wy dwoje zostanieie tutaj i porozmawiacie, a ja zdob d  jakieŹ mojito, zanim Fabrice wszystkie je wypije.

Marine nie okazała rozczarowania tym, Źe towarzysz j  opuŹcił i została zmuszona do rozmowy z kimŹ, kogo ona i jej najlepsza przyjaci łka Sylvie okreŹliłyby s wem *kek*. Philippe L ridon był w kaŹdym calu m Źczyzn  Źródziemnomorskim: za duŹo Źłotej biŹuterii, zbyt wiele opalenizny, dopasowana i zbyt nisko rozpi ta koszula, pozwalaj ca pochwali  si  mi Źniami na brzuchu. Niezr czn  chwil  przerwało przybycie m Źczyzny, kt rego poznała przelotnie w Caf  Mazarin.

– CzeŹ , Christophe – przywitała si . – Miło ci  tutaj widzie . – I wtedy coŹ zaskoczyło – przypomniała sobie, gdzie widziała Philippe L ridona. To zdarzyło si  w kolejce, ale nie w Monoprix, tylko na poczcie.

– Och, cała przyjemnoŹ  po mojej stronie – powiedział Christophe, obdarzaj c Marine *bise*. Ona zauwaŹyła, Źe obaj m ŹczyŹni mieli na sobie cienkie paski od Herm sa, takie, jakie

nigdy jej się nie podobały. Słuchała, kiedy rozmawiali o nowym samochodzie Christophe'a.

Verlaque wrócił z dwoma drinkami mojito, jednym już w połowie opróżnionym. Marine roześmiała się, a Verlaque radośnie wzruszył ramionami.

– Jak leci, Christophe?

– Tak sobie – odparł zapytany. – Problemy rodzinne.

– Witam w klubie – powiedział Verlaque. – Co się dzieje?

– Moja ciotka Pauline przysparza nam kłopotów. Błąka się po Aix i często przywozi ją lub przyprowadza do domu ktoś zupełnie obcy.

– Pauline d'Arras jest twoją ciotką? – zainteresował się Verlaque.

– Tak.

– Twój wuj przyszedł do Palais de Justice, twierdząc, że zaginęła. Powiedziano mi, że wróciła do domu kilka godzin później, cała i zdrowa.

Chazeau skinął głową.

– Tak, tak było. A tutaj właśnie się dowiedziałem, że utrudnia życie mojemu obecnemu tu kumplowi Philippe.

– *Ah bon?* – zapytał Verlaque.

– Jesteśmy sąsiadami – wyjaśnił Lériidon. – Przeprowadzam gruntowny remont mojego domu i obawiam się, że to jest źródłem sporego hałasu. Co więcej, wiertarka udarowa spowodowała drobne pęknięcia w kuchennych ścianach madame. Zaoferowałem ich naprawę.

Marine spojrzała na Lériidona, zirytowana sposobem, w jaki podkreślił słowa „gruntowny” i „drobne”.

– Gdzie znajduje się twój dom? – zapytała.

– To Hôtel Panisse-Passis, przy rue Émeric David – wyjaśnił

Léridon. – Znasz go?

– O tak – odparła. – Jestem rodowitą mieszkanką Aix. – Starła się nie okazać rozczarowania, to zawsze był jeden z jej ulubionych *hôtels*, choć podupadły, to wciąż elegancki. – Ale twoje ubezpieczenie pokryje szkody, prawda?

– Tak, oczywiście. Jednak Mme d'Arras nadal nie chce ze mną rozmawiać, a kiedy już się odezwie, grozi, że pozwie mnie do sądu. – Teraz Marine połączyła ze sobą wszystko: starsza kobieta na poczcie wpychająca się bez kolejki była ciotką Christophe'a i sąsiadką Philippe, z którym wdała się w zacieklą dyskusję.

– Czy mogłaby to zrobić? – zapytał Verlaque.

– O tak – odparł jej siostrzeniec. – Moja ciotka jest bardzo zgorzkniałą osobą i lubi unieszczęśliwiać innych.

– Ojej, to dziwne tak mówić o własnej ciotce – odważnie spostrzegła Marine.

Verlaque dokończył drinka z głośnym siorbnięciem, a ona popatrzyła na niego poirytowana.

– Wiem, że to brzmi nieprzyjemnie, ale prawda jest taka, że ostatnio mamy jej trochę dosyć – kontynuował Chazeau. – Dzwoni do mojej mamy późno w nocy i oskarża ją o jakieś bzdury, które miały miejsce dawno temu. Mama po takiej rozmowie jest cała roztrzęsiona. Myślę, że jedyną osobą, która aktualnie może wytrzymać z moją ciotką, jest jej mąż. No i oczywiście Coco, jej pies.

Obiad podano w jadalni, która, jak oceniła Marine, była większa niż jej pokój dzienny, jadalnia i kuchnia razem wzięte. Do pomocy przy obsłudze gości zostały zatrudnione dziewczyny z okolicy, a nadzór nad kuchnią i jadalnią sprawowała para w średnim

wieku, o której Rebecca powiedziała Marine, że pracuje dla jej rodziny od trzydziestu lat.

– Są dla nas jak domownicy – stwierdził Jacob po obiedzie przy kawie na tarasie. – Pomogli nam wychować nasze trzy gracje – tak nazywamy nasze córki. Dokądkolwiek jedziemy, Tony i Margritte wybierają się z nami. Zginęlibyśmy bez nich.

Marine uśmiechnęła się, była pod wrażeniem uczucia, jakie Jacob okazywał tej parze.

Po obiedzie Verlaque i Fabrice usiedli na szezlongach i zapalili cygara. Fabrice szarpał się z oparciem mebla, próbując ustawić je pod odpowiednim kątem.

– O, teraz jest dobrze – powiedział w końcu, krzyżując wyprostowane nogi i opierając głowę, by się zaciągnąć. Pociągnął łyk domowego limoncello i oblizał usta, patrząc na Verlaque’a. – Ten nowy facet, Léridon, wydaje się w porządku.

– Tak myślisz? – zapytał Verlaque. – Dla mnie zbyt szpanerski. Nie wiem, czy powinienem głosować za jego członkostwem w klubie.

Fabrice spojrzał na Verlaque’a.

– Za dużo wymagasz od ludzi. Daj mu spokój.

Sędzia milczał.

– Wiesz, że Pierre przyjechał dzisiaj z Jean-Markiem? – zapytał Fabrice.

Verlaque zaciągnął się cygarem.

– Wiem, wpadliśmy na nich na parkingu.

Fabrice zdjął nogę z nogi i postawiwszy stopy po dwóch stronach krzesła, przesunął je, by siedzieć bliżej Verlaque’a. Starał się przy tym nie uронić ani kropli limoncello z kieliszka.

– Czy mam potrzymać twój trunek, kiedy tak dziwnie się

poruszasz? – zapytał sędzia ze śmiechem.

Kolega wręczył mu swój kieliszek i próbował przesunąć krzesło w bok. W tym czasie Verlaque starał się utrzymać jednocześnie dwa kieliszki i swoje cygaro.

– Wiesz, co myślę? – zapytał Fabrice, gdy jego krzesło znalazło się już obok krzesła Verlaque’a. Pochylił się do sędziego najbliżej, jak mógł, nie wywracając mebla.

– Co takiego?

– Że oni są parą.

Verlaque pociągnął nieco limoncello.

– Myślę, że masz rację, Fabrice. Jesteś dobrym obserwatorem.

Sędzia zamilkł i, niepewny, co prezydent klubu będzie myślał o parze gejów w ich szeregach, czekał, aż to on się odezwie. Bezgranicznie mu ufał, ale wiedział też, że Fabrice pochodzi z marsylskiej rodziny robotniczej, a w swoim życiu zawodowym, upływającym wśród hydraulików i robotników budowlanych, prawdopodobnie nigdy nie spotkał homoseksualistów. Klub palaczy cygar, jak musiał przyznać Verlaque, myśląc o drogich samochodach na parkingu tego wieczoru, także hołdował kulturze macho. Istniało jednak wiele wyjątków, które przeczyły powszechnemu przekonaniu, że palacze cygar są bogaci i konserwatywni, jak choćby Pierre i Jean-Marc oraz jedyna w klubie kobieta, farmaceutka Virginie, dziś niestety nieobecna.

– I wiesz, co jeszcze? – zapytał Fabrice.

Verlaque wydał z siebie długie, przesadne westchnienie.

– Nie. Co takiego, Fabrice?

Kolega spojrzał przez taras na Jean-Marca i Pierre’a, którzy zajęci byli rozmową z Marine i Carmé.

– Myślę, że to wspaniale, iż mamy... parę gejów... w naszym

klubie, dzięki temu możemy też mieć kilku facetów, którzy lubią biżuterię. Potrzebne są wszystkie gatunki, prawda?

– Potrzebne są wszystkie gatunki do czego, Fabrice? – zapytał Verlaque ze śmiechem.

Fabrice postukał w krzesło sędziego podeszwą buta.

– Wiesz, co mam na myśli! Potrzebne są... wszystkie gatunki ryb, by ugotować *bouillabaisse*!

Kwiaty Philomène

Victor Bonnard leżał w łóżku z rękoma pod głową i wpatrywał się w sufit. Kiedy miał dziewięć lat, razem z ojcem przykleili na nim gwiazdy świecące w ciemnościach. Spojrzał na Wielką Niedźwiedzicę i zastanawiał się, kiedy powinien zdjąć te gwiazdy, teraz miał już przecież osiemnaście lat. Ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę – powiedział.

– Wiem, że jeszcze nie ma dziesiątej – odezwał się Olivier Bonnard, wchodząc do pokoju i siadając na krawędzi łóżka – ale wczoraj wieczorem nigdzie nie wychodziłeś, więc pewnie się wyspałeś.

Victor leżał bez ruchu i patrzył na gwiazdy.

– Wiesz, że gdy byłem w twoim wieku, też chodziłem do La Fantaisie? Wnętrze jest z pewnością wciąż takie samo, tylko muzyka się zmieniła.

– Tak, już nie ma Beatlesów.

Olivier żartobliwie trzepnął syna lekko w głowę.

– Nie jestem aż taki\ stary! – Spojrzał na syna, podziwiając jego kształtny orli nos, wysokie kości policzkowe i piegi, które chłopak

odziedziczył po matce. – Nadal jesteś na mnie wściekły? – zapytał.

– Uhm.

– Przepraszam za to, co wtedy powiedziałem.

– I masz za co.

– Co miałem myśleć? – tłumaczył się Olivier. – Niewielu z nas ma klucze do tej piwnicy. Byłem w szoku.

Victor obrócił głowę, by spojrzeć na ojca.

– No dobrze, w porządku. Ale musisz wiedzieć, że nigdy, przenigdy nie zabrałbym twojego... naszego... wina.

– Tak – odpowiedział Olivier. – A gdybyś z jakiegokolwiek powodu potrzebował pieniędzy, poprosiłbyś nas. Prawda?

– Oczywiście!

Jakiś samochód wjechał na zwirowane podwórze ich posiadłości i zarówno Olivier, jak i Victor podskoczyli, by wyrzucić z okna sypialni.

– Ach, to Rémy przyjechał, by zabrać tatę na grę w *boules*. – Obaj mężczyźni patrzyli, jak Albert Bonnard szybkim krokiem zmierza do zdezelowanej furgonetki listonosza, ściskając w rękach swój skórzany worek marynarski.

– Widać, że uwielbia *boules* – powiedział Victor ze śmiechem. Opadł z powrotem na łóżko i podciągnął kołdrę pod szyję.

– Nie bierz się tak – rzekł Olivier, siadając z boku łóżka. – Zadzwoił do mnie wczoraj mąż Hélène, Bruno. Pamiętasz go, prawda?

– Owszem. Duży, groźnie wyglądający glina. Zawodnik rugby.

– Policjant, nie glina – odparł Olivier. – Tak, to on. Powiedział mi, że jego szef, Antoine Verlaque, odwiedził w Paryżu złodzieja win i uzyskał pewne informacje, które mogą nam pomóc.

Victor usiadł.

– Naprawdę? To w obecnych czasach gliny, przepraszam, policjanci, odwiedzają złodziei win?

– Tak naprawdę jest on zresocjalizowanym złodziejem i teraz pomaga policji rozwiązać przypadki kradzieży drogich win.

– I co ten facet mówi? – zapytał Victor.

– Że złodziej wróci. – Olivier Bonnard wstał i chwycił za klamkę.

– Więc wstawaj i ubieraj się.

– Idziemy na wartę czy co? Muszę zjeść śniadanie. Skąd ten pośpiech?

– Bo właśnie sprawdziłem piwnicę – powiedział Olivier. – Zniknęły kolejne butelki.

Marine zdawała sobie sprawę, że marna z niej katoliczka. Czasem żałowała, że nie ma takiej bezkrytycznej wiary, jaką mieli jej rodzice. Lubiła tajemniczy nastrój kościoła, jego ceremonie, ale nie wierzyła wystarczająco mocno, by regularnie chodzić na msze. A może to tylko wymówka? Może była zbyt leniwa, by wstawać z łóżka w niedzielne poranki? Nie, chyba nie. Nie zgadzała się ze stanowiskiem papieża w kwestii zapobiegania ciąży i aborcji. Przy tym to ironia losu, że tak dobrze czuła się w kościołach. Kochała ich surowe kamienne ściany, złote światło wlewające się do środka przez wysokie okna, tak jak tego sobotniego poranka. Kochała też kościelne pieśni i czas na medytację. Odczuła coś na kształt ulgi, kiedy Antoine powiedział, że idzie popracować do Palais de Justice, wiedziała, że sama zaraz wybierze się do Saint-Jean de Malte. Na placu leżały opadłe z drzew błyszczące brązowe kasztany, odrzucała je delikatnymi kopnięciami na boki, idąc do kościoła. Zobaczyła tam nowe szklane drzwi wejściowe i przypomniała sobie, że jej matka opowiadała o ich cenie i o trudnościach, jakie

napotkali mnisi, szukając właściwych\ drzwi. Wnętrze kościoła jak zawsze pachniało kadzidłem, a piękno budowli zaparło jej dech w piersiach. Kiedy usiadła i rozejrzała się dokoła, zdała sobie sprawę, że wszystko miało złotą barwę. Kamienie na ścianach, światło padające z południowych okien, pozłacana ambona i rzeźba Maryi, polerowane mosiężne nowoczesne lampy, a nawet plecione trzcinowe siedzenia. Obróciła się, by spojrzeć na nowe organy, ufundowane w dużym stopniu dzięki sprzedaży wina, którą organizowali jej rodzice. One także były złote, wyrzeźbione z jasnego drewna – być może z brzozy – z wykonanymi ze stali nierdzewnej błyszczącymi piszczałkami, które wzbijały się ku sklepieniu. Uświadomiła sobie, że doskonałość tego kościoła tkwiła w tym, że był on piękny jako całość. Żaden z elementów się nie wyróżniał – jak choćby jakieś słynne malowidło czy doskonała rzeźba. Ale cała budowla jako jedność była doskonała.

Jakiś gwar sprawił, że znowu się obróciła. Kościół wypełniały teraz starsze kobiety, niosące naręczka kwiatów i szepczące do siebie z ożywieniem. „Oczywiście – pomyślała Marine – jest sobota na początku września, jutro na pewno odbędzie się jakiś ślub albo dwa”. Wstała z krzesła i przeszła do małej kaplicy, by zapalić świeczkę. Południowe kaplice zawsze były zbyt wilgotne i w opłakanym stanie i Marine zauważyła, że ściany wyglądają na jeszcze bardziej popękane niż wtedy, kiedy była tu ostatnim razem. Włożyła dwa euro do otworu automatu i usłyszała, jak moneta spada z grzechotem. Pochyliwszy głowę i zamknąwszy oczy, Marine modliła się do wszelkich duchów, jakie mogły jej teraz słuchać. Uniosła prawą dłoń i lekko ucisnęła zewnętrzną część lewej piersi. Guzek wciąż tam był, jak twardy groszek, albo nawet trochę większy, jak migdał. Stała nieruchomo przez kilka minut,

wpatrując się w migoczący płomień i starając się nie zauważać hałasu panującego w kościele za jej plecami. Teraz może pomóc jej współczesna medycyna, a nie święci, ale i tak cieszyła się, że przyszła. Zawróciła do wyjścia z kaplicy i obserwowała kręcące się po kościele kobiety. Prawie zazdrościła im ich porannych sobotnich obowiązków. To na pewno bardzo miłe – odczuwać taką pewność i działać zgodnie z jakąś rutyną.

– Kogo ja widzę? – odezwał się męski głos obok niej. – Czy to nie jest Marine Bonnet?

Uniosła wzrok i zobaczyła uśmiechającego się do niej *père* Jean-Luca.

– Dzień dobry, ojciec – przywitała się i uściśniła jego dłoń. Omal nie dodała: „Dawno się nie widzieliśmy”, ale uśmiechnięty opat w najmniejszym stopniu nie wydawał się zły, że jej noga nie postąpiła w kościele od pogrzebu Étienne’a Bremonta. Zakonnik widział wcześniej, jak Marine zapalała świecę, ale miał na tyle taktu, że nie dociekał, co robi w kościele.

– Jak ci się podobają? – zapytał, spoglądając w górę na organy, które zajmowały większą część balkonu nad drzwiami wejściowymi.

– Są wspaniałe – odparła. – Moi rodzice mówili, że są duże, ale nie miałam pojęcia, że aż tak.

– Musieliśmy przekonywać twoją matkę, że sprzedaż wina, specjalnego Cuvée Saint-Jean de Malte, pomoże opłacić nowe organy – powiedział. – Ale kiedy już w to uwierzyła, była najlepszą z naszych sprzedawczyń.

Marine roześmiała się.

– Kupiłam kilka skrzynek, podobnie jak wielu spośród moich przyjaciół.

– To było dobre różowe wino, prawda? Ja sam nie piję dużo różowego – kiedy jest gorąco, wolę zimne piwo – ale tamto wino było naprawdę dobre.

Marine uśmiechnęła się i skinęła głową, zachwycona tym, że zakonnik dzieli się z nią opinią na temat win.

– No cóż, muszę iść – mówił dalej – jak widzisz, mamy dziś wypełniony dzień.

– Tak, widzę, ojczy – powiedziała, chwytając jego dłoń. – Miłego dnia.

– Miłego dnia, Marine. Bardzo miło było cię zobaczyć. – Patrzyła, jak idzie w kierunku ołtarza, a potem zakrystii – być może miał nadzieję na mały lunch przed uroczystościami ślubnymi i całą poprzedzającą je gorączką.

– Czy to Mlle Bonnet? – dał się słyszeć kobiecy głos za Marine.

Kobieta obróciła się i zobaczyła starszą panią z białymi włosami, opaloną, zdrowo wyglądającą twarzą i jasnymi niebieskimi oczyma.

– Ach – powiedziała Marine, uśmiechając się. – Mme Joubert. Jak się pani ma?

– No cóż, jestem bardzo zajęta – odpowiedziała Philomène Joubert, wachlując się. – Mieliśmy dzisiaj trzy śluby, więc zajmujemy się teraz kwiatami, jak widzisz. Nie, Constance, tutaj żadnych lilii!

Mme Joubert była sąsiadką Marine, z okien obu kobiet rozpościerał się widok na podwórko, które dzieliło ulicę, przy której mieszkała Marine, od rue Cardinale.

– Jak się ma M. Joubert? – zapytała Marine.

– Ma siedemdziesiąt trzy lata i wciąż pracuje – odparła Mme Joubert. – Za żadne skarby nie opuściłby swojej drukarni. I pomyśleć, że niektórzy ludzie we Francji chcą przechodzić na

emeryturę w wieku sześćdziesięciu lat.

Marine uśmiechnęła się, wiedząc, że jej sąsiadka ma na myśli partię socjalistyczną i jej wyborców. Był to też jeden z koników Antoine'a Verlaque'a.

– Skoro M. Joubert wciąż pracuje, to dobrze, że pani jest nadal zaangażowana w kościele i w chórze.

– Tak, ten kościół! Znam go tak, jak gdybym go sama zbudowała.

Marine uśmiechnęła się, słysząc, w jak niezwykle sposób Mme Joubert wykorzystuje stare prowansalskie powiedzenie.

– Czy ochrzczono panią w Saint-Jean de Malte?

– Och, absolutnie nie. Daleko od Aix, mówię pani.

– Na północy? – zasugerowała Marine.

– Tak, w Rognes!

Marine ze wszystkich sił starała się nie roześmiać. Rognes było wioską oddaloną o pół godziny drogi na północ od Aix. Słyszając „północ”, Marine pomyślała o Normandii albo Bretanii.

– Zamieszkałam w Aix, kiedy wyszłam za mąż – mówiła dalej Mme Joubert. – Constance! – zawołała nagle, trzymając ręce na grubych biodrach. Patrzyła, jak jej współpracownica umieszcza niewłaściwy bukiet kwiatów przed mównicą. – Muszę iść, Mlle Bonnard – powiedziała – może którejś soboty będziemy przygotowywać kwiaty dla pani?

Marine zmusiła się do uśmiechu. Starła się nie myśleć o guzku w piersi ani o Antoine Verlaque'u, który nie uznawał instytucji małżeństwa. – Być może – powiedziała cicho.

– Spróbuję dziś kawy etiopskiej.

– Odchodzi pan od swojej zwyczajowej włoskiej kawy?

– Dzisiaj zaszaleję – powiedział Jules, podziwiając głęboko

wycięty T-shirt, jaki miała na sobie Magali, i jej dopasowane dzinsy. Zaczynał się przyzwyczajać do jej ciemnego image'u: czarnej kredki do oczu, czarnego lakieru do paznokci, ciemnoczerwonej szminki. Jules przypatrywał się małemu diamentowemu kolczykowi w jej lewym nozdrzu i doszedł do wniosku, że pasował on do jej długiego, szczupłego nosa. Jego matce na pewno by się nie podobał, ale nie byli z Magali na takim etapie relacji, by się nad tym zastanawiać. Do tej pory ich rozmowy ograniczały się do pogody i kawy.

– Dzisiaj dzień pracy? – zapytała kelnerka, przesuwając cukierniczkę w stronę Jules'a.

– Tak – odparł. – Ale niedziele mam wolne. A pani? – miał nadzieję, że to brzmi wystarczająco lekko.

– Owszem, zamykamy w niedziele. To dobrze, bo mogę iść na mszę.

Wsypał do kawy brązowy cukier z paczki i wpatrywał się w Magali niepewny, co powiedzieć.

Kobieta roześmiała się i przeszła do stolika obok.

– Ludzie z Alzacji z pewnością są bardzo łatwowierni! – zawołała przez ramię do Jules'a. Przyjęła następne zamówienie i weszła do kawiarni, mrugając okiem. Jules wypił swoje espresso i pomachał jej na pożegnanie, pozostawiwszy na stole pieniądze, następnie skierował się w rue Chabrier. „Zatem niedziela to dobry dzień, by zapraszać gdzieś Magali” – pomyślał. – „Możemy iść na plażę albo na wystawę w Marsylii”. Nie miał pojęcia, co ona lubi robić. Szedł w stronę Palais de Justice, rozmyślając nad pomysłami na randkę. Do czasu, gdy doszedł do drzwi wejściowych, przekonał sam siebie, że nie może jej nigdzie zaprosić – przecież prawie się nie znali.

Podchodząc do dużej przestrzeni biurowej na drugim piętrze,

dzielonej przez sześciu oficerów, komisarza Paulika oraz sekretarkę sędziego, Mme Girard, usłyszał głośne dźwięki, które brzmiały jak płacz. Przyspieszył kroku. Kiedy przeszedł przez podwójne szklane drzwi, zobaczył Rogera, który pochylał się nad starszym mężczyzną siedzącym na ławce przy ścianie.

– Gwarantuję, że pańska żona wróci dzisiaj do domu – mówił Roger. Spojrzał na Jules'a i zwrócił oczy ku niebu. – Tak samo jak ostatnim razem. – Roger mrugnął do kolegi.

– Ostatnio nie było jej kilka godzin – odpowiedział mężczyzna. – Ale nie całą noc.

– Całą noc? – dopytywał Jules.

Otwartą dłonią Roger pokazał mu, by się wycofał.

– Wszystko jest w największym porządku, oficerze Schoelcher – powiedział głębokim głosem, o wiele zbyt uprzejmym i profesjonalnym jak na Rogera Caromba.

Jules zignorował kolegę i pochylił się nad starszym człowiekiem.

– Kiedy pańska żona zaginęła? – zapytał łagodnie.

Mężczyzna głęboko westchnął i odpowiedział:

– Tak jak zauważyłem, wyszła wczoraj krótko po lunchu. Ja udawałem się do pracy za piętnaście pierwsza, a kiedy wróciłem o wpół do szóstej, w zlewie wciąż tkwiły brudne naczynia z lunchu. Pauline zawsze zmywa od razu.

Jules przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą, starając się zignorować głośne westchnięcie Rogera.

– A pańska żona nigdy wcześniej nie opuszczała domu w ten sposób?

Mężczyzna spojrzał na Jules'a zaczerwienionymi, opuchniętymi oczyma.

– Nie, oczywiście, że nie – rzekł cicho.

Jules wstał i położył dłoń na ramieniu starszego pana. Szepnął do Rogera:

– To coś poważnego.

Nagle otworzyły się drzwi do biura, a Roger posłał Jules'owi spojrzenie, które mówiło: „O nie!”

W drzwiach biura pojawił się Verlaque. Zwrócił się do oficerów:

– Rozmawiałem przez telefon, a wtedy usłyszałem coś jakby płacz. Co się dzieje?

Roger skrzywił się i skinął głową w kierunku M. d'Arras'a.

– M. d'Arras – powiedział Verlaque, klękając na jedno kolano przy mężczyźnie. – Jestem sędzia Verlaque. Czy coś się stało? Czy pańska żona znowu zaginęła?

M. d'Arras potwierdził skinieniem głowy. Odczuł ulgę, że znalazł się przy nim *judge d'instruction*.

– *Qui*. Domyślam się, że wyszła wczoraj po południu. Do tej pory nie wróciła. Ma przy sobie torebkę – dużą, różową od Longchampa, którą kupiłem jej na urodziny. I to wszystko, co wzięła, nasze walizki i torby wciąż są w szafie. Sąsiedzi mówili, że Coco – nasz pudełek – czekał prawie przez całe popołudnie.

– Dał pan komisarzowi Paulikowi zdjęcie żony, prawda?

M. d'Arras przytaknął. Verlaque podniósł się i rzekł do Rogera:

– Proszę, znajdź tę fotografię Mme d'Arras. Jeżeli będziesz musiał, zadzwoń do komisarza do domu. – Wyciągnął rękę, by pomóc starszemu panu podnieść się, i poprowadził go do swojego gabinetu, zamykając za nimi drzwi.

– *Judge d'instruction* pomaga staruszkowi, którego zostawiła żona? – szepnął do Jules'a Roger. – *Incroyable!*

– On ma swoje powody – odparł Jules. – Poszukajmy tego zdjęcia.

– Zaraz po tym, jak zapalę papierosa.

Drzwi gabinetu Verlaque'a otworzyły się i sędzia wysunął głowę przez szczelinę.

– Oficerze Schoelcher, proszę przewodniczyć śledztwu. Jestem zaskoczony, że jeszcze obu was tutaj widzę. Idźcie znaleźć to zdjęcie i chwytajcie za telefony: do szpitali, na dworce kolejowe i autobusowe... tak jak zawsze.

– Tak, sir – odpowiedzieli policjanci.

Verlaque wrócił do swojego biura.

– Zaczniemy poszukiwania w całym departamencie, już od zaraz – powiedział do starszego mężczyzny. – Czy pańska żona prowadzi samochód?

– Nie, nigdy nie prowadziła.

– *Bon* – odezwał się Verlaque i usiadł naprzeciwko M. d'Arras'a.

– Przyjaźnię się z pańskim bratankiem, Christophe'em.

M. d'Arras podniósł głowę.

– A to dlatego pan sędzia mi pomaga.

Verlaque zignorował tę uwagę i mówił dalej:

– Spotkałem Christophe'a na przyjęciu wczoraj wieczorem. Martwi się stanem zdrowia psychicznego swojej ciotki. Czy ona cierpi na alzheimera?

Mężczyzna skinął głową.

– Z tego, co udało mi się wyczytać, wykazuje wszystkie symptomy wczesnej fazy tej choroby. Ale nie chce iść do lekarza. Uważa, że wszyscy lekarze są w spisku, którego celem jest zarabianie pieniędzy na niepotrzebnych operacjach i zabiegach. Nawet powiedziała to specjaliście, który sprawdzał guzek na jej tarczycy.

Sędzia westchnął głośno.

– Rozumiem. Gdzie pańskim zdaniem mogła się udać?

M. d'Arras potrząsnął głową.

– Zupełnie nie wiem. Nie jeździ samochodem, nie lubi podróży. Ale ostatnio mówiła, że chciałaby odwiedzić siostrę, Clothilde.

– Gdzie mieszka Clothilde?

– Na południowym zachodzie, w Jonquières, niedaleko Narbonne.

– Jonquières? – zapytał Verlaque. – Czy to nie tam, gdzie jest średniowieczny klasztor? – Pamiętał, że jego babcia, Emmeline, opowiadała mu o swojej wizycie w tym miejscu.

– Tak – odparł M. d'Arras. – Clothilde jest zakonnica.

Dzieci miłości

Hippolyte Thébaud ostrożnie wysiadł z wypożyczonego clio, nie chcąc, by zakurzyły się jego buty czy spodnie. Olivier Bonnard usłyszał samochód i wyszedł z domu, wycierając ręce w ręcznik kuchenny. Élise przeprowadzała inwentaryzację w swoim sklepie z wyrobami designerskimi i dziś to Olivier miał przygotować lunch dla dzieci i dla swojego ojca, Alberta, który denerwował się, czy zdąży na swoją grę w *boules*. Olivier przerzucił ścierkę przez ramię i uściśnął dłoń młodego paryżanina.

– Miło mi pana poznać – odezwał się. – Bardzo dziękuję, że pan przyjechał.

– *Pas de problème* – odparł Thébaud. – Mam przyjaciół w Gordes i właśnie się do nich wybierałem. Poza tym lubię wasze wina.

Bonnard uśmiechnął się.

– Dziękuję. To komplement w ustach takiego znawcy. Nasze południowe wina nigdy nie dadzą się porównać do tych z regionu Côtes de Nuit, ale...

– Ach! Côtes de Nuit! Jak to nie dadzą się porównać? – Thébaud

wybuchnął śmiechem.

Bonnard spojrzał na młodego człowieka, myśląc o tym, jak opisać go Élise wieczorem. Nie najlepiej zapamiętywał nazwiska gwiazd filmowych, więc nie mógł porównać twarzy Thébauda do twarzy jakiejś gwiazdy. Zauważył, że jasnoniebieskie oczy eksperta od win, jego wysokie kości policzkowe i pełne usta były piękne, ale to jego gęsta czupryna kręconych, jasnych włosów i eleganckie ubranie (bladozielony lniany garnitur z różową muchą w kropki i białe lakierki) zrobiły na nim największe wrażenie.

– A zatem złodziej wrócił? – powiedział Thébaud, patrząc z wyraźnym podziwem na rezydencję Bonnardów i na obszerne zabudowania gospodarcze.

– Tak, i wszyscy tu byliśmy – potwierdził Bonnard. – Zauważyłem kradzież dziś rano, wraz z synem próbowaliśmy zinwentaryzować to, co zostało zabrane. Tak jak za pierwszym razem zginęły przypadkowe butelki, niekoniecznie nasze najlepsze.

– Naprawdę? – zdziwił się Thébaud. – Zazwyczaj za drugim razem złodziej jest bardziej wybredny. – Mężczyzna spojrzał za siebie na masywne bramy z kutego żelaza i wysoki kamienny mur otaczający podwórze. – Czy przychodzi i odchodzi pieszo?

– Tak myślę. Oboje z żoną śpimy bardzo lekko, więc zbudziłby nas silnik samochodu czy motoru. Jednak nie słyszeliśmy złodzieja, kiedy zabierał butelki z naszej piwnicy.

– Jak przedostał się przez mur? – zapytał Thébaud.

– Sądzę, że przychodzi przez winnicę. Przy domu jest mała bramka, która prowadzi do starego ogrodu warzywnego, a za nim znajdują się winnice, otwarte na drogę. Zamek w tej bramce jest od lat zepsuty. Przypomniałem sobie o niej dziś rano i kazałem synowi założyć na niej kłódkę.

– Czy policja ma przyjść i zdjąć odciski palców?

– Tak, dzisiaj. Zaskoczyło mnie to, że zrobią to z powodu kradzieży wina.

– Kradzieże wina stały się wielkim biznesem i dochodzi do nich zaskakująco często. Każdego dnia dostaję o tym relacje, raz bywają to setki butelek, innym razem kilka, to tu, to tam. To zdumiewające, co ludzie potrafią zrobić dla soku z winogron. – Thébaud uśmiechnął się na myśl o tym, jak przewrotnie brzmią te słowa w ustach kogoś, kto spędził pięć lat w więzieniu za kradzież wina.

Przeszli przez zwirowane podwórze posiadłości, a Thébaud zauważył zgrabne proporcje rezydencji, docenił też urok żółtego kamienia, z jakiego została zbudowana, oraz flankujące ją budynki gospodarcze.

– Czy ludzie kradliby kilka butelek? – zapytał Bonnard.

– Niestety tak – odparł Thébaud. – Jeden z czołowych francuskich dyplomatów został ostatnio zwolniony ze swojego stanowiska w Hongkongu za to, że wymknął się z prywatnego klubu z dwiema butelkami bordeaux o wartości ponad pięciu tysięcy euro. Sądzę, że wierzył w swój immunitet dyplomatyczny. Ale przynajmniej miał dobry gust. – Paryżanin roześmiał się z własnego dowcipu. – Ale większość złodziei win to profesjonaliści – kryminaliści z górnej półki, tak jak ci, którzy kradną starych mistrzów i antyki, na zamówienie. Pańskie włamanie na takie nie wygląda. – Thébaud zmarszczył brwi, jakby czuł się rozczarowany amatorskim charakterem kradzieży w Domaine Beauclaire. – Proszę zaprowadzić mnie do piwnicy, ale gdybym miał zgadywać teraz, to powiedziałbym, że pański złodziej w ogóle nie jest złodziejem.

Verlaque przyglądał się, jak Marine pochyla się nad jego stołem jadalnym i pisze. Była wyjątkowo milcząca przez cały weekend, a dzisiejszego ranka towarzyszyła rodzicom w porannej mszy, czego nigdy wcześniej nie robiła. Powiedziała, że chciałyby usłyszeć nowe organy, ale to nie brzmiało przekonująco. A kiedy tylko wróciła do domu, zadzwoniła do Sylvie z sypialni Verlaque'a, zamknąwszy drzwi. Ale nie było w tym nic niezwykłego – uznał, że Sylvie ma nowego chłopaka. Przynajmniej taką miał nadzieję.

– Zrobię kolację – zaoferował, odkładając książkę.

– Słucham?

– Powiedziałem, że zrobię dzisiaj kolację – powtórzył. – Jutro rano masz wcześnie zajęcia, prawda?

Marine obróciła się, by spojrzeć mu w twarz.

– Tak, w poniedziałki zaczynam wcześnie. Dziękuję.

– Wszystko w porządku? – Kiedy wczoraj wrócił z Palais de Justice, szybko przebrali się i wyszli na pięćdziesiąte urodziny jednego z kolegów z pracy Marine i nie mieli okazji rozmawiać przed powrotem do łóżka o drugiej nad ranem, gdy byli już bardzo zmęczeni. Tego ranka, gdy Marine uczestniczyła w mszy, Verlaque wymknął się na rynek na Place Richelme i kupił figi, kozi ser i boczek, który zamierzał upiec w piekarniku.

Marine skinęła głową i odwróciła się tyłem do swoich notatek.

– Tak, wszystko dobrze. Jak idą twoje sprawy?

– Jutro przesłuchujemy personel szpitala – odparł Verlaque. – Tych pracowników, którzy wchodzili i wychodzili z pokoju Mlle Montmory. A Mlle d'Arras znowu zaginęła.

– Ciotka Christophe'a?

– Tak, nie ma jej od piątkowego popołudnia.

– *Mon dieu!* To okropne. Macie jakieś poszlaki? – zapytała.

– Nie, jeszcze nie. Do kierowania tym śledztwem wyznaczyłem młodego oficera z Alzacji, a on wysłał jej zdjęcie i opis do szpitali, na stacje kolejowe i tak dalej. – W tym momencie zadzwonił telefon Verlaque’a i na ekranie wyświetliło się nazwisko Schoelchera. – To właśnie on. Przepraszam, Marine.

Kobieta pokazała mu zaciśnięte na szczęście kciuki i czytała dalej, jednak nie mogła się skoncentrować. Po kilku minutach Verlaque wszedł do pokoju dziennego.

– Kierowca autobusu rozpoznał ją na fotografii – powiedział pośpiesznie.

– To dobry początek.

– Ten oficer miał dość rozsądku, by przedstawić kierowcy opis tego, co Mme miała na sobie tamtego dnia, wspomniał także o jej dużej różowej torebce. Kierowca zapamiętał tę torebkę – przed kilkoma miesiącami wszedł do sklepu Longchampa na Cours Mirabeau i szukał prezentu dla żony. Kiedy zobaczył ceny, nie mógł uwierzyć własnym oczom i natychmiast wyszedł, ale zapamiętał tę torbę.

– Dziękujemy Bogu za ofiary mody w starszym wieku – skomentowała Marine, nalewając sobie wody do szklanki. – A zatem dokąd wybrała się Mme d’Arras?

– Do Rognes.

– Naprawdę? – Przez chwilę Marine nie mogła przypomnieć sobie, kto mówił o tej miejscowości, ale w końcu pojawiła się w jej pamięci żywotna, siwowłosa Mme Joubert, która często układała kwiaty w kościele.

– Oficer Schoelcher wysłała ekipę, która będzie pytać mieszkańców wioski, czy ją widzieli. Ponieważ jednak jest

niedziela, będzie to trudne – wszystkie sklepy są pozamykane. Kierowca mówi, że Mme d'Arras przeszła przez ulicę i weszła do spółdzielni *cave*, by kupić wino dla przyjaciółki. Pamięta, że przyjaciółka ma na imię Philomène. To imię pamiętam wyłącznie z dziewiętnastowiecznych powieści.

– Philomène? Ależ to moja sąsiadka, Philomène Joubert, która wczoraj opowiadała mi o Rognes. Tam się wychowała.

– Ile ma lat?

– Zgaduję, że pomiędzy sześćdziesiąt pięć a siedemdziesiąt pięć.

– Więc niewykluczone, że się przyjaźniły. Czy mogłabyś porozmawiać z Mme Joubert? Może nawet dziś po południu?

Marine odstawiła szklankę na blat kuchenny.

– Pójdę od razu. – Była zadowolona, że może wyjść z mieszkania i postarać się uciszyć swój niepokój. Dlaczego nie powiedziała Antoine'owi o guzku – o „groszku”, jak go w myślach nazywała? Nie umiała sobie odpowiedzieć na to pytanie. W rozmowie telefonicznej Sylvie zasugerowała powody milczenia Marine: po pierwsze nie chciała okazać słabości, zwłaszcza wobec Verlaque'a, po drugie była cierpiętnicą i wolała przeżyć wszystko w samotności, a poza tym nie wtajemniczając Antoine'a, unikała skonfrontowania się z własnym *angoisse*... Marine nie zgadzała się jednak z sugestiami Sylvie, może poza tą o cierpiętnictwie, choć się do tego nie przyznawała. Nauczyła się ufać swojemu instynktowi, a ten kazał jej trzymać swój kłopot w tajemnicy jeszcze przez jakiś czas.

– Dziękuję, że znalazła pani czas, żeby ze mną porozmawiać – powiedziała Marine.

– Och, od razu zauważyłam, że ma pani jakąś sprawę – odparła Philomène Joubert. – Umiem czytać z ludzkich twarzy. – Uśmiechnęła się przyjaźnie i naląła Marine filiżankę kawy. – O co

chodzi, moja droga?

– O Mme d'Arras – wyjaśniła Marine. – O Pauline, pani dawną przyjaciółkę.

– *A bon?*

– Nie ma po niej śladu od piątkowego popołudnia.

Mme Joubert wykonała znak krzyża.

– Wsiadła do autobusu do Rognes...

– Rognes? – wtrąciła starsza kobieta. – Tam się wychowaliśmy.

– Tak, i powiedziała kierowcy, że musi kupić wino dla przyjaciółki... dla Philomène.

– *Moi?* Ależ to wariactwo. Nie spotykamy się od lat. Nawet od dziesięcioleci. Oczywiście widuję ją czasem w Aix, ale to wszystko.

Marine skinęła głową. Ona sama nie mogła wyjść z domu, by nie natknąć się na kogoś, kogo znała z uniwersytetu, ze szkoły lub ze spotkań towarzyskich.

– Więc nie widziałyście się w ostatni piątek?

– Nie, oczywiście, że nie. – Mme Joubert odsunęła swoją filiżankę na środek stołu i skrzyżowała grube, muskularne ramiona. – Ale gdzie ona może być? *La pauvre!*

– To właśnie chciałyby wiedzieć policja i M. d'Arras. Czy coś pani przychodzi do głowy? Czy ona ma rodzinę w Rognes?

Mme Joubert pokręciła głową.

– Nie. Jej siostra Natalie mieszka tutaj, w Aix, podobnie jak jej syn, Christophe. Trzecia córka Aubanelów – a to były prawdziwe piękności, proszę mi wierzyć – jest zakonnica niedaleko Narbonne. Karmelitanką.

– M. d'Arras uważa, że jego żona cierpi na alzheimera, ale nie chce się poddać badaniom. Czy coś z jej przeszłości mogłoby skłonić ją do powrotu do Rognes? – zapytała Marine.

Mme Joubert milczała przez dłuższą chwilę, patrząc na Marine.

– Być może powinna pani porozmawiać z jej siostrą, Natalie.

– Matką Christophe’a? – zapytała Marine. – Znam Christophe’a, nawet spotkałam go w piątkowy wieczór na przyjęciu. Wspomniał, że Pauline d’Arras dzwoniła do jego matki i ją niepokoiła.

Mme Joubert westchnęła.

– Biedna Natalie. Jak gdyby jej życie nie było i tak wystarczająco trudne. Pauline zawsze była taką jędzą. Teraz, patrząc wstecz, wiem, że bawiłam się z nią, bo była bogata i piękna. Czułam się uprzywilejowana, mając taką wspaniałą przyjaciółkę. Ale później, w wieku nastoletnim, nauczyłam się jej nie ufać. Przestałyśmy się spotykać, kiedy poznałam mojego męża. Miałam wtedy osiemnaście lat.

– Co Pauline mogła mówić Natalie, co było takie niepokojące? – dopytywała Marine. – Dlaczego życie Natalie było trudne?

Mme Joubert odchyliła się na krześle.

– Clothilde i Pauline Aubanel były pięknościami. Najbardziej zwracały uwagę ich jasne blond włosy i czyste niebieskie oczy, takie jak u ich matki i ojca. Były drobne i pełne wdzięku i wszystkie chciałyśmy być takie jak one. Jak laleczki.

– A Natalie? – chciała wiedzieć Marine. – Rozumiem, że się od nich różniła.

– Czy zauważyła pani, jakie włosy ma Christophe?

Marine skinęła głową.

– Kruczoczarne.

– Tak jak jego matki i moje, zanim osiwiałyśmy – powiedziała Philomène, dotykając swojej głowy. – Natalie Chazeau ma duże, brązowe oczy. I jest wysoka i silna. Nie mówię, że jest gruba, ale zawsze była duża, z pewnością nie pasowało do niej określenie

„drobna”.

– Mme Joubert, czy pani mówi, że Natalie miała innego ojca? – upewniła się Marine. – Rodzeństwo może wyglądać bardzo różnie, nawet jeżeli pochodzi od tej samej matki i tego samego ojca.

Starsza kobieta ponownie przeżegnała się.

– Ale wszyscy wiedzieliśmy, że tutaj było inaczej. Ich matka wyraźnie faworyzowała Natalie. Zawsze myślałam, że to dlatego, iż Natalie była najstarszą córką, ale pewnego dnia, kiedy leżałam w domu z grypą, usłyszałam, jak mama rozmawia w kuchni z sąsiadką. Ta kobieta w czasie wojny mieszkała w Paryżu, pracowała jako służąca, a Mme Aubanel – wtedy nazywała się jeszcze Francine Lignon – studiowała na Sorbonie. To było, zanim jeszcze wróciła do Rognes i wyszła za mąż za M. Aubanela, który był jej dziecięcą miłością. Mieli się pobrać po skończeniu *lycée*, ale Francine nabrała wątpliwości. Zerwała zaręczyny i wyjechała do Paryża, by studiować. Był trzydziesty dziewiąty rok i zaczęła się wojna...

– I doszło do inwazji na Paryż – dopowiedziała Marine.

– Tak, i Francine, można powiedzieć, była tam uwięziona. Ale wróciła do Rognes w 1943 roku... – Mme Joubert pochyliła się. – *Enceinte...*

– W ciąży z Natalie – zasugerowała Marine.

– Tak. – Mme Joubert odchyliła się do tyłu, pozwalając Marine na przyjęcie informacji, która według niej była szokująca.

– Ale to się zdarzało bardzo często, prawda – powiedziała Marine. – Francine miała romans z żołnierzem, a on pewnie potem zginął.

– Zginął, to prawda, i był żołnierzem. Ale nie był jednym z naszych. *Sale boche!*

– Niemiec? Ale te czarne włosy...

Mme Joubert roześmiała się.

– Myślę, że nie wszyscy Niemcy w Paryżu byli jasnowłosi i niebieskoocy. W zeszłym roku ja i mój mąż wybraliśmy się na nasz pierwszy lot samolotem do Wenecji – to był prezent od naszych dzieci, niech je Bóg błogosławi. I wie pani co? Włosi tam są niebieskookimi blondynami. A niektórzy nawet mają rude włosy. Nie tak jak kruczoczarni włoscy imigranci tutaj w Prowansji. Ja wyglądałabym bardziej na Włoszkę niż oni.

– A skąd pani wie, że ojciec Natalie był Niemcem? – chciała wiedzieć Marine. Bardzo uważała, by nie użyć słowa *boche*. Wojna miała miejsce nie tak dawno temu i to słowo bardzo ją raziło.

– Nasza sąsiadka, ta, która odwiedziła mnie wtedy, była pokojówką w jednej z siedzib niemieckich żołnierzy, w przejętej przez nich rezydencji nieopodal Parc Monceau. Ten oficer był grubą rybą, a ona stale widywała go z Francine... byli wobec siebie bardzo mili, jeżeli wie pani, co mam na myśli.

– Jest pani pewna, że to prawda?

– Potwierdziła to Pauline Aubanel, jeszcze kiedy byłyśmy dziewczynkami. Opowiedziała mi wszystko. Myszkowała w maminej szafie i znalazła listy i fotografie.

– Wtedy właśnie pomyślała pani, że nie można jej ufać – zgadywała Marine.

– Tak.

Marine zamknęła oczy.

– Serce się kraje, gdy się słyszy takie historie.

– Czyżby? – zapytała Mme Joubert, z oburzeniem uderzając w stół pięścią.

Marine nie próbowała spierać się ze starszą panią.

– Ale dlaczego Pauline dręczyła Natalie z powodu tego, co przydarzyło się ich matce?

Mme Joubert wzruszyła ramionami.

– Pauline miała w sobie jakąś niegodziwość. Nie wiem dlaczego, po prostu taka była.

Żadna z kobiet nie dokończyła swojej kawy, która teraz już wystygła. Przez kilka minut rozmawiały o pogodzie i o nowym kompleksie handlowym na końcu Cours Mirabeau, które nie zyskało aprobaty żadnej z nich. Wracając do mieszkania Verlaque’a, Marine szła jak w transie. Jak w każdą niedzielę, ulice były prawie wyludnione. Napotkała tylko kilka starszych osób oglądających witryny sklepowe oraz turystów przechadzających się z przewodnikami w rękach, przyglądających się fontanom i posagom w oratoriach wybudowanych w narożnikach średniowiecznych i renesansowych budynków w Aix. Marine zatęskniła za Sylvie, która nie wróciła jeszcze z wakacji. Pewnego wieczoru w lipcu, kiedy Sylvie położyła Charlotte spać, oglądały film dokumentalny – *Les enfants d’amour* – o dzieciach urodzonych w czasie drugiej wojny światowej ze związków francuskich kobiet i niemieckich mężczyzn. Zarówno Marine, jak i Sylvie płakały podczas projekcji, w końcu Sylvie położyła między nimi pudełko chusteczek higienicznych i szczerze nalała whisky do dwóch szklaneczek. Prowadzący program, słynny historyk, wyjaśnił, że takich dzieci przyszło na świat we Francji dwieście tysięcy, większość była poczęta z miłości. Teraz mają one około miliona potomków.

– I wśród nich Christophe – wyszeptała do siebie Marine, idąc w górę rue Gaston Saporta.

Oh voleur!

Bruno Paulik przytrzymał drzwi przed Jules'em Schoelcherem.

– Czy to jakaś niepisana zasada, że zawsze jest za mało miejsc parkingowych przed szpitalem? – zapytał.

– Dokładnie o tym samym myślałem – odparł młody oficer. – Kiedy moja mama była na oddziale położniczym i rodziła moją młodszą siostrę, tata krążył po szpitalnym parkingu, szukając miejsca. Mama była wściekła i to jest wciąż jedna z ich ulubionych historii.

Paulik roześmiał się.

– To ile masz rodzeństwa?

– Jestem drugi z szóstki dzieci.

– Ja też.

Podeszli do obleganej recepcji i Paulik pochylił się nad blatem, by porozmawiać z recepcjonistką.

– Przyszliśmy spotkać się z doktor D'Almeidą. Miałem się tu najpierw zgłosić, ponieważ nie była pewna, gdzie akurat będzie.

Nie podnosząc na niego wzroku, recepcjonistka zaczęła mówić. Paulik popatrzył na Schoelchera i wzruszył ramionami. Nie

zauważył, że miała na uszach słuchawki i z kimś rozmawiała. Umówiła spotkanie i przyjęła kolejny telefon, podczas gdy policjanci czekali. Po trzecim telefonie Paulik zaczął się rozglądać za inną recepcjonistką. Zza blatu wyszła jakaś kobieta, niosła naręczce segregatorów i głośno żuła gumę.

– Przepraszam, jestem komisarz Bruno Paulik. Powiedziano nam, by zgłosić się tutaj i dowiedzieć, gdzie mamy przeprowadzić przesłuchanie – wyjaśnił.

Kobieta spojrzała na niego znudzona i położywszy segregatory obok rozmawiającej przez telefon koleżanki, odwróciła się na pięcie i odeszła. Kiedy pracownica recepcji zakończyła rozmowę, Paulik wyciągnął rękę przez blat i delikatnie zdjął jej z uszu zestaw słuchawkowy.

– Hej, co pan sobie wyobraża! – zawołała.

– Przecież ktoś, kto jest fizycznie obecny, i to o metr od pani, ma pierwszeństwo przed osobą dzwoniącą z drugiej strony miasta. Jestem komisarz Paulik...

– A ja jestem Carla Bruni.

Paulik zignorował jej komentarz.

– Mój kolega oficer Schoelcher i ja mieliśmy się tutaj zgłosić. Mamy rozmawiać z doktor D’Almeidą.

– I co ja miałabym dla panów zrobić? – zapytała, sięgając po słuchawki.

Paulik położył na nich swoją dużą dłoń.

– Ma nam pani powiedzieć, gdzie spotkamy panią doktor. To duży szpital.

– Nikt mnie o tym nie uprzedził.

– Czy mogłaby pani zadzwonić i dowiedzieć się, gdzie jest doktor D’Almeida?

Recepcjonistka westchnęła, a za biurkiem pojawiła się kobieta z gumą do żucia, która niosła kolejny plik segregatorów.

– Hej, Odile – zwróciła się do niej recepcjonistka. – Czy możesz powiedzieć tym facetom, dokąd mają iść? – Uśmiechnęła się, zadowolona ze swojej gry słów, i odebrała kolejny telefon.

Odile przewróciła oczami, ale powoli podniosła inny telefon i odeszła z nim od blatu. Po kilku sekundach wróciła.

– Doktor jest na trzecim piętrze, w skrzydle geriatrycznym.

Jedna winda była w naprawie, przed drugą stał sanitariusz z łóżkiem na kółkach, więc policjanci skierowali się na schody. Podążali za znakami wskazującymi skrzydło geriatryczne, lawirując po korytarzach i mijając różne drzwi.

Przy recepcji, identycznej z tą na parterze, dwie podobne do koleżanek z parteru recepcjonistki stały za blatem i rozmawiały.

– Przepraszam – odezwał się Paulik. – Szukamy doktor D’Almeidy.

– Nie ma jej – odpowiedziała wyższa z kobiet, po czym odwróciła się do koleżanki i kontynuowała rozmowę.

Do kobiet podszedł starszy mężczyzna.

– Przepraszam, czekam w poczekalni, bo żona ma mieć badanie. Jest tam kobieta na wózku, która musi iść do toalety.

Dwie recepcjonistki spojrzały na siebie nawzajem i nic nie powiedziały.

– No cóż – mówił dalej mężczyzna – czy mogłyby jej panie jakoś pomóc?

– My? Tu potrzebna jest pielęgniarka.

– Och, oczywiście. Bardzo przepraszam.

Paulik spojrział na pracownicę szpitala z niedowierzaniem i już otworzył usta, by coś powiedzieć, gdy podeszła do nich wysoka

czarnoskóra kobieta w białym fartuchu.

– Mme Fournier w poczekalni musi zrobić siku – zawołała jedna z recepcjonistek.

– Więc proszę natychmiast wezwać pielęgniarkę – powiedziała krótko piękna nowo przybyła. – A w przyszłości, Marie-Pierre, mów tylko, że pacjent potrzebuje skorzystać z toalety, i to dużo ciszej. – Odwróciła się do Paulika i Schoelchera. – Przepraszam za to. Rozumiem, że panowie są z policji. Jestem doktor D’Almeida. – Wymienili uściski dłoni i pani doktor wskazała im drogę.

– Tutejszym recepcjonistkom daleko do profesjonalizmu – skomentował Paulik, kiedy szli korytarzem. – Przynajmniej tym czterem, z którymi właśnie mieliśmy do czynienia.

– Wiem – odpowiedziała doktor. – A teraz planują strajki, więc jest jeszcze gorzej. Obawiam się, że większość pracy spadnie jak zwykle na źle opłacane pielęgniarki. – Otworzyła drzwi do małego gabinetu, gdzie stało biurko i cztery krzesła, a w rogu mała roślina doniczkowa. Skromne wyposażenie pokoju rekompensował widok z okna – na centrum Aix i wieżę katedry.

– Proszę usiąść – zaprosiła ich gospodyni. – Jesteśmy zdruzgotani śmiercią Mlle Montmory. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy.

– Z pewnością – odparł Paulik. – Oficer Schoelcher był tutaj, pełnił straż przed jej pokojem i też tak powiedział.

– No właśnie, zdawało mi się, że skądś pana znam – powiedziała doktor D’Almeida, uśmiechając się po raz pierwszy. – Nie jesteście, panowie, dzisiaj w mundurach. Przepraszam, że pana nie rozpoznałam.

– Nie szkodzi – odrzekł Schoelcher.

– Rozumiem, że przyszli panowie tutaj, by zapytać, czy nie doszło

do przestępstwa – powiedziała doktor D’Almeida.

Paulik skinął głową.

– Człowiek, który zaatakował Mlle Montmory, wciąż gdzieś tutaj jest. Gdyby żyła, mogłaby go zidentyfikować. Jesteśmy prawie pewni, że to jest ktoś, kogo znała.

– Jak może potwierdzić oficer Schoelcher, tylko upoważnieni pracownicy szpitala wchodzili do pokoju Mlle Montmory – oznajmiła doktor. – Naszym zadaniem jest ratowanie życia pacjentów, nie zabijanie ich.

– Rozumiem. Proszę to nazwać zawodową paranoją, jeśli pani chce, ale musimy uwzględnić wszystko. Czy ktoś był obecny w pokoju, kiedy u pacjentki doszło do zatrzymania akcji serca? – zapytał Paulik.

Zarówno pani doktor, jak i Schoelcher pokręcili głową.

– Wszyscy ruszyliśmy do niej biegiem, usłyszawszy alarm w urzędzeniu podtrzymującym życie.

– Kto tam był? – chciał wiedzieć Paulik.

– No cóż – odparła doktor D’Almeida – ja, przełożona pielęgniarek, stażysta... i...

– Doktor Franck Charnay – pomógł jej Schoelcher.

– A tak, rzeczywiście – przytaknęła pani doktor.

Paulik spojrzał na młodego oficera i zobaczył, że funkcjonariusz przeczytał to nazwisko z małego pomarańczowego kołnotatnika. W milczeniu podziwiał sumienność policjanta. Powiedział:

– Jeszcze dziś porozmawiamy z doktorem Charnayem. – Miał nadzieję, że Verlaque znajdzie czas, by odwiedzić doktora w jego gabinecie w centrum Aix.

– Z pewnością okaże się skłonny do współpracy – dodała doktor D’Almeida.

– Jak wszyscy państwo tutaj – skomentował Paulik. – Ale jeśli doszło do przestępstwa...

– Jak, pańskim zdaniem, można było go dokonać? – zapytała doktor. – To morderstwo?

Paulik skinął głową.

– Uduszenie pacjentki byłoby najszybszym i najcichszym sposobem, ale natychmiast włączyłby się alarm w urządzeniu podtrzymującym życie i morderca nie zdążyłby uciec.

– A otrucie jej? – zasugerował komisarz.

– Tak, tego nie można wykluczyć – przyznała doktor D’Almeida.

– Jest wiele substancji, które zabijają podane jako kroplówka dożylna. Śmierć nastąpiłaby niemal natychmiast.

– A co podziałałoby wolniej? – dopytywał Paulik.

– Powietrze.

– *Excusez-moi?*

– Powietrze wstrzyknięte do żył za pomocą pustej strzykawki. Zatrzymuje pracę serca. Śmierć następuje po około dziesięciu minutach.

– Morderca miałby wystarczająco dużo czasu, by dojść do samochodu i odjechać... – skomentował Paulik.

– Ale sprawdziliśmy... – odezwał się Schoelcher.

– My także – zapewniła doktor D’Almeida.

– A czy te substancje dałoby się wykryć w sekcji zwłok? – chciał wiedzieć Paulik.

– Tak, zostawiłyby ślady we krwi. Ale są sposoby, by takie ślady ukryć, nawet w sekcji – na przykład przez lekkie zwiększanie dawki tego, co już pacjentce podawano przez kroplówkę.

Zatem sekcja mogłaby rzucić nieco światła na sprawę, ale niekoniecznie.

– Nie jestem też pewna, czy jej rodzice zgodziliby się na sekcję zwłok – odparła doktor D’Almeida. – Są w głębokim szoku, a przy tym to ortodoksyjni katolicy. A jak powiedziałam, jedynymi osobami, które miały dostęp do jej pokoju, byli pracownicy szpitala i rodzice. Trudno mi sobie wyobrazić, by ktokolwiek spośród nich zrobił coś takiego, tak jak zapewne panu nie przyszłoby do głowy, że zachowa się tak któryś z waszych pracowników Palais de Justice.

Paulik przytaknął i na chwilę przekręcił głowę, by spojrzeć na wieżę katedry.

– Przełożona pielęgniarek rozplakała się – mówiła dalej doktor D’Almeida. – Śmierć Mlle Montmory była dla nas wstrząsem, tym bardziej, że, jak się wydawało, niebezpieczeństwo już minęło. Ale na studiach medycznych uczyliśmy się, żeby nigdy do końca w to nie wierzyć.

Hélène Paulik i Victor Bonnard szli wzdłuż rzędów winorośli, co jakiś czas przystawali, by na nie popatrzeć lub by potrzymać w dłoniach ciężkie grona.

– Wkrótce będą zbiory, prawda? – zapytał Victor.

– Tak, ale twój tata i ja chcemy się jeszcze kilka dni wstrzymać. Po tych zaskakujących deszczach pod koniec sierpnia winogrona potrzebują jeszcze trochę słońca.

– Deszcz i słońce oznaczają chwasty. – Victor pochylił się, by wyrwać kępkę zielska z suchej, kamienistej ziemi. – Nigdy nie widziałem ich tak dużo.

– Ani ja – odparła Hélène.

– A jeśli w najbliższych dniach spadnie więcej deszczu? – zapytał chłopak. – Czy nie powinniśmy zbierać już teraz?

– To możliwe, zwykle tak właśnie robiliśmy, ale to było za wcześnie. Właściwy moment zbioru nadchodzi, gdy cukier i kwas są w równowadze – zbierzesz za szybko i wszystko pójdzie na marne.

Victor spojrział na bezchmurne niebo.

– Ale jeżeli zaczną padać...

– Wrześniowy deszcz może spowodować gnicie, ale z tym można walczyć za pomocą środków przeciwgrzybiczych. Wolę podjąć to ryzyko.

Victor zasalutował.

– Tak jest, szefie!

– Najpierw zmierzymy poziom cukru w gronach cinsault i miejmy nadzieję, że później przyniosą nam one dwanaście lub trzynaście procent alkoholu. Dlaczego martwię się o te grona?

– Ponieważ rosną na północno-wschodnim stoku, przy drodze i mają najmniej słońca.

– Zgadza się – odparła Hélène z uśmiechem. – Masz strzykawkę? Chociaż właściwie powinnam była zapytać cię o to, kiedy wyruszaliśmy.

Victor poklepał swój plecak.

– A następnie sprawdzimy grona syrah?

– Uhm. Nie martwię się o nie tak bardzo, bo są na południowo-zachodnim stoku. Ale nie chcemy też zbyt dużo alkoholu. Piętnaście procent to za dużo jak na mój gust.

– To przecież więcej wartości – roześmiał się Victor.

Hélène zawtórowała mu.

– Cieszę się, że możesz mi dzisiaj pomóc – powiedziała. – Dzięki niebiosom za strajk nauczycieli.

– Zdecydowanie wolę być tutaj niż w szkole, wierz mi – powiedział Victor. Ugryzł się w język, by nie powiedzieć „być tutaj

z tobą”.

Zawsze chodził za Hélène po winnicy jak szczeniak, ale ostatnio trzymał się trochę na dystans, bo znalazł się pod całkowitym urokiem tej drobnej brunetki. Chodziło nie tylko o jej wygląd, choć była szczupła, dobrze zbudowana, brązowooka, ani o jej głośny śmiech. Najbardziej cenił jej wiedzę i to, że nigdy nie traktowała go protekcjonalnie. Tego dnia przy śniadaniu ojciec Victora poprosił go, by pomógł Hélène w winnicy, i chociaż Victor się wahał – nie chcąc ujawniać swojego zauroczenia – teraz szczęśliwy i swobodny szedł przy niej i rozmawiali. Wiedział też, że ojciec chciał obejść piwnice z tym dandysem z Paryża i z tym sędzią, palaczem cygar z Aix.

– Nie bardzo lubisz szkołę, prawda? – zapytała Hélène.

Pokręcił przecząco głową i kopnął leżący na ścieżce kamień.

– Ale potem wiedza może okazać się przydatna – zasugerowała Hélène.

– Na co mi Molière, skoro jedyne, czego chcę, to produkować wino.

– *Oh voleur, oh voleur!* – zawołała Hélène i oboje się roześmiali.

– *À l'assassin!* – zakrzyknął Victor, pchnąwszy do przodu wyimaginowanym mieczem. Weszli na niewielkie wzgórze, pomiędzy wąskie rzędy winorośli, które wciąż zbierano ręcznie. Dało się stamtąd słyszeć drogę ministerialną biegnącą między Aix i Rognes.

– Zacznijmy tutaj – powiedziała, zatrzymując się. – To grono dobrze wygląda. – Wzięła do ręki kilka owoców, podczas gdy Victor zdejmował plecak. – Zaczęły już trochę wysychać, to dobrze.

– Wspaniałe cinsault – skomentował Victor. Kucnął, wyjmując swój sprzęt, ale nagle podskoczył. – Co, do kurwy nędzy? –

krzyknął. – Przepraszam, Hélène.

– Co się stało, Victorze? – zapytała kobieta. – Za dużo Moliera?

– Tu leży jakaś różowa damska torebka.

– Co?

Pochylił się, by podnieść torebkę, ale szybko odskoczył.

– O mój Boże! – wrzasnął, cofając się tak, że nieomal wpadł w ramiona Hélène. Odwrócił się, upadł na kolana i zaczął wymiotować.

– Victor! – zawołała Hélène. Uklękła przy chłopaku i pogłaskała go po plecach.

– Nie patrz tam, Hélène – wymamrotał.

Kobieta wyjęła z kieszeni paczkę chusteczek, dała je Victorowi i wstała, wyciągając szyję ponad grubymi, wysokimi na ponad metr winoroślami, by dojrzeć, co leży obok różowej torebki.

– Proszę, przyprowadź tatę – powiedział z trudem.

– Co tam jest, do diabła? – zapytała, podchodząc do końca rzędu roślin i przechodząc na ich drugą stronę. – O mój Boże. – Przycisnęła dłonią usta i odwróciła się. Spojrzała na Victora.

– Co jej się stało? – zapytał łamiącym się głosem.

Hélène pokręciła głową.

– Nie wiem, nie wiem... – Czuła suchość w ustach, wyrzucała sobie, że nie wzięła butelki wody, zwłaszcza ze względu na Victora.

– Nie mogę zostawić jej samej – dodała.

– Dlaczego? Przecież... nie żyje.

– Właśnie dlatego – odparła. Podeszła z powrotem do Victora i usiadła obok chłopaka. – Z szacunku dla zmarłych. To stara kobieta. Możesz ty iść?

Victor wstał i otrzepał spodnie z czerwonego pyłu.

– Tak.

– Jesteś pewien?

– Tak, pobiegnę.

I już go nie było.

Verlaque spieszył na przesłuchania, ale nie w niedofinansowanym szpitalu, gdzie byli teraz Paulik i Schoelcher, lecz w eleganckim byłym *hôtel particulier* w Quartier Mazarin. Wystarczy mu czasu, by porozmawiać z lekarzem, zanim pojedzie do Domaine Beauclaire. Kiedy sekretarka otworzyła mu drzwi domofonem, wszedł szybko po kamiennych schodach, zerkając na ścienne freski przedstawiające ogrody. Masywne drewniane drzwi do gabinetu lekarza były otwarte, przytrzymała je dla niego elegancka pięćdziesięciokilkuletnia kobieta.

– Proszę wejść, panie sędzio – powiedziała, usuwając się w bok. – Niestety doktor Charnay wczoraj wieczorem wyjechał na wakacje. Jak mogę panu pomóc?

– Doktor Charnay był we wtorek w szpitalu u pacjentki...

Sekretarka popatrzyła na niego, jakby był niespełna rozumu.

– Doktor Charnay regularnie odwiedza swoich pacjentów w szpitalu, panie sędzio.

– Tak, rozumiem, Mme...

– Blanc.

– Mme Blanc – mówił dalej. – Przesłuchujemy wszystkich pracowników szpitala, którzy wchodzili do tej kobiety, ponieważ zmarła, kiedy była w szpitalu. Doktor Charnay nie był jej lekarzem rodzinnym, więc chciałbym wiedzieć, dlaczego do niej poszedł.

Sekretarka obruszyła się przez ułamek sekundy.

– Doktor Charnay jest otolaryngologiem.

– Słucham?

– Laryngologiem. Najprawdopodobniej była jedną z jego pacjentek.

Verlaque skinął głową.

– Czy mógłbym zobaczyć jego listę pacjentów, Mme Blanc?

– Mógłby pan.

– Dziękuję – powiedział Verlaque. Miał wrażenie, że stąpa po kruchym lodzie.

– W przyszłym tygodniu – dodała – kiedy doktor wróci z wakacji.

– Gdzie on jest?

– Pan doktor? – upewniła się sekretarka. – W Ardenach, jak sądzę.

Verlaque wpatrywał się w kobietę.

– Jestem sędzią śledczym, madame – powiedział. – I wolno mi oglądać...

– *Cher monsieur* – odparła. – Nie dbam o to, jakim pan jest sędzią. Proszę uszanować moje stanowisko strażnika archiwum pana doktora, kiedy on wyjechał. Będzie pan mógł zobaczyć je za pozwoleniem doktora, w przyszłym tygodniu.

Verlaque otworzył usta, by coś powiedzieć, ale wtedy rozległ się sygnał jego komórki. Kiedy zobaczył, że dzwoni Bruno Paulik, przeprosił i wyszedł, by odebrać telefon.

– *Qui, Bruno?*

– Przepraszam, że panu przeszkadzam, ale mam złe wieści.

– Mów, Bruno.

Historia miłości

Bonnardowie siedzieli przy drewnianym kuchennym stole, długim na trzy i pół metra, z Antoine'em Verlakiem oraz Brunonem i Hélène Paulikami.

– Jeżeli chce ci się płakać, to płacz, synu – powiedział do Victora Olivier Bonnard, wyciągając rękę, by dotknąć ramienia chłopaka.

– Spadaj, tato! – zawołał Victor. Wstał i odszedł od stołu tak szybko, że nieomal przewrócił krzesło.

– Co ja takiego powiedziałem? – zapytał Olivier.

Élise Bonnard wzniosła oczy ku niebu i przechyliła głowę w kierunku Hélène Paulik.

– Och... – Olivier i Élise rozmawiali wcześniej o tym, że Victor jest zafascynowany Hélène. Olivierowi zrobiło się głupio i zdał sobie sprawę, że ponownie będzie musiał przeprosić syna. A może powinien po prostu to zostawić? Udawać, że on i żona nie zauważyli jego zauroczenia?

– Olivier? – odezwała się Élise. – Bruno zadał ci pytanie.

– Wiem, że zbiory za pasem – powtórzył Paulik – ale musimy ogrodzić taśmą część winnicy jako miejsce zbrodni. Czy to będzie

problem?

Olivier Bonnard wzruszył ramionami.

– Mamy bardzo dużo winogron cinsault, więc to nie katastrofa. Oczywiście nigdy nie jest dobrze tracić owoce, lecz musimy to zaakceptować.

– Postaramy się jak najmniej przeszkadzać – obiecał Paulik. – Niestety deszcz, który padał ostatniej nocy, zapewne zmył wszelkie ślady stóp i opon.

– Co się stało tej kobiecie? – zapytał Olivier.

Verlaque pochylił się do przodu.

– Ktoś uderzył ją w głowę kamieniem. Nie wiemy, czy to stało się tutaj, czy też jej ciało zostało przyciągnięte. Wykaże to sekcja zwłok.

– O mój Boże – odezwała się Élise. – *Chez nous!*

– A torebka? – chciała wiedzieć Hélène Paulik.

Bruno Paulik odwrócił się do żony i pomasaował jej ramiona.

– Nie było portmonetki, więc możliwe, że to był napad rabunkowy.

– Wyobraźcie sobie tylko – skomentowała Élise. – Zabić staruszkę dla pieniędzy.

Paulik i Verlaque wymienili spojrzenia. Obaj myśleli o tym samym człowieku: o Didierze Ruère, który przed trzema laty zaatakował starszą kobietę w Aix i ukradł jej torebkę. Kobieta przeżyła, a Ruère'a wtrącono do więzienia. Jednak zapewne niedługo wyjdzie na wolność, o ile to już nie nastąpiło.

Drzwi do kuchni otworzyły się i wszedł starszy mężczyzna w wełnianym berecie w kratkę.

– Tata! – odezwał się Olivier Bonnard.

Starszy pan spojrzał na zgromadzonych wokół stołu.

– Co się dzieje? Jakieś spotkanie?

– Coś w tym rodzaju – odparł Olivier. – Właśnie rozmawiamy z Hélène i jej mężem... znasz go... to Bruno... Omawiamy...

– Nową propozycję wybudowania *hypermarché* w Rognes – przerwała mu Élise. – Komisarz Paulik i jego kolega podsuwają nam pomysły, jak powstrzymać tę budowę.

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze – powiedział Albert Bonnard. – Idę teraz sprawdzić nasze grona.

Olivier aż podskoczył na krześle.

– Pójdę z tobą, tato.

Élise Bonnard wyszeptała do Verlaque'a słowo „alzheimer”, a on lekko skinął głową, pokazując, że rozumie. Pomyślał o martwej Mme d'Arras, która także najprawdopodobniej cierpiała na tę chorobę, a którą znaleziono właśnie wśród winorośli. Jej ciało znajdowało się obecnie w kostnicy w Aix.

– Jak chcesz – odparł Albert Bonnard.

Kiedy Olivier i jego ojciec wyszli, Élise powiedziała:

– Albert, dzięki Bogu, robi sobie długie popołudniowe drzemki. Przespał wszystko, a martwiłam się, że usłyszy karetkę wjeżdżającą na podwórze. Ale się nie obudził. Nie mieli włączonego sygnału, bo ona już...

– Pewnie jest podminowany kradzieżami wina – zauważył Bruno Paulik.

Élise wzruszyła ramionami.

– Co dziwne, przyjmuje to wszystko lepiej, niż się spodziewaliśmy. Któregoś dnia powiedział nawet, że wolałby francuskiego złodzieja niż niemieckiego.

– Niemieckiego? – upewniła się Hélène.

– Tak, on znowu mówi o wojnie – wyjaśniła Élise. – To zdarza się

od czasu do czasu. Był małym chłopcem, kiedy został zabity jego wuj, Bertrand, bo był *un résistant*. Z powodu demencji teścia wszystko to teraz do niego wraca.

W drodze powrotnej do Aix Verlaque zadzwonił do Marine i zaproponował, by zjedli kolację w restauracji w Ventabren, wiosce położonej na szczycie wzgórza, o piętnaście minut jazdy na zachód od Aix. Był jasny, ciepły wieczór i będą mogli zjeść na tarasie lokalu, z którego rozciągał się widok na południe, prawie do morza. Szef kuchni właśnie otrzymał swoją pierwszą gwiazdkę Michelin. Verlaque ucieszył się, że restauracja była otwarta i że udało mu się zarezerwować ostatni wolny stolik.

– Dziwne są te historie – odezwał się Verlaque, kiedy już usiedli i sączyli szampana. – To, jak zaczynają się na siebie nakładać. Ciało Mme d'Arras znaleziono niedaleko Rognes, w winnicy Bonnardów. Przypadek?

Marine założyła ręce na piersi i wpatrywała się w Verlaque'a.

– Nie, nie sędzę.

– Naprawdę? – Verlaque odgryzł kęs *petit four* i czekał na odpowiedź Marine.

– To wydaje się zbyt przypadkowe – odparła. – Co Pauline d'Arras robiła w Rognes i dlaczego spotkała ją tam śmierć? I to tak blisko miejsca, gdzie dorastała i gdzie niedawno doszło do kradzieży wina? – Marine wzięła jedno z *petit four* i skosztowała je. – O rany – powiedziała, wycierając usta dużą lnianą chusteczką – co one mają w środku?

– Suszone na słońcu pomidory? – zgadywał Verlaque. – W torebce Mme d'Arras był jej notes filofax. Przejrzymy go jutro rano, jej lista numerów telefonicznych i umówionych spotkań może

okazać się pomocna.

– To ludzie wciąż używają tych notesów?

– Jeżeli nie mają telefonów komórkowych, to tak – wyjaśnił Verlaque. – Być może pojedę do siostry Mme d'Arras, Clothilde. Jest zakonnicą w klasztorze na południowym zachodzie. Chciałabyś ze mną pojechać?

Marine pokręciła przecząco głową.

– To kusząca propozycja, ale mam za dużo pracy i stanowczo za wiele nikomu niepotrzebnych spotkań do przygotowania na nowy semestr. Dwa tygodnie temu miałam dostarczyć mój program nauczania. Tak jest co roku – wydaje mi się, że mam całe lato, by się przygotować, a potem, nagle, *c'est la rentrée*. – „I wciąż nie mówię mu o guzku, małym groszku” – zauważyła w myślach.

– Przecież to nie było tak, że nic nie robiłaś. – Verlaque odchylił się do tyłu, żeby kelnerka mogła postawić pierwsze danie, doradę delikatnie przyprawioną trybulą i estragonem, otoczoną pokrojonymi w cienkie plasterki ziemniakami. – Jak ci idzie pisanie?

– Jestem tym bardzo podekscytowana – odparła Marine, krojąc rybę. – Dałeś mi inspirację, by iść do przodu i spróbować sił w nowej dziedzinie. Wybrałam biografie i zaczęłam prowadzić badania. To nie ma związku z prawem i w jakiś sposób czuję się z tym znakomicie.

– Ale kiedy spotkaliśmy się ostatnio, wydawałaś się smutna – powiedział Verlaque.

Marine odłożyła widelec. – „Być może już czas” – powiedziała do siebie w myślach.

– Tak, byłam. Ale pomogło mi to, że poszłam do kościoła, a dzisiaj miałam długą rozmowę z... moją lekarką.

Verlaque pochylił się do przodu przez stół.

– Lekarką? Marine, co się dzieje? Jesteś chora?

– W zeszłym tygodniu znalazłam mały guzek w piersi – odrzekła.

– I...

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Bo być może to nic poważnego. Jeszcze nic nie wiadomo. Jutro pobiorą wycinek w szpitalu.

– Powinnaś była mi powiedzieć – rzekł Verlaque. – Pojadę z tobą. W tym momencie odezwał się leżący na stole telefon.

– *Shit!* – zawołał Verlaque po angielsku. – Przepraszam, Marine, to Bruno. Muszę odebrać. – Chwycił telefon, zszedł z restauracyjnego tarasu i przeszedł przez wąską wiejską uliczkę, aby nie mogli go słyszeć goście restauracji.

Marine patrzyła na niego, podziwiając jego gęste szpakowate włosy i szerokie ramiona, które pochylał, kiedy rozmawiał. Była zadowolona, że powiedziała mu prawdę. Tak radził jej ojciec, a także jej lekarka. Ale coś w reakcji Antoine'a ją niepokoiło. Nie mogła jednak tego sprecyzować.

Jej lekarka zbadała guzek tego ranka i powiedziała, że jest dobrej myśli.

– Większość z nich jest łagodna, pani Marine – oznajmiła. – Nienowotworowe zmiany w piersi są bardzo rozpowszechnione i nie zagrażają życiu. Pobierzemy próbkę, ale proszę się nie martwić. Umówię panią. To szybki zabieg, wyjdzie pani po chwili. Boi się pani igieł?

Marine pokręciła głową.

– Nie. Boję się robaków, głębokiej morskiej wody, ale nie igieł.

Jej ginekolog uśmiechnęła się i opisała zabieg, jaki radiolog wykona w klinice za pomocą cienkiej, pustej w środku igły.

Pobierze trochę płynu z cysty. Być może zastosuje ultradźwięki, by kierować pozycją igły. Pobrany płyn zostanie następnie wysłany do laboratorium.

Marine szła do domu pieszo i choć nie była szczęśliwa, to po raz pierwszy od wielu dni czuła się spokojniejsza. Popołudnie spędziła na czytaniu wydanej w latach sześćdziesiątych nudnej, ale skrupulatnej biografii osoby, o której i ona chciała pisać. Nie zauważała upływu czasu i wciąż była pogrążona w lekturze, kiedy Verlaque zadzwonił z propozycją wspólnej kolacji. To był fantastyczny pomysł, dodatkowo sprawiła sobie przyjemność, biegnąc przez ulicę do agnès b., by kupić bluzkę, której od dawna się przyglądała. Wcześniej czekała na wyprzedaż, ale w tym sklepie rzadko się takie zdarzały, a jeśli już, to na ubrania, których nikt nie chciał. Może to niepoważne kupować top na dzień przed biopsją, ale chciała myśleć o czym innym. Tego wieczoru miała na sobie tę bluzkę, z wzorem różowych róż, oraz białe dżinsy i płaskie skórzane sandały *tropéziennes*.

Popiła nieco białego wina, ale odstawiła kieliszek w chwili, gdy zobaczyła twarz Verlaque'a, kiedy przechodził przez taras po zakończonej rozmowie telefonicznej.

– Nie wyglądasz za dobrze – zauważyła Marine. – Co się stało?

– Twoje przecucie chyba cię nie myliło – odparł, siadając. – W Rognes znaleziono ciało młodej kobiety...

– Kolejnej? – zapytała Marine. Poczowała ściskanie w dołku...

– Tak. Została zgwałcona i uduszona, tak jak Mlle Montmory, ta dziewczyna z Éguilles. – Odchylił się do tyłu. – Już nie jestem głodny. – Uświadomił sobie, że nie będzie mógł iść rano z Marine do lekarza, musi od razu skierować się do Palais de Justice.

– Ani ja – odparła Marine. – Chyba możemy zrezygnować

z reszty posiłku, prawda?

Verlaque skinął głową i wszedł do restauracji.

– To nie problem, możemy iść – powiedział, kiedy wrócił. – Jeszcze nie zaczęli gotować naszego głównego dania.

Zostawił na stole stosik monet o wartości jednego euro jako napiwek i poszli w kierunku samochodu, ramię w ramię.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – zapytał.

– Nie jestem pewna – odpowiedziała Marine zgodnie z prawdą.

Verlaque westchnął.

– Spróbuję iść z tobą jutro.

– To naprawdę nie jest konieczne – odparła Marine. – Przy tym nowym morderstwie będziesz potrzebny gdzie indziej. – Prawie słyszała głos Sylvie: „Cierpiętница!” – To naprawdę\ malownicza wieś – zmieniła temat.

Verlaque spojrział na towarzyszkę i zastanawiał się, co ona naprawdę myśli.

– Tak – zgodził się. – I tak blisko Aix.

– Szef kuchni nie był zawiedziony, że musieliśmy wyjść? – zapytała.

– Obiecałem mu, że wrócimy z przyjaciółmi. Może z Jean-Markiem i Pierre'em?

Marine zatrzymała się przy zabytkowym porsche Verlaque'a.

– Doskonale. Możemy też zaprosić José i jego żonę, Carmé.

– Dobry pomysł. Dużo z nią rozmawiałaś na przyjęciu – odrzekł Verlaque. Wiedział, że oboje chcieli poruszyć inne, lżejsze tematy, choćby przez kilka minut.

– Tak, jest inteligentna i zabawna. I nie tak nadskakująca jak ten Philippe Léridon. Okropny.

– To sąsiad Mme d'Arras – powiedział Verlaque, marszcząc brwi.

– Zamierzam z nim porozmawiać.

– Kiedy zmarła ta kobieta z Rognes? – zapytała Marine, gdy wsiedli do samochodu.

– Jutro rano doktor Bouvet przeprowadzi autopsję – odparł Verlaque. – Ale powiedziała, że jej ciało było tam, w jej domu, przez dwa, może trzy dni.

– Kto ją znalazł?

– Jej były chłopak. Przyszedł do niej, bo nie odbierała telefonów. Zatem mamy zabójcę, który dwa razy zgwałcił i na pewno raz zamordował, jeżeli oczywiście to ten sam facet.

Verlaque milczał, prowadząc samochód w dół krętej drogi ze starówki w Ventabren do płaskiej *route nationale* prowadzącej przez dolinę do Aix. – Chciałbym, żebyś spała u mnie, dopóki nie znajdziemy mordercy – powiedział w końcu.

– Dobrze – zgodziła się Marine. – Zaparkuj na chwilę przed moim domem, to pobiegnę i wezmę rzeczy.

– Czy Sylvie już wróciła z Mégève? Czy może zabrać cię jutro do kliniki, jeżeli mnie się nie uda?

– Wróciła, ale Charlotte zaczyna jutro szkołę.

Verlaque odezwał się:

– Wyobraź sobie – wracać z miejsca tak mitycznego jak Mégève.

– To właśnie dlatego jest taką świetną narciarką – odparła Marine.

– To na pewno. Potrafi jeździć tyłem, sam to widziałem. Jeździ na nartach lepiej niż ja. No, ale Bogiem a prawdą, Charlotte też jeździ lepiej niż ja – powiedział Verlaque z uśmiechem.

Marine spojrzała na niego i ścisnęła jego kolano. Rok temu Antoine Verlaque nie zażartowałby w ten sposób. Wtedy dostrzegała tylko drobinki jego ciepła, po nich szybko się zamykał,

jakby chciał się uchronić przed ujawnieniem zbyt wiele. Coś się zmieniło na lepsze. Stał się bardziej szczery i naturalny, ale zauważyła, że porzucili temat jej guzka w piersi.

W krótkim czasie przyjechali z powrotem do Aix. Verlaque czekał w samochodzie, zaparkowanym „na drugiego” przed agnès b., podczas gdy Marine pakowała w domu swoje rzeczy. Po pięciu minutach była z powrotem na miejscu pasażera, starając się utrzymać w równowadze stosik książek na swoich kolanach. Verlaque odjechał od krawężnika i przechylił głowę, by spojrzeć na ich grzbiety.

– Jean-Paul Sartre – przeczytał. – Powinienem był wiedzieć, że go wybierzesz. Piszesz jego biografię, tak?

Marine uśmiechnęła się. – Nie tylko jego.

Verlaque skrzył w prawo i jechał w górę rue Frédéric Mistral.

– Piszesz dwie książki? – Ponownie zerknął na tomiki na jej kolanach. – Simone de Beauvoir! To trudny projekt. Oboje żyli i pracowali przez długi czas. Dwie książki to chyba przesada, nie uważasz?

– Jedna książka – sprostowała Marine. – Nie piszę o ich filozofii ani o ich pracy. Piszę o ich związku. To historia miłości.

Chłopiec z Malibu

Bruno Paulik oparł swoje muskularne przedramiona o biurko Verlaque'a.

– „Gisèle Durand” – przeczytał na głos z notatek. – „Czterdzieści dwa lata. Urodzona i wychowana w Rognes. Rodzice nie żyją, starszy brat ponad dwadzieścia lat temu wyemigrował do Stanów. Przez trzynaście lat pracowała we wsi, w małym sklepie odzieżowym, ale ostatnio został on zamknięty. Przez pół roku była bezrobotna. Ciało znalazł były chłopak, André Prodos, trzydzieści siedem lat. Najwyraźniej próbował dzwonić, ale wciąż trafiał na automatyczną sekretarkę, więc wczoraj wieczorem pojechał do jej domu”.

– Gdzie pracuje? – zapytał Verlaque.

Paulik spojrział na dokumentację.

– Jest mechanikiem samochodowym w Pertuis.

– Dowiedzmy się o nim, co się da. A właściciel sklepu odzieżowego? Jeżeli pracowali razem przez trzynaście lat, będzie cennym źródłem informacji.

– Słusznie – powiedział Paulik. Obrócił stronę w dokumentacji

i przeczytał: „Właścicielką sklepu z odzieżą jest Laure Matour”. Zdobyliśmy jej adres w Rognes i numer komórki. Nie mamy telefonu byłego chłopaka, ale jest jego numer stacjonarny. Poza tym ja chyba wiem, gdzie znajduje się jego warsztat. – Obrócił się do Jules’a Schoelchera. – Masz ze sobą swój notesik?

Jules Schoelcher poklepał się po kieszeni na prawej piersi.

– Mam zacząć od razu?

– Tak – oparł Paulik. – Flamant będzie pracował z tobą.

– Szukajcie wszystkiego, co łączyło te dwie kobiety – powiedział Verlaque. – Doktor Bouvet wczoraj wieczorem powiedziała komisarzowi Paulikowi, że Mlle Durand została zaatakowana w taki sam sposób jak Mlle Montmory i że ślady na ich szyjach były podobne. Ucisk gardła i uduszenie, tym razem skuteczne, gołymi rękoma. Te dwie kobiety na pierwszy rzut oka były bardzo różne – jedna o piętnaście lat starsza od drugiej, młodsza z dobrej rodziny, mająca stałą pracę, druga bezrobotna, bez rodziny w pobliżu. Musimy więc dowiedzieć się, co miały wspólnego – gdzie robiły zakupy, czy chodziły do kościoła, czy kiedykolwiek mieszkały w tym samym budynku, cokolwiek. Jedźcie do ich mieszkań i przeszukajcie ich biurka – przejrzyjcie rachunki, listy, paragony z zakupów, telefony wychodzące i przychodzące, wszystko. – Zadzwoił telefon sędziego i ten popatrzył na numer. – To Bouvet.

– *Qui?* – odezwał się Verlaque do słuchawki. – Już skończyłaś? Jest dopiero piętnaście po dziewiątej.

– Zaczęłam o szóstej rano, byłam tak wściekła z powodu tego ataku – powiedziała koroner. – Poza tym, jak osiągniesz mój wiek, też będziesz sypiał coraz krócej.

– Dziękuję za ostrzeżenie.

– Mlle Durand została zgwałcona i uduszona w piątkowy

wieczór, na ile umiem to określić – pomiędzy osiemnastą a dwudziestą. Ma pod paznokciami skórę, którą wyślę do laboratorium – może podrapała sprawcę. Zaczęłam też badać Mme Pauline d'Arras. Umarła mniej więcej w tym samym czasie, pomiędzy osiemnastą a dwudziestą w piątek. Została zabita tam na miejscu – w winnicy. Powiedz swoim ludziom, by szukali poplamionego krwią kamienia wielkości piłki baseballowej. Będziemy w kontakcie. – Rozłączyła się.

Verlaque właśnie powtarzał Paulikowi i Schoelcherowi swoją rozmowę telefoniczną z panią koroner, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę wejść – powiedział.

Wszedł Alain Flamant, trzymając w ręku czerwony notes filofax.

– Mnóstwo tu użytecznych informacji – oświadczył.

– Dzięki niebiosom za pióro i papier – skomentował sędzia. – Usiądź.

– Dziesięć dni temu Mme d'Arras odwiedziła swojego prawnika – rzekł Flamant. – A jej mąż o tym nie wiedział.

– Skąd to wiesz? – zapytał Paulik.

– Bo obok informacji o spotkaniu napisała: „Nie mówić Gilles'owi”.

Verlaque roześmiał się, pomimo powagi porannych wiadomości i duchoty w jego gabinecie. Wstał i otworzył okno.

– Kim jest ten prawnik?

– Tu jest napisane tylko *maître Bley*.

– Éric Bley – sprecyzował Verlaque. – Zobaczę się z nim. – Miał jeszcze coś dodać, kiedy znów dało się słyszeć pukanie do drzwi.

– Pański gabinet przypomina lotnisko Charles'a de Gaulle'a podczas długiego weekendu – skomentował Paulik.

– Witam, panowie – zawołał Yves Roussel, wchodząc do środka. Flamant pochylił się w stronę Jules’a Schoelchera.

– Prokurator Roussel – powiedział.

– Znaleźliśmy się w martwym punkcie – odezwał się nowo przybyły, przemierzając gabinet.

Paulik zgiął się, położył łokcie na kolanach i obrócił głowę w bok, by spojrzeć na nogi prokuratora.

– Nie ma pan dzisiaj swoich turkusowych kowbojskich butów – zauważył.

– Są u szewca. Trzeba wymienić podeszwy – wyjaśnił Roussel, zerkając na swoje nogi. – Wy tutaj gadacie sobie i pijecie kawę, a ja musiałem się przedzierać przez tłum dziennikarzy stojących przed frontowymi drzwiami. Są nawet telewizje państwowe, TF1 i M6. Napastnik w Éguilles i teraz w Rognes to jeden i ten sam człowiek, jak sądzę?

– Tak – odrzekł Verlaque. – Bouvet właśnie potwierdziła taką możliwość.

– A starsza pani?

– Mme d’Arras – powiedział Verlaque szorstko. – Myślę, że to przypadek, że została zaatakowana w Rognes, ale zarówno ją, jak i Mlle Durand zamordowano pomiędzy osiemnastą a dwudziestą piątkowego wieczoru. Jej zabójstwo różniło się od dwóch pozostałych i zginęła jej portmonetka, chociaż być może zabrano ją po to, by nas zmylić.

– No cóż, dajcie mi kogoś, kogo mogę zaaresztować, i to szybko! – zakończył rozmowę Roussel.

Verlaque siedział przy swoim biurku i jadł kanapkę. Postanowił, że zadzwoni do Marine.

– Marine, jak się masz? – zapytał, kiedy odebrała po drugim dzwonku.

– Dobrze – odparła.

– Czy twój ojciec dał radę zabrać cię do lekarza?

– Tak. Koniecznie chciał wejść do gabinetu, gdzie wykonywali punkcję, ale mu nie pozwoliłam.

– Jak się teraz czujesz?

– W porządku. Próbuję czytać, ale trudno mi się skupić. Wyznacz mi jakieś zadanie, jeśli możesz.

Verlaque odsunął na bok nadgryzioną kanapkę.

– Naprawdę chcesz coś do zrobienia?

– No przecież tak powiedziałam.

– Zatem jeżeli naprawdę chcesz, mam dwie rzeczy – mówił Verlaque. – Twoja znajoma Philomène. Czy możesz złożyć jej wizytę i zapytać, czy adres rue de la Conception w Rognes coś jej mówi?

– W porządku – rzekła Marine, zapisując adres na odwrocie koperty. – Czy to tam mieszkała i została zamordowana Mlle Durand?

– Tak. Miałem nadzieję zadać kilka pytań Éricowi Bleyowi, ale za chwilę mamy spotkać się z byłym złodziejem, który przed kilkoma laty zaatakował starszą kobietę, a potem chciałem pojechać do Rognes. Więc skoro znasz Bleya od wieków, może mogłabyś wybrać się do jego biura?

– Tak – odpowiedziała Marine powoli. – Ale po co?

– Bley to prawnik rodziny d'Arras, a Mme d'Arras była z nim umówiona w zeszłym tygodniu i trzymała to w tajemnicy przed mężem. Jego biuro jest przy rue Thiers.

– Wiem – rzekła Marine. – Pójdę tam. – Odchyliła się na oparcie

krzesła i przez chwilę opierała telefon na piersiach. W ostatnim roku Éric Bley dwukrotnie zapraszał ją na randkę, a ona dwa razy mu odmówiła. – Zadzwoń do ciebie, jak tylko będę znała jakieś odpowiedzi – rzekła.

– Dziękuję.

– Szybko pracujecie – powiedział Didier Ruère, poprawiając się na krześle i zakładając nogę na nogę. – Mój kurator wezwał mnie i oto jestem, punktualnie o dwunastej trzydzieści.

– Zatem szybko przejdę do meritum, by mógł pan zaraz iść na lunch – odparł Verlaque. – Gdzie pan był w piątkowy wieczór pomiędzy osiemnastą a dwudziestą?

– Chwileczkę! – zawołał Ruère. – Widziałem dziś rano wiadomości! Nie byłem w pobliżu Rognes!

– Dobrze. Gdzie zatem pan był?

Ruère przerwał.

– Byłem... Niech się zastanowię, w piątkowy wieczór... Ach, tak! Pamiętam! Byłem tutaj, w Aix, w barze de Zinc, przy rue Espariat. Możecie zapytać każdego.

– Zapytamy – zapewnił go Paulik. – Kto jeszcze tam był?

– Mój kumpel Louis – odparł Ruère. – Oglądaliśmy mecz piłki nożnej drużyny Marsylii na barowym telewizorze. Kelner i barman nas znają i mogą za nas poręczyć. Wyszliśmy około dwudziestej pierwszej, bo byliśmy głodni, a w tym barze mieli tylko orzeszki ziemne.

Verlaque patrzył na krople potu na czole Ruère'a.

– Proszę zostawić nam numer Louisa – powiedział.

– Oczywiście.

Verlaque podał Ruère'owi kartkę papieru, a złodziej drżącą ręką

napisał numer telefonu komórkowego.

– Ocalony przez piękną grę – skomentował Paulik.

Ruère uśmiechnął się słabo.

– Chciałbym tylko, aby Marsylia wygrała od czasu do czasu.

Marine szła w górę swojej ulicy, potem jedną przecznicę w dół rue d'Italie i skręciła w prawo w rue Cardinale. Poruszała się prawą stroną ulicy i nacisnęła dzwonek pod numerem osiemnaście oznaczonym nazwiskiem „Joubert”. Nie było odpowiedzi. Poczekała i zadzwoniła ponownie. Spojrzała w górę drogi i usłyszała dźwięk organów dobiegający z kościoła Saint-Jean de Malte, skierowała się więc w tamtą stronę. Być może Philomène była teraz na próbie chóru. Na brukowanym placu przed kościołem stało wielu mieszkańców miasta, a wokół Musée Granet, które prezentowało teraz ogromną wystawę Cézanne’a, kręcili się turyści. Ona i Verlaque byli zaproszeni na specjalne zwiedzanie, zanim wystawa została oficjalnie otwarta. Wyszli zachwyceni Cézanne’em, a w wypadku Verlaque’a zachwyt ten graniczył z fanatyzmem. Przekroczyła próg kościoła i stała przez kilka minut przy wejściu, słuchając muzyki. Dostrzegła *frère* Benoîta idącego wzdłuż nawy, podeszła do niego i przedstawiła się jako córka doktor Bonnet.

– Miło panią poznać – powiedział zakonnik. – Czy szuka pani *père* Jean-Luca? Jest na wystawie Cézanne’a, już trzeci raz.

Marine roześmiała się.

– To świetna wystawa – rzekła. – Tak naprawdę szukam Philomène Joubert. To moja sąsiadka.

– Och, jak pani widzi, nie ma jej tutaj. Wybrała się z innymi parafianami na pielgrzymkę do Santiago de Compostela. Teraz powinni być gdzieś w okolicach Conques.

Serce Marine zamarło.

– Idą pieszo całą trasę? To będzie trwać miesiącami!

– O nie – odparł *frère* Benoît. – Na jeden raz tylko dwa tygodnie, następny etap pokonają w zimie. Nawet M. Joubert dał się przekonać żonie do tej wyprawy.

– A czy można się z nią skontaktować? – zapytała Marine.

– To bardzo trudne – wyjaśnił zakonnik. – Nie mają telefonów komórkowych i spijają w schroniskach, które opisałbym jako bardzo skromne. Czy to coś pilnego?

– Nie – zapewniła go Marine. – Dziękuję bardzo.

Wyszła na jasne słońce. Czy to było pilne? Nie miała pewności. A jeżeli Philomène знаła ten adres? A jeśli to się łączyło ze sprawą? Odwróciła się i pobiegła z powrotem do kościoła, szybkim krokiem szła przez nawę za *frère* Benoîte'em i udało jej się go dogonić, zanim wszedł do zakrystii.

– To chyba jednak jest pilne – rzekła.

Frère Benoît zwrócił się do niej i skinął głową.

– Dobrze.

– To ma związek z... gwałtowną śmiercią... Pauline d'Arras. Ona i Mme Joubert razem się wychowywały.

– Rozumiem. Może zadzwoni pani do mnie wieczorem, po nieszpórach, około wpół do dziewiątej? Postaram się zdobyć numer telefonu do jednego ze schronisk po drodze.

– *Merci, mon frère* – podziękowała Marine. Poszła w górę rue Cardinale, a potem na północ wzdłuż rue d'Italie, która później skręcała w rue Thiers. Kiedy już tam doszła, zatrzymała się i spojrzała w okna sklepu obuwniczego Cindirella, który znajdował się w tym miejscu, od kiedy była małą dziewczynką, jej matka także w dzieciństwie kupowała tam buty, jeszcze w latach

pięćdziesiątych. Sprzedawano tu głównie obuwie staromodne i praktyczne, na płaskim obcasie, chociaż dało się znaleźć także kilka par kolorowych balerinek Repetto. Sklep był jeszcze zamknięty w porze lunchu i Marine ruszyła przed siebie, zdając sobie sprawę, że celowo odwleka spotkanie. Zastanawiała się, czy Éric Bley także będzie jeszcze poza miejscem pracy, ale dochodziło już wpół do trzeciej. Kiedy zadzwoniła do jego biura, natychmiast została wpuszczona i skierowała się w górę eleganckich kamiennych schodów wiodących do kancelarii prawniczej braci Bleyów na drugim piętrze.

– Dzień dobry – Marine zwróciła się do dobrze ubranej sekretarki. – Jestem starą przyjaciółką *maître* Bleya i chciałam zapytać, czy jest.

– Zadzwonię do jego gabinetu – odparła kobieta. – Jak się pani nazywa?

– Marine Bonnet. Doktor Bonnet. – Nieczęsto posługiwała się swoim tytułem doktorskim, poza sytuacjami, kiedy uważała, że to może jej pomóc w uzyskaniu lepszej obsługi.

Sekretarka zadzwoniła do Érica Bleya, rozmawiała z nim przez kilka sekund, a następnie wskazała Marine drugie drzwi na lewo.

Kiedy Marine delikatnie otworzyła drzwi, Éric Bley szedł już przez pokój, by ją powitać. Przez chwilę stali niezręcznie naprzeciwko siebie, niepewni, czy mają uścisnąć sobie dłonie, czy też wymienić *la bise*. W końcu Marine się roześmiała.

– *Quand même* – powiedziała. – Powinniśmy zdecydować się na *bise*. Znamy się wystarczająco długo.

Bley także się roześmiał.

– Masz rację. Zapisalem się do chóru tylko dlatego, że ty w nim śpiewałaś. – Delikatnie ujął ją w talii i pocałowali się w policzki.

Marine oblała się rumieńcem, kiedy zrobiła krok do tyłu.

– Naprawdę wstąpiłeś do chóru dla mnie?

– Nie, to matka nas do tego zmusiła. Ale dla nas, braci Bleyów, stanowiłaś dodatkowy bonus.

Marine uśmiechnęła się szeroko.

– Jak się masz? – zapytał prawnik, cofając się, by przyjrzeć się gościowi.

– Dobrze – odparła. – Dzięki, że znalazłeś dla mnie czas. – Przyjrzała się delikatnym rysom Bleya: jego długiemu, orlemu nosowi, wąskim ustom i jasnoniebieskim oczom. Włosy rzedły mu na skroniach, co tylko podkreślało ładne, opalone czoło, oczy i wysokie kości policzkowe. Jako nastolatki Marine i jej przyjaciółki nazywały go „chłopcem z Malibu”.

– Bardzo proszę – powiedział. – Ale to nie jest wizyta towarzyska, prawda?

– Nie – potwierdziła Marine. – Masz kilka minut?

Bley skinął głową i wskazał jej krzesło, po czym przeszedł na przeciwną stronę olbrzymiego biurka, tego samego, z którego korzystał jego dziadek w tym samym gabinecie. Marine usiadła i kiedy odkładała torebkę na podłogę, ramiączko jej jedwabnej bluzki zsunęło się z lewego ramienia. Szybko je poprawiła, a kiedy spojrzała w górę, zobaczyła, że Bley jej się przygląda. Najwyraźniej dostrzegł mały opatrunek na górze jej piersi, gdzie wykonano nakłucie.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

Marine usiadła prosto.

– Tak, wszystko w porządku.

– Przepraszam. Nie powinienem był pytać.

– Nie, nic się nie stało – zapewniła go Marine. – Dziś rano byłam

na biopsji, dlatego mam opatrunek. Nie bolało, ale było strasznie nieprzyjemne. Trudno mi to opisać.

– Przykro mi – rzekł Bley. – Kiedy czegoś się dowiesz?

– Być może już dziś – odparła. – Mój ojciec dzwonił do laboratorium, by wszystko przyspieszyć. – Jej ojciec był najbardziej wziętym w Aix lekarzem rodzinnym, od wielu lat leczył też rodzinę Bleyów.

Prawnik pochylił się do Marine poprzez biurko i uścisnął jej dłoń.

– Trzymam kciuki.

Marine uśmiechnęła się.

– Dziękuję, Éricu.

– A zatem... co się stało?

– Chodzi o śmierć Mme d'Arras – wyjaśniła Marine. – Jesteś prawnikiem tej rodziny...

– Zgadza się.

– Wiemy, że Mme d'Arras była z tobą umówiona i trzymała to w tajemnicy przed mężem.

Bley skinął głową.

– To jest poufne, Marine.

– Tylko że ona została zamordowana – powiedziała Marine. – W piątek wieczorem.

– Co takiego? – zapytał Bley, jego twarz zbladła jak papier. – Słyszałem dziś rano, że nie żyje, ale nie wiedziałem, dlaczego zmarła. Przez cały weekend byłem w Paryżu i wróciłem dziś porannym pociągiem. Brak mi słów. Jak to się stało?

– Jeszcze nie wiemy. Jej ciało zostało znalezione w winnicy, uderzono ją z boku głowy kamieniem, jej portmonetka zginęła.

Bley odchylił się do tyłu i przeczesał palcami włosy.

– Co chcesz wiedzieć? I dlaczego przyszedł ty, a nie policja?

A może profesorowie prawa rozszerzają teraz działalność?

– Pomagam Antoine'owi Verlaque'owi.

Bley milczał przez chwilę, po czym rzekł:

– Nadal się z nim spotykasz, prawda?

Marine skinęła głową.

– Musimy wiedzieć, dlaczego Mme d'Arras musiała zatajać przed mężem spotkanie z tobą – rzekła. – To wydaje się bardzo dziwne. Mówiono mi, że ona i jej mąż robili wszystko razem.

– Biedny Gilles – westchnął Bley. – Tak, byli nierozłączni. Ale Mme d'Arras przyszła zobaczyć się ze mną w sprawie jej pieniędzy – majątku rodziny Aubanel.

– Ach, rozumiem.

– Miała odrębną część testamentu, niezależną od tego, co napisali razem z Gilles'em. Mogę ci ją pokazać, ale tylko jeżeli masz nakaz. A przypuszczam, że skoro nie jesteś policjantką, to go nie posiadasz.

– Nie, rzeczywiście nie mam. Ale sędzia Verlaque nie potrzebuje nakazu.

– Więc go tu przyślij – powiedział prawnik szorstko. – Mogę nawet zapytać, dlaczego ty tu jesteś zamiast niego.

Marine wiedziała, że to kara za to, że spotykała się z Antoine'em i za odrzucenie starań Érica. Jak zauważył Bley, niezwykle było też to, że Verlaque przysłał ją z tą misją. Podziękowała gospodarzowi, wstała, tym razem podała mu dłoń i szybko wyszła z kancelarii. Na schodach zadzwoniła na komórkę Verlaque'a.

– Hej, to ja – odezwała się. – Jak szybko możesz przyjść to biura Érica Bleya?

– Mniej więcej za dwie minuty – odparł. – Praktycznie widzę je z okna mojego gabinetu.

– Nie powiedział mi, po co przyszła Mme d'Arras, ale ma to związek z jej testamentem.

– Zaraz tam będę.

– I jako sędzia śledczy nie potrzebujesz nakazu, prawda?

– Zgadza się. Tylko mojej odznaki.

Rozłączyła się i usiadła na schodach, które okazały się zaskakująco zimne jak na taki ciepły, wrześniowy dzień. Wyjęła z torebki mały tomik wspomnień Simone de Beauvoir i zabrała się do czytania. Jednak po kilku liniijkach jej myśli zaczęły błądzić, odłożyła więc książkę. Uświadomiła sobie, że powiedziała Éricowi Bleyowi więcej o swoim stanie zdrowia niż swojemu chłopakowi, przynajmniej do czasu wczorajszej kolacji. Czy to dlatego, że chciała być dla Antoine'a silna i zdrowa? Czy obawiała się, że nie będzie jej wspierał, jeżeli zachoruje? A może dlatego, że знаła Érica od dziecka i że – o czym wiedziało całe Aix, a przynajmniej jej przyjaciele i znajomi – opiekował się on ostatnio swoim ojcem w jego długiej i bolesnej chorobie nowotworowej?

Verlaque pojawił się po dwóch minutach, tak jak przewidywał. Szybko wbiegł po schodach.

– Zaprowadź mnie do niego – powiedział, całując Marine.

Weszli do kancelarii, przerywając pograżonym w rozmowie Bleyowi i jego sekretarce.

– *Bonjour, maître Bley* – odezwał się Verlaque i przemaszerował przez recepcję, by uścisnąć dłoń prawnika. – Jestem Antoine Verlaque, sędzia śledczy w Aix-en-Provence. Czy ma pan chwilę?

Bley ruchem ręki wskazał na drzwi swojego gabinetu, a kiedy weszli i usiedli, zamknął drzwi. Verlaque zdjął odznakę z marynarki i pokazał ją Bleyowi. Zgodnie z przepisami prawnik położył ją na swoim biurku.

– Czy chcieliby państwo zobaczyć zmiany, jakich Mme d'Arras dokonała w swoim testamencie?

– Bardzo proszę – odparł Verlaque.

– Mme d'Arras poczyniła zmiany w swoim indywidualnym testamencie – wyjaśniła Marine. – Miała własny majątek po rodzinie Aubanel.

Bley wyjął teczkę z drewnianej, pochodzącej z przełomu wieków szafy na dokumenty, która najwyraźniej została zakupiona razem z biurkiem przed dziesiątkami lat, i położył ją na biurku obok odznaki sędziego. Otworzył teczkę na zapisanej maszynowo stronie papieru firmowego.

Verlaque pochylił się nad kartką i założył okulary do czytania.

– Co dokładnie zmieniła? – pytał, czytając. – Jak się wydaje, przekazuje swój majątek, osiemset dziewięćdziesiąt tysięcy euro – bardziej wyciągnął głowę, by się przyjrzeć – Société pour la Prévention de la Cruauté Envers les Animaux⁴ – przeczytał. – SPCA?

Bley skinął głową.

– Kto był spadkobiercą, zanim dokonała tej zmiany? – zapytała Marine.

– Jej siostrzeniec – odparł Bley. – Christophe Chazeau.

Podjejrzenia Verlaque'a

– Jesteś dupkiem! – ryczał do telefonu Fabrice. – Nigdy nie sądziłem, że tak cię nazwę, Antoine, ale jesteś totalnym dupkiem! Właśnie zadzwonił do mnie Christophe. Powiedział, że prokurator traktował go jak przestępcę.

– Przykro mi, Fabrice – rzekł Verlaque – ale ciotka Christophe'a została w piątek wieczorem zamordowana, a kilka dni wcześniej go wydziedziczyła.

– Był z nami w piątkowy wieczór, nie pamiętasz?

– Miał czas, by pojechać do Rognes – odparł Verlaque. – Przed przyjęciem.

– A skąd niby miał wiedzieć, że został wydziedziczony? – zapytał Fabrice. – No? No? Odpowiedz mi na to pytanie!

– Mme d'Arras zadzwoniła do matki Christophe'a, do swojej siostry Natalie, i jej o tym powiedziała. M. d'Arras to dzisiaj potwierdził.

Fabrice milczał przez kilka chwil.

– To tylko poszlaki. I to wystarczy, by go aresztować?

– Nie aresztowałem go, Fabrice – wyjaśnił sędzia. – Wezwałem

go tylko na przesłuchanie. Jest teraz w domu.

– Pewnie czuje się jak gówno. Dobra robota.

Verlaque nie zdradził Fabrice'owi tego, że podczas gdy on przesłuchiwał Christophe'a, oficerowie Flamant i Schoelcher byli na parkingu i pobierali próbki błota z opon nowego porsche SUV-a.

– Najbardziej niefortunne jest to, że nie ma alibi na piątkowy wieczór, od czasu kiedy o wpół do szóstej wyszedł z pracy, aż do kolacji klubu palaczy cygar o dwudziestej – stwierdził Verlaque.

– Nie jestem pewien, czy ja mam alibi na ten czas? – krzyczał Fabrice do telefonu. – Więc jestem mordercą?

– Nie bądź śmieszny – odezwał się Verlaque.

– Niszczysz *la fraternité*! Należymy do jednego klubu!

– „My garść – szczęśliwy krąg – gromadka braci...”⁵

– O czym ty mówisz? Nikt\ nie jest teraz szczęśliwy, zwłaszcza ten biedny Christophe. Muszę się teraz rozłączyć, Antoine, i chcę, byś dobrze przemyślał to, co właśnie zrobiłeś. Do zobaczenia.

Verlaque odłożył telefon i oparł głowę na przedramionach. Ktoś zapukał do drzwi.

– *Entrez* – powiedział, nie patrząc w górę.

– Och, przepraszam, sir – odezwał się Jules Schoelcher. – Czy mam wrócić później?

– Nie, nie. O co chodzi? – Verlaque podniósł głowę.

– Ponieważ tamtej nocy padało, samochód M. Chazeau był dość czysty...

– *Merde*.

– Ale znaleźliśmy trochę zaschniętego błota trzymającego się wewnętrznej części koła i udało nam się nieco zdrapać. Już jest w laboratorium.

– Świetnie – powiedział sędzia. – Miejmy nadzieję, że nie

pochodzi z winnicy.

– Słucham, sir?

– Christophe Chazeau jest moim przyjacielem.

– Och, rozumiem. To musi być dla pana niezręczne.

– To mało powiedziane. Czy widziałeś gdzieś komisarza? – dopytywał Verlaque.

– Tak, jest przy swoim biurku.

– Czy mógłbyś poprosić go tutaj, wraz z Flamantem? Ty także przyjdź.

– Oczywiście, sir.

Kilka minut później wszyscy trzej mężczyźni byli już w gabinecie sędziego.

– Powiedzcie mi, proszę, czy jest coś, co łączy Mlle Durand i Mlle Montmory – chciał wiedzieć Verlaque.

– *Nada* – odparł Paulik. – Sprawdziliśmy wszystko, co przyszło nam do głowy, poczynając od fryzjera, a kończąc na dentyście.

Verlaque polecił:

– Szukajcie czegokolwiek. Ja zamierzam zobaczyć się z dawną szefową Gisèle Durand ze sklepu odzieżowego. Pracuje teraz w Aix i mamy się spotkać w kawiarni – tu spojrzął na swój zegarek – za pięć minut. Dawajcie znać, jeżeli znajdziecie cokolwiek. Spotkamy się tutaj jutro rano, o dziewiątej.

Verlaque zaproponował kawiarnię przy rue Gaston Saporta, do której rzadko chodził, wiedział więc, że nie wpadnie na ludzi, których zna, szczególnie na członków klubu palaczy cygar – zazwyczaj chodzili oni do kawiarni przy Cours Mirabeau, zwłaszcza do Mazarin. Chciał, by Mlle Matour – albo Mme – nie był pewien, czy była mężatką – czuła się tak swobodnie, jak to tylko możliwe.

Poczuł ulgę na wieść, że pracowała teraz w Aix i nie musiał jechać do Rognes, by się z nią spotkać. Kiedy kilka minut po umówionym czasie wszedł do kawiarni, rozejrzał się po tarasie, szukając kobiety, która mogłaby pracować w przemyśle odzieżowym w Prowansji. Ponieważ większość gości wyglądała jak dzieci z dobrych domów studiujące w Instytucie Nauk Politycznych, które na początku semestru przybyły do Aix w szaleńczej pogoni za kawalerką w zawyżonej cenie, a mniejszość stanowili starzy mężczyźni pijący *pastis*, wybór okazał się nietrudny.

– Przepraszam – rzekł, pochylając się nad jedyną kobietą, która była tu sama. – Mlle Matour?

– *Qui* – odparła, podając mu rękę, by mógł ją uścisnąć. – Proszę, niech pan usiądzie.

– Dziękuję, że zechciała się pani spotkać tak szybko.

– Musi mi pan wybaczyć – powiedziała, zaciągając się papierosem i wkładając go do popielniczki. – Jestem zszokowana... zamordowaniem Gisèle. No cóż, powiedziałam to słowo. Nigdy nie sądziłam, że będę musiała wypowiedzieć słowo „morderstwo” w związku z kimś, kogo znam.

– Bardzo mi przykro – rzekł sędzia. – Przez długi czas pracowała pani z Mlle Durand, prawda?

– Przez dwanaście lat. Była dobrym pracownikiem i chyba dobrą przyjaciółką.

– Chyba? – chciał wiedzieć Verlaque.

Mlle Matour skinęła głową, znów zaciągając się papierosem.

– Pracowałam z nią przez dwanaście lat, ale kiedy patrzę na to z perspektywy czasu, nie jestem pewna, czy kiedykolwiek się przyjaźniłyśmy. Może stałyśmy się koleżankami, ale czy przyjaciółkami? To się nigdy nie sprawdzało. A jednak gromadziło

się wokół niej wiele osób.

– *Ah bon?*

– Tak, była piękną. Nawet kiedy miała czterdzieści lat, brano ją za kobietę ledwie dobiegającą trzydziestki. *Petite*, o zdrowych włosach, z czystą, oliwkową cerą. Biedactwo. – Mlle Matour pochyliła głowę i przetarła oczy, płacząc cicho.

Verlaque spojrział przez ulicę na rzeźby gotyckiej katedry, które strzegły jej drzwi wejściowych, i czekał, aż Mlle Matour odzyska równowagę.

– Chyba potrzebuję drinka – odezwała się w końcu, wycierając oczy w papierową serwetkę.

– *Pastis?* – zapytał Verlaque. Spojrział na jej pofarbowane włosy z pasemkami i zgadł, że może lubić alkohol o takim smaku.

– Napiję się, jeśli i pan się napije – odparła, w kącikach jej ust pojawił się cień uśmiechu.

– *Allez* – zawołał Verlaque, zwracając się do kelnera. – *Deux pastis, s'il vous plait!*

Mlle Matour wzięła głęboki oddech i zapytała:

– Nie wiecie, kto to zrobił, prawda?

– Nie, jeszcze nie. – Przerwał, po czym zadał pytanie: – A pani wie?

– Mógł to zrobić każdy z jej beznadziejnych dawnych chłopaków, z wyjątkiem ostatniego, André. Jednego z nich... Georges'a... musiałam wyganiać ze sklepu miotłą.

Verlaque uśmiechnął się. Podobał mu się jej temperament.

– Czy mogłaby mi pani podać listę ich nazwisk?

– Z przyjemnością.

Kelner przyniósł dwa wąskie wysokie kieliszki z trzema centymetrami płynu na dnie, karafkę z wodą, miskę z kostkami

lodu i dwa mieszadełka.

– *Merci* – podziękował Verlaque. – Mogę? – zapytał Mlle Matour, trzymając karafkę z wodą nad jej kieliszkiem *pastis*.

Skinęła głową.

– Proszę. Powiem panu, kiedy będzie dosyć.

Nalewał wodę, obserwując, jak trunek mętnieje. Kiedy Mlle Matour dała znak dłonią, przestał nalewać, po czym uzupełnił wodą własny kieliszek i zamieszał drinka, dodawszy dwie kostki lodu.

– *Chin-chin* – mówiąc to, Mlle podniosła swój kieliszek.

– *Salut* – odpowiedział. Pociągnął łyk *pastis*, zaskoczony tym, jak świeżo smakowała. Uwielbiał lukrecję, jednak rzadko zamawiał drinki o tym smaku. Czy ze snobizmu? – zastanawiał się.

– Albo to kochasz, albo nienawidzisz – odezwała się Mlle Matour.

– Co? *Pastis*?

– Albo ogólnie smak lukrecji.

– Ma pani rację. To jak z kolendrą – powiedział, myśląc o swoim upodobaniu do tej przyprawy i o niechęci, jaką budziła ona u Marine.

– A także... z ostrygami.

– Uwielbiam je – odparł z uśmiechem.

– A ja nie znoszę.

Kelner przyniósł miseczkę orzeszków ziemnych i miseczkę popcornu i postawił je na stole.

– Dlaczego zamknęła pani sklep? – zapytał sędzia, sięgając po popcorn.

– Zbyt trudno jest konkurować z dużymi sklepami odzieżowymi w Aix, szczególnie od kiedy wybudowano ten nowy kompleks handlowy na końcu *cours*.

– To przykre – odpowiedział. – Nie potrafię sobie wyobrazić, komu na nim zależało poza agentami nieruchomości, sieciami sklepów z ubraniami oraz merem. Czy Mlle Durand odeszła, kiedy zamknęła pani sklep?

– Tak. Ja od razu znalazłam pracę w Aix i namawiałam ją, by zrobiła to samo. Zaproponowałam nawet, że będę ją wozić do Aix, bo ona nie jeździła samochodem. Ale wpadła w coś w rodzaju depresji i potem rzadko wychodziła z domu.

– Czy spotykała się w tym czasie z André Prodosem?

Mlle Matour wypijała nieco *pastis* i skinęła głową.

– Tak, ale zerwali ze sobą jakiś miesiąc czy dwa po zamknięciu mojego sklepu. On jest w porządku, jeśli chce pan wiedzieć. Wpadłam na niego krótko po tym, jak się rozstali, i wydawał się smutny. Powiedział, że nie mógł wyrwać jej z tego przygnębienia, więc przestali się spotykać. Ale wciąż do niej dzwonił od czasu do czasu. Sądzę, że naprawdę ją kochał.

– To on ją znalazł – poinformował sędziego. – Wczoraj wieczorem.

– O mój Boże! Nie wiedziałam. – Mlle Matour zapaliła kolejnego papierosa. – Biedny André. Widziałam wystarczająco wiele programów telewizyjnych, by wiedzieć, że musi go pan przesłuchać – powiedziała, zaciągając się papierosem i wydmuchując dym. – Ale André nie jest człowiekiem, którego szukacie.

Philippe Léridon był zadowolony, że żona udała się na zakupowe szaleństwo do Paryża, gdzie wybierała meble i kotary do ich nowego domu. Jak można spędzić tyle czasu, patrząc na tkaniny? – zastanawiał się. Jego żona nie zносиła Pauline d'Arras i teraz po śmierci tej starszej pani... po jej zamordowaniu... policja w każdej chwili może zadzwonić do jego drzwi. Wiedział, że jest podejrzany –

Mme d'Arras wielokrotnie go nękała, aż w końcu naskoczył na nią, i to na pocztę, jak gdyby nie mógł tego zrobić gdzie indziej. A w kolejce stała tam dziewczyna sędziego, rozpoznał ją później na przyjęciu klubu palaczy cygar. Kto by jej nie poznał? Wysoka, szczupła, elegancka kobieta z orzechowymi oczyma i kręconymi, kasztanowymi włosami. No i te urocze piegi...

Przeszedł przez swój mały trawnik z tyłu domu. Właściwie jak na trawnik w centrum miasta był całkiem duży – wąski, ale ciągnący się przez pięćdziesiąt metrów. Trawnik był zaniedbany, jedyne rośliny, jakie pozostały, to dwie wysokie palmy na każdym rogu z tyłu ogrodu i kilka oleandrów. Czuł, jak jego mokasyny zagłębiają się w trawie, zaskakująco zielonej i bujnej jak na Prowansję, a to dzięki niedawnym nieoczekiwanym deszczom. Zatrzymał się na skraju ogrodu, pod przybudówką, którą kamieniarz postawił pośpiesznie, by zabezpieczyć miejsce wykopalisk. Opadł na czworaki i zdjął brezent. Zaświecił latarką w dół, w miejsce, gdzie pewnego dnia znajdzie się jego doskonała piwniczka na wino. Celowo wstrzymał jej budowę i przekierował pracowników na inny duży projekt, kuchnię we włoskim stylu. Każdego dnia czekał z niecierpliwością, aż jego robotnicy – ci, którzy się zjawiali – wyjdą o osiemnastej. Mógł wtedy iść i podziwiać swój skarb. Prawie wyganiał ich za frontowe drzwi.

Potrzebował czasu, by zdecydować, co zrobić i jak to zrobić, by nikt inny się nie dowiedział. Nie było już Mme d'Arras, ale nadal mógł obserwować go jej mąż. Być może powiedziała mu o sekrecie Léridona? Spojrzał na okna Hôtel de Barlet, ale ponieważ wciąż świeciło słońce, nie mógł zobaczyć, czy ktoś w nich stoi. Ryzykował, wychodząc i patrząc na to miejsce w ciągu dnia, ale niecierpliwił się, myśląc o tym, że ono tam jest i na niego czeka. Nikt o nim nie

wiedział oprócz niego i jego kamieniarza, który został zobowiązany do dyskrecji. Léridon zapłacił mu za trzymanie języka za zębami. Nigdy nie widział czegoś takiego jak to, co miał przed sobą. Kiedy uświadamiał sobie, że to jego własność, do oczu napływały mu łzy.

Po drodze do domu Verlaque zatrzymał się na środku Place d'Archevêche. Z rękoma na biodrach popatrzył na wysokie platany okalające plac i przechylił głowę, by obserwować latające w górze jerzyki.

– *Salut*, Antoine – powiedział ktoś, kto wyciągnął rękę, by wymienić z Verlakiem uścisk dłoni.

– Och, *salut*, Omar – odparł sędzia i uściśnął dłoń właściciela kawiarni w północno-zachodnim rogu placu.

– Rozmyślasz? – zapytał Omar.

– Tak.

– A zatem cię z tym zostawię – uśmiechnął się Omar i poszedł dalej.

Verlaque został na placu i obracał się dookoła, by uzyskać pełny jego obraz. Wreszcie zatrzymał się i znów spojrzał na ziemię, odkopując liść. Co Mlle Montmory i Mlle Durand miały wspólnego? Nie mieszkały w tej samej miejscowości, a Gisèle Durand najwyraźniej rzadko opuszczała swój dom. Ale mordercą był ktoś, kto znał obie te kobiety, wiedział, gdzie mieszkały i kiedy są same. Czy to ktoś z Aix? Laure Matour powiedziała mu, że Gisèle nie prowadziła samochodu, więc prawdopodobnie rzadko przyjeżdżała do Aix. Ale, jak przypuszczał, mogła przyjechać autobusem. Często widywał te autobusy na obwodnicy, pełne licealistów, którzy jechali do Aix do szkoły. Mme d'Arras także pojechała autobusem, więc pewnie często kursują...

Urok południa

Verlaque pokonał cztery biegi schodów do swojego mieszkania i, zdyszany, szarpał się z zamkiem, usiłując otworzyć drzwi.

– *Salut*, Marine! – zawołał, kiedy znalazł się w środku.

– Cześć! Jestem w sypialni – odpowiedziała. – Pracuję.

– Dobrze, zaraz tam będę! – Wyciągnął swój telefon komórkowy i zadzwonił do Paulika. – Hej, Bruno. Przepraszam, że ci przeszkadzam. Czy możesz mi przysłać numer telefonu szefa Mlle Montmory? Przypomnisz mi, jak on się nazywa?

– Kamel Iachella – odparł Paulik. – Zaraz wyślę panu jego numer.

– Dzięki. Zadzwonię do ciebie, kiedy z nim porozmawiam. *Ciao*.

Kiedy tylko numer dyrektora banku pojawił się na ekranie jego telefonu, Verlaque nacisnął przycisk „połącz” i czekał, aż Iachella odpowie.

– Odbierz... odbierz... – mruczał.

Po czwartym sygnale Iachella odezwał się:

– *Qui, hallo?*

– Dobry wieczór, M. Iachella. Tu sędzia Verlaque. Mam jedno pytanie.

– Proszę bardzo.

– Czy Mlle Montmory prowadziła samochód?

– Tak.

Verlaque westchnął.

– No cóż, rozumiem.

– Ale nie w ostatnim czasie – odparł Iachella. – Jej samochód niedawno się zepsuł i oszczędzała, by kupić nowy.

Sędzia wyprostował się i spojrzał na sufit.

– Więc jak przyjeżdżała do miasta?

– Umawiała się ze znajomymi albo jechała autobusem.

– Ogromne dzięki – powiedział Verlaque. – Przepraszam, że pana niepokoiłem.

– Nie ma problemu. Mam nadzieję, że mogłem pomóc. Bardzo zasmuciła nas jej śmierć. – Kilka razy pociągnął nosem i lekko się zakrztusił, po czym dodał: – Może zobaczymy pana na pogrzebie? Jest jutro, o jedenastej w La Madeline.

Verlaque zamknął oczy.

– Spróbuję tam być. Do widzenia.

Marine wyszła z sypialni z książką w ręku.

– Cześć – odezwała się i przeszła przez kuchnię, by pocałować Verlaque'a. – *Pastis*, mniem – powiedziała.

– Suzanne, Pauline i Gisèle jeździły autobusami – stwierdził.

Marine cofnęła się.

– Żartujesz. To chyba nie przypadek, nie uważasz? Kierowca autobusów?

– Być może, ale skąd by wiedział, gdzie mieszkają?

– I dlaczego zaatakował Mme d'Arras? – zastanawiała się

Marine. – To nie pasuje do układanki. A tak przy okazji, rozmawiałeś już z Philippe Léridonem?

– Naprawdę go nie lubisz, co? – zapytał Verlaque. – Jutro do niego pójde. Gilles d'Arras powiedział Brunonowi o kłótni, którą słyszałaś na poczcie. Mme d'Arras wyzaliła się mężowi.

– A ona nie słyszała, co Léridon powiedział po jej wyjściu – zauważyła Marine. – Że świat byłby lepszy bez kobiet takich jak ona, albo coś w tym stylu.

Verlaque skinął głową i podszedł do lodówki, by wyjąć białe wino Mâcon.

– Po tym, co o niej słyszałem, mógłbym powiedzieć to samo. – Spojrzał na butelkę i zauważył, że już była otwarta. – Hej! I jakie jest?

– Wyśmienite – odparła. – Ułatwia czytanie.

– O, to na pewno!

– Wybrałam się dzisiaj, by porozmawiać z Mme Joubert... Philomène...

Verlaque nalał sobie kieliszek wina.

– Dzięki. Co powiedziała?

– Niestety wyjechała na pielgrzymkę – poinformowała go Marine.

– *Merde!* Czy można jakoś się z nią skontaktować?

– *Frère* Benoît próbował znaleźć dla mnie numer telefonu, właśnie przed chwilą z nim rozmawiałam. Ich grupa ma opóźnienie z powodu deszczu i nie idą zgodnie z planem. Benoît stara się dowiedzieć, gdzie teraz są. Chce też powiedzieć Mme Joubert o śmierci Mme d'Arras, ponieważ kiedyś były bliskimi przyjaciółkami. A jak reszta twojego dnia?

Verlaque, z kieliszkiem w ręku, pokonał pięć stopni, które wiodły

z otwartej kuchni i jadalni do pokoju dziennego i usiadł w swoim klubowym fotelu.

– Gówniana – odparł. – Fabrice zrugął mnie za to, że wezwałem Christophe'a na przesłuchanie. Czułem się, jakbym był szczeniakiem.

– Przejdzie mu – stwierdziła Marine, siadając na najwyższym stopniu, w jednym ze swoich ulubionych miejsc. – Pamiętasz to błoto, które wieczorem przed przyjęciem widziałeś na oponach luksusowego samochodu Christophe'a? – zapytała, patrząc w górę na Verlaque'a.

– Dobra robota, pamiętasz tamten szczegół – odpowiedział z uśmiechem. – Przypomniałem sobie, ale pewnie później niż ty. Naszym ludziom udało się zdrapać odrobinę i wysłać do laboratorium.

– Biedny Christophe – rzekła. – Mam nadzieję, że to nie jest błoto z winnicy.

– To samo mówiłem dziś jednemu z moich oficerów. Christophe nie ma alibi na wczesny piątkowy wieczór przed spotkaniem klubu palaczy cygar.

– A co on o tym powiedział?

– Bruno sądzi, że Christophe jest przebiegły – oznajmił Verlaque.
– Bo twierdzi, że był w domu, sam.

– Pytałeś go o błoto?

– Nie, chciałem najpierw mieć wyniki z laboratorium. Nie wiem, czy to dobra decyzja. – Verlaque przechylił się do tyłu, rozsmakowując się w chardonnay z południowego krańca Burgundii, kupionego za jedną czwartą ceny bardziej wykwintnych kuzynów tego wina z terenów na północ od Beaune. – Co jest na obiad?

– Sałatka z ciecierzycą i szynka na zimno – zawołała Marine z kuchni. – I świeży chèvre, i figi na deser.

– Znowu figi? – zapytał Verlaque, kręcąc kieliszkiem i obserwując, jak kropelki wina spływają wolno po szkle.

– Rodzice mieli w tym roku na nie niezwykły urodzaj, jak wszyscy w Prowansji.

Verlaque roześmiał się.

– Powiedziałem to jak rozpieszczony bachor. Przepraszam.

Sięgnął po tomik poezji Miłosza i na chybił trafił wybrał wiersz w środku książki. Przeczytał kilka wersów i położył książkę do góry nogami na swoim kolanie, otwartą, a następnie znów ją podniósł.

– Posłuchaj tego – zawołał do Marine. – „I dalej, w kręte kotliny, aż pojawi się wysoko, wysoko, ten klejnot pątników...”⁶ To o Rocamadour – dodał. – To jest na trasie pielgrzymek, prawda? Byłaś tam?

– Kilka razy. „Kręte kotliny” to doskonały opis tamtej okolicy. Zawsze mnie mdliło, kiedy jechaliśmy prowadzącymi do wioski serpentynami. Jest tam Madonna z Dzieciątkiem w kościele, do którego trzeba się wspinać. Moi rodzice mieli fioła na punkcie tego miejsca. Mnie bardziej interesował mały okrągły ser z tego regionu. Stanowił naszą nagrodę za długą podróż samochodem.

Verlaque westchnął.

– Ta twoja choroba lokomocyjna... Cieszę się, że nigdy nie musiałem spędzać wakacji z twoimi rodzicami.

– A twoje wakacje? – zapytała Marine z dołu schodków, z narzuconym na ramię ręcznikiem kuchennym. – Trzygwiazdkowe restauracje Michelina z twoim ojcem i kochanką, którą miał w danym tygodniu?

– *Touché.*

Marine zatrzymała się w drodze do kuchni, po czym weszła na schodki i usiadła na podłokietniku fotela Verlaque'a.

– Zmartwiłam się, że to, co ci powiedziałam o moim guzku, odniosłeś do siebie.

– W restauracji? Ale jak inaczej miałem to przyjąć? – dopytywał Verlaque, zaskoczony zmianą tematu.

– Miałeś zatroszczyć się o mnie, a nie przejmować tym, że trochę mi zajęło, by ci o tym powiedzieć. To raczej samolubna reakcja.

– Byłem zaszokowany. Także po tych morderstwach... Przepraszam. Powinienem był zapytać, jak się czujesz.

Marine pocałowała go w czoło.

– Zapytałeś, ale dopiero później.

Marine pokazała Verlaque'owi opatrunek. On delikatnie przesunął po nim palcami, przechylił się i ją pocałował.

– Kiedy się dowiesz?

– Mieli dzwonić z laboratorium już dziś. Ale nie zadzwonili. Mam nadzieję, że odezwą się jutro z samego rana. – Podskoczyła. – Kolacja czeka, na stole w jadalni. Idę na chwilę do sypialni, żeby się przebrać.

Verlaque próbował się uśmiechnąć, uwielbiał to, że Marine przebierała się do kolacji, z tak zwanych „miejskich ubrań” w swoje „wygodne ciuchy”. Przy czym jedno i drugie były równie eleganckie. Kochał jej siłę charakteru, w weekend najwyraźniej przejmowała się guzkiem, ale teraz, jak się wydawało, podchodziła do tego spokojnie. Czy to dlatego, że w niedzielę poszła do kościoła? Czy może pomogła rozmowa z rodzicami? On z pewnością nie pomógł i czuł się jak dupek – właśnie tak, jak nazwał go Fabrice.

Westchnął i przeczytał kolejny fragment wiersza Miłosza

o pielgrzymce. To była jedna z rzeczy, które uwielbiał w poezji: mógł wybrać jeden czy dwa przypadkowe wersy i znajdował coś, co mógł z nich wziąć dla siebie, coś, co budziło refleksję. „Ani na wieży panna, choć uśmiechem wabi i oczy nam zawiąże prowadząc w pokoje”⁷. To była wypisz, wymaluj Monique. Mieszkała na szóstym piętrze w Saint-Germain, bez windy. A po latach zmarła na raka piersi.

Jules natychmiast pożałował, że wcześniej nie zarezerwował stolika. Szli z Magali w dół rue Frédéric Mistral. Co chwila objali się o siebie nawzajem, gdyż chodnik był niezwykle wąski. Jules celowo szedł od strony ulicy, zostawiając Magali wewnętrzną część chodnika. Tak został wychowany i już w ogóle się nad tym nie zastanawiał. Magali od razu zauważyła ten szarmancki gest i zrobił on na niej wrażenie. Dużo później powie ich dwóm córkom, że właśnie tego wieczoru zakochała się w swoim młodym policjancie.

Jules będzie miał do opowiedzenia inną historię o ich pierwszej randce. Za każdym razem zacznie się ona tak samo: jak wpadli na siebie na Place Richelme, Jules w drodze do domu po pracy, Magali chwilę po zamknięciu kawiarni, jak zawsze przed wieczorem. Coś w jej uśmiechu dało mu odwagę, by zaprosić ją na kolację. Powiedział to, jakby właśnie wpadł na ten pomysł, i zasugerował, by sprawdzili nową, modną restaurację Lotus. Tak naprawdę myślał o tej randce od wielu dni. Teraz, kilka metrów od tego miejsca, żałował swojej decyzji. Nie tego, że zaprosił Magali na kolację, ale tego, że wybrał Lotusa. Lokal był zatłoczony, słyszeli muzykę, a grupki ludzi wylewały się na zewnątrz.

– *Scheiße*... – mruknął pod nosem.

– *Pardon?* – zapytała dziewczyna, zatrzymując się przed restauracją.

– Nie zarezerwowałem stolika.

Magali wzruszyła ramionami.

– Nie szkodzi. Możemy iść gdzieś indziej.

Jules uśmiechnął się niepewnie.

– Wejdę tam na chwilę i spróbuję.

– Poczekam tutaj.

Z dużym wysiłkiem przeciskał się przez tłum, udało mu się wejść do środka i porozmawiać z dużym, krzepkim mężczyzną, stojącym przy drzwiach. Wnętrze w ocenie Jules'a wyglądało raczej jak nocny klub niż restauracja. Kiedy spojrzał na otwartą na kuchnię salę jadalną, nagle poczuł się bardzo głodny.

– Czy jest szansa na stół dla dwóch osób? – zapytał.

– A jak pan myśli? – odpowiedział bramkarz.

– Rozumiem, że odpowiedź brzmi „nie”? – upewnił się Jules. – Nawet później?

– Wszystko zarezerwowane, także na później. – Mężczyzna wręczył Jules'owi wizytówkę.

Jules wymamrotał podziękowanie i wyszedł na zewnątrz, gdzie Magali stała przy kamiennej ścianie po przeciwnej stronie ulicy.

– Nic z tego – poinformował ją, podchodząc. – Spróbujemy w *Les Deux Garçons*?

Magali zmarszczyła brwi.

– Jak tam wygląda w środku? – zapytała.

– Świetnie. Otwarta kuchnia. Bardzo gwarno.

Magali uniosła brew.

– Chyba znam kilka osób z obsługi – powiedziała. – Każdy od czasu do czasu wpada do nas na kawę. Nie masz nic przeciwko,

jeśli spróbuję?

Później będzie opowiadała rodzinie i przyjaciołom, że w tamtej chwili kładła na szali ich randkę i mogło nie dojść do następnych. Jules okazał się dżentelmenem i do tego nieco staroświeckim, a tymczasem to ona brała sprawy w swoje ręce.

– Idź – rzekł po chwili zastanowienia. – Poczekam.

Właśnie na tym etapie opowiadania historii Jules zawsze przypominał słuchaczom o krótkim żywocie restauracji w Aix. Po sześciu miesiącach kolejki do Lotusa zniknęły. Ceny poszybowwały w górę, a kucharze przestali dbać o jakość. Restauracja nie była już dłużej miejscem, gdzie trzeba bywać. Po dwóch latach została zamknięta.

Magali przebiegła na drugą stronę ulicy i przecisnęła się przez tłum. Niektórym osobom mówiła „dzień dobry”, inne obdarzała *bise*. Jules słyszał jej głośny śmiech, a potem patrzył, jak wchodzi do środka i rozmawia z tym samym bramkarzem, z którym on wcześniej rozmawiał, a który teraz ma na twarzy szeroki uśmiech. Jules widział, że mężczyzna omiata wzrokiem salę i mówi coś do Magali, a ona za chwilę macha do Jules’a. Przeszedł przez ulicę, a później nieustannie mówił „przepraszam”, kiedy torował sobie drogę w tłumie.

Magali wyciągnęła rękę i ujęła go pod ramię.

– Przygotowują nam miejsce na końcu baru, z dwoma stołkami.

Jules próbował się uśmiechnąć. To nie było normalne, że reguły uległy zmianie, nawet dla dziewczyny tak pięknej i uroczej jak Magali. Albo restauracja jest wypełniona, albo nie. Albo macie wolne miejsca, albo nie. Tak to działa w Alzacji. Miał też wyrzuty sumienia ze względu na ludzi czekających na zewnątrz. Ale być może oni także znali tajemny kod, tak jak Magali.

Podeszła do nich kelnerka i powiedziała:

– Poproszę za mną.

Przeszli przez restaurację i usiedli. Magali pochyliła się w stronę swojego towarzysza i położyła dłoń na jego przedramieniu.

– Mam nadzieję, że nie masz mi za złe tego, co właśnie zrobiłam? Tak to się tutaj odbywa.

– Masz na myśli Lotus? – zapytał Jules. Musiał prawie krzyczeć wśród głośnej muzyki, śmiechów i brzękania talerzy i sztućców.

– Nie. Tu na południu – odparła. Uścisnęła jego rękę, z przyjemnością zauważając, jak twarde ma mięśnie.

Podszedł do nich ten sam bramkarz i poklepał Jules'a po plecach.

– Przepraszam cię. Nie wiedziałem, że jesteś z Magali.

– Następnym razem na pewno ci powiem – odpowiedział Jules, starając się, by zabrzmiało to lekko.

– Przyniosę wam coś dobrego z Korsyki na zaostwienie apetytu – rzekł. A potem strzelił palcami i natychmiast pojawił się kelner, który pochylił się nad barem.

– Podaj moim przyjaciołom dwa kieliszki musującego wina miesiąca – powiedział bramkarz. – Domaine martini.

Nie minęła nawet minuta, gdy pojawiły się przed nimi dwa wąskie, wysokie kieliszki wypełnione musującym trunkiem. Jules i Magali stuknęli się kieliszkami, a bramkarz, teraz stojący już z powrotem obok drzwi wejściowych, pomachał im i mrugnął do nich okiem.

– Trudno będzie dzisiaj porozmawiać – powiedziała Magali, przekrzykując hałas.

– Wiem. Ale z tego, co o tym miejscu słyszałem, przynajmniej dobrze zjemy. Komisarz jest zachwycony tym lokalem.

Magali roześmiała się.

– To pierwszy raz, kiedy restaurację rekomenduje mi komisarz policji!

Jules roześmiał się i łyknął odrobinę trunku. Spojrzał w górę, zdziwiony. Był wierny alzackim winom, na spotkaniach rodzinnych pili alzackie wino *crémant* jako aperitif.

– Dobrze. Naprawdę dobre.

Magali pociągnęła duży jak na siebie łyk, czknęła i także się roześmiała.

– Rzeczywiście. – Odstawiła kieliszek. – A zatem skąd to masz? – Jeszcze raz uścisnęła jego przedramię, po czym wyciągnęła rękę w górę i ścisnęła biceps.

– Co takiego? Skąd mam ręce?

Magali wybuchnęła śmiechem.

– Nie. Twoje mięśnie! Ćwiczysz na siłowni?

Jules roześmiał się z własnej *naïveté*.

– Nie, wiosłuję.

– Naprawdę? – pytała Magali. – Gdzie?

– Kiedy byłem w Alzacji, pływałem na rzekach – odparł. – A tutaj właśnie zapisałem się do Marsylskiego Klubu Wioślarskiego.

– Widziałam ten klub! Przechodziłam obok niego. Przy Pharo, prawda?

Jules skinął głową.

– A co ty robisz, kiedy nie jesteś w kawiarni?

– Maluję.

– Obrazy?

– Tak.

– Jakie? – zawołał Jules. Wydawało mu się, że w restauracji robi się coraz głośniejsze.

Pojawiła się kelnerka z talerzem cienko pokrojonej kielbaski

figatelli z Korsyki, przyjęła ich zamówienie i zniknęła.

– Obiecuj, że nie będziesz się śmiał – powiedziała Magali.

Jules zrobił znak krzyża i natychmiast pomyślał, że to nieodpowiedni gest.

Magali pochyliła się w jego kierunku.

– Martwe natury.

– Naprawdę? – zdziwił się Jules. – Z owocami i takimi rzeczami?

– Tak. Od jakiegoś czasu to moja obsesja. Uwielbiam chodzić na rynek i kupować owoce i warzywa. Przynoszę je potem do domu i maluję. Mam też kolekcję starych dzbanków i stylowych obrusów, których używam. To świetna zabawa.

Jules uśmiechnął się szeroko. Była to zdecydowanie najciekawsza randka, na jakiej był od dłuższego czasu.

– Czy będę mógł je kiedyś zobaczyć? – zapytał.

Magali mrugnęła do swojego wysokiego, jasnowłosego Alzarczyka.

– Oczywiście.

Bilet autobusowy

– Zamiast myśleć, co miały wspólnego – powiedział Paulik, kiedy stali w gabinecie Verlaque’a w środowy poranek – pomyślał pan, czego wszystkie nie robiły... Nie prowadziły samochodu.

Sędzia skinął głową, odcinając końcówkę double corona marki Partagás.

– Ani Gisèle Durand, ani Mme d’Arras nie jeździły ostatnio samochodami – powiedział. – Kiedy była szefowa Mlle Durand powiedział mi, że nie miała ona prawa jazdy, przypomniałem sobie, że M. d’Arras mówił to samo o swojej żonie.

– Czy uważa pan, że to ta sama trasa autobusowa? – zapytał Paulik. – Z Éguilles do Rognes, a potem do Aix?

Verlaque wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Musimy wysłać kogoś do zajezdni autobusowej. Ale ja po lunchu jestem umówiony z siostrą Mme d’Arras, zakonnicą. Wkrótce muszę wyruszyć w drogę, jeżeli chcę zdążyć. – Spojrzał na zegarek. – Kiedy przyjdzie chłopak Gisèle Durand?

– Zobaczę się z nim dziś wieczorem – odrzekł Paulik. – Pracuje

i mieszka w Pertuis, niedaleko naszego domu. Znam jego warsztat, specjalizują się tam w starych citroënach. A po lunchu spotkam się z drugą siostrą, matką Christophe'a Chazeau.

– Czy o jedenastej mógłbyś iść na pogrzeb Mlle Montmory? – zapytał sędzieja. Znowu zaczynał czuć się jak nieudacznik albo dupek, jak nazwał go Fabrice. Nie zabrał Marine do kliniki, a teraz nie pójdzie na pogrzeb ofiary morderstwa.

– Tak, planowałem to zrobić.

Verlaque skinął głową i pomyślał: „Niech cię Bóg błogosławi, Brunonie Pauliku”.

– A tak przy okazji – alibi Didiera Ruère'a się potwierdziło – rzekł komisarz. – Zarówno jego kumpel od butelki, jak i barman potwierdzili, że w piątkowy wieczór był w barze Zinc.

Zadzwoił telefon i Verlaque podbiegł do biurka odebrać.

– *Oui*. – Skinął głową i szepnął do Paulika: – To z laboratorium, chodzi o badanie błota. – Sędzieja słuchał i kilka razy pokiwał głową, podziękował technikowi, po czym odłożył słuchawkę. Przeczesał włosy palcami i usiadł za biurkiem.

Paulik zrozumiał sygnał i usiadł naprzeciwko szefa.

– I co?

– Są ślady świadczące, że to ziemia z winnicy – wyjaśnił Verlaque. – Nawet winogrona, najwyraźniej syrah.

– Najlepiej sprzedawany produkt Domaine Beauclair. Przykro mi.

Sędzieja westchnął i odchylił się do tyłu.

– *Merde, merde, merde*.

– Obawiam się, że będziemy musieli wezwać go na przesłuchanie.

– Masz rację – rzekł Verlaque, patrząc przez okno. – Jak się wali,

to na całego. Jak tam Bonnardowie?

– Hélène mówi, że morale przez cały czas niskie.

Sędzia postukał w biurko.

– No cóż, niezależnie od tego, jak to wygląda dla Christophe'a, musimy jak najszybciej wysłać kogoś do zajezdni autobusowej.

Paulik wstał.

– Zgadzam się. To najlepszy trop, jaki mamy, i do tego wydaje się bardzo sensowny. – Musi iść tam jeden z oficerów w cywilnych ciuchach i zasięgnąć języka. Niech udaje, że chce kupić bilet miesięczny. Jeśli trzeba, niech nawet pojedzie autobusem do Éguilles i Rognes.

– Tak – odrzekł Paulik. – Ten facet nie może wiedzieć, że go szukamy. Kiedy już zdobędziemy potrzebne informacje, nasi ludzie mogą włamać się do ich systemu komputerowego.

– Och, jak ja kocham technologię.

Ktoś zapukał do drzwi, Paulik wstał i otworzył. Wszedł Jules Schoelcher, meldując się na poranną służbę.

– Czy kiedykolwiek jeździłeś w Aix autobusami? – zapytał go Paulik.

Marine patrzyła, jak jej matka, doktor Florence Bonnet, emerytowana wykładowczyni teologii, zatrzymuje się przed sklepem i wpatruje w jego pretensjonalną wystawę. Po kilku sekundach najwyraźniej przypomniała sobie jednak, że właśnie zmierza na kawę z Marine. Mruknęła coś cicho do siebie i ruszyła w stronę Café de Verdun.

– Co się stało z księgarnią? – zapytała, kiedy dostrzegła córkę.

– Dzień dobry, mamó – powitała ją Marine, wstając, by obdarzyć rodzicielkę *bise*.

– Hermès? – zapytała doktor Bonnet, nie kierując pytania do nikogo konkretnego. – Kto tam kupuje?

Marine uśmiechnęła się mimo woli – kupował tam Antoine Verlaque.

– Na wystawie widziałam popielniczkę za dwieście pięćdziesiąt euro – mówiła dalej Florence Bonnet. – Pijesz kawę?

– Właśnie jedną zamówiłam – odparła Marine. – Sklep Hermès jest tu już od dwóch lat. – Marine uwielbiała, kiedy ich rozmowy toczyły się dwutorowo.

– Nie zauważyłam, kiedy to się stało. Chyba byłam ślepa. Bardzo lubiłam tę księgarnię.

Pojawił się kelner z filiżanką kawy dla Marine, doktor Bonnet zamówiła herbatę.

– To straszne, co się stało z Pauline d’Arras – rzekła starsza z kobiet, zapinając guziki kardiganu. – Nagle się ochłodziło, prawda?

– Znałaś ją? – zapytała Marine.

Doktor Bonnet wzruszyła ramionami.

– Nie przyjaźniłyśmy się, ale oczywiście ją znałam, tak. Nie uczęszczała na msze do Saint-Jean de Malte. Aubanelówny chodziły do katedry. Zawsze.

– Aubanelówny? Były znane?

– Oczywiście! Wyrastały na piękności – no cóż, z wyjątkiem Natalie...

Marine nie uświadomiła sobie wcześniej, że choć jej matka była prawie w tym samym wieku co Mme d’Arras, dla niej miała ona wciąż pięćdziesiąt kilka lat. Może dlatego, że nigdy nie chorowała, wszędzie jeździła rowerem i, choć już na emeryturze, prawie codziennie wybierała się na uniwersytet na spotkania, by doradzać

studentom i dalej prowadzić swoje badania.

– Czy znasz historię narodzin Natalie Chazeau? – zapytała Marine, pochylając się do przodu.

Mme Bonnet roześmiała się.

– Oczywiście! Ojciec nazista.

Młodsza kobieta odstawiła filiżankę.

– O rany, naprawdę w Aix nie uchowają się żadne sekrety.

– Tak było kiedyś – odpowiedziała jej matka. – Ale teraz nikt nikogo nie zna. Miasto się zmieniło...

– Co wiesz o Natalie i jej synu, Christophe?

– Tylko tyle, że Natalie chowa urazę do Pauline – rzekła doktor Bonnet. – To trwa od zawsze. Dla nas wszystkich było jasne, że się nienawidzą. To przypominało mi stary film z Bette Davis i Joan Crawford, który grali w telewizji późnym wieczorem.

– Znam ten film. Joan Crawford była inwalidką...

– A ten Christophe – przerwała jej matka – gdyby nie agencja nieruchomości jego matki, nie miałby żadnej pracy ani pieniędzy. Jest po prostu pozerem.

Marine próbowała ukryć uśmiech wywołany próbą posługiwania się aktualnym slangiem. – Znasz go?

– Oczywiście, że nie. Skąd miałabym go znać?

„Ale znasz go na tyle, by stwierdzić, że bez pomocy matki nie znalazłby pracy”.

– No cóż, pewnie tak samo znałaś Aubanelówny. Skąd je znałaś?

– Z liceum oczywiście – odparła matka, kończąc pić herbatę. – W Rognes nie było wtedy szkoły średniej. Przyjeżdżały autobusem do Sacré Coeur. Nie zależało mi na Pauline ani na Natalie, ale Clothilde była miła. Zawsze wiedziałam, że zostanie zakonnica. Od kiedy pamiętam, włączyła się za siostrami zakonnymi.

Marine odchyliła się na oparcie krzesła i pomyślała, że zadzwoni do Antoine'a i opowie mu o rzekomym antagonizmie pomiędzy Pauline i Natalie Aubanel.

– Ojej, to już ta godzina? – zawołała doktor Bonnet i zerwała się z krzesła. – Spóźnię się na spotkanie w kościele. – Grzebała w torebce w poszukiwaniu portmonetki. Marine pamiętała, jak matka kupiła tę portmonetkę za namową ojca w Toskanii, gdy ona miała dwanaście lat.

– Mamo – odezwała się Marine. – Ja stawiam.

– Jesteś aniołem – odparła jej matka, pochylając się, by pocałować córkę w czoło, ale chybiła i zamiast tego pocałowała ją w bok głowy. – *Père* Jean-Luc powiedział, że wspaniale było zobaczyć cię na mszy... Spadam! *À bientôt!*

Marine pomachała jej i patrzyła, jak matka szybko rozpina łańcuch, owinięty wokół platana, wskakuje na rower i rusza w dół rue Thiers. Nie zapytała, dlaczego Marine poszła do kościoła ani dlaczego zaproponowała spotkanie na kawę. Czy jej rodzice naprawdę tak mało komunikowali się z innymi? Marine wstała, położyła na stoliku kilka monet i wyszła z kawiarni.

Verlaque jechał już przez dwie godziny, kiedy w końcu zatrzymał się przy stacji benzynowej, by kupić lunch. Po przejściu zygzakiem pomiędzy stojakami pełnymi kaset wideo i płyt CD, których z pewnością nie chciałby oglądać ani słuchać, a potem obok półek pełnych zwyczajowych prowansalskich pamiątek – ceramicznych cykad w jaskrawych kolorach, saszetek z lawendą, mydełek z oliwy z oliwek, ciągnących się cukierków nugatowych – w końcu dotarł do barku. Zbyt dużo czasu spędził, patrząc na wybór kanapek, i ostatecznie zdecydował się na szynkę i ser, do tego dobrał sałatkę z krewetkami. Zjadł lunch na stojąco, starając się omijać miejsca

na barze poplamione kawą. Oparł się pokusie kupienia marsa, bo niezależnie od tego, jak dobrze te słodczyce smakowały w momencie ich konsumowania, wiedział, że wywoływały u niego lekki ból żołądka. Przeszedł przez parking do swojego samochodu, zadowolony, że wakacyjny ruch na drogach już minął i paryżanie wrócili do domów.

Jadąc znowu *autoroute*, słuchał płyty jazzowej, a kiedy dotarł na wysokość Narbonne, spojrzął na zegarek. Obiecał Marine, że zatrzyma się przy ratuszu tego miasta i obejrzy wystawę fotografii najlepszych fotografików francuskich, w tym Sylvie. Wystarczy mu czasu, jeśli szybko znajdzie ten budynek. W ciągu kilku minut nie tylko go odszukał, lecz także zaparkował w cieniu prawie przed frontowymi drzwiami. „Tak miało być” – zastanawiał się. Otworzył drzwi i przebiegł po wykładanej marmurem posadzce hallu, kierując się plakatami reklamującymi wystawę. Kiedy już znalazł się w sali wystawowej, zauważył kilka ogromnych zdjęć kąpiących się ludzi – to jeden z ulubionych tematów Sylvie – i przeszedł przez pomieszczenie, by im się przyjrzeć. Były to portrety – ukazane na nich osoby w różnym wieku kąpały się w zielononiebieskiej rzece, każda z nich patrzyła prosto w aparat. Woda, zupełnie nieruchoma i niezwykle bogata w barwy, przypominała tafłę szkła. Założył okulary do czytania i przybliżył się do jednej z fotografii, jak tylko mógł, by się jej lepiej przyjrzeć. Cofnął się, zdjął okulary i przeszedł do następnego zdjęcia. Kiedy spoglądał na szósty lub siódmy fotogram, zatrzymał się. Dwunasto- lub trzynastoletni chłopiec stał w wodzie sięgającej mu do piersi, tyłem do kamery, ale odwracał do niej głowę, jakby właśnie usłyszał swoje imię.

– „Antoine” – zawołała. – „Wracaj tutaj i pomóż mi się wytrzeć”.

Obrócił się na pięcie i szybko wyszedł z sali, towarzyszyło mu „do

widzenia” wypowiedziane przez przewodnika muzealnego.

W samochodzie usiadł i zamknął oczy. Po minucie lub dwóch włączył silnik i zobaczył, że jego spotkanie z zakonnicą miało się odbyć już za niecałą godzinę. Wyjechał z Narbonne i kierował się na wschód małymi, ministerialnymi drogami, oznaczonymi na żółto na jego mapie Michelin. Co jakiś czas zatrzymywał się w obfitujących w owoce winnicach i sprawdzał mapę. Zjechał na jeszcze mniejsze drogi, gdzie zaczęły pojawiać się drogowskazy do klasztoru, otwieranego każdego ranka dla wycieczek z przewodnikiem. Krajobraz był tutaj bardziej surowy niż w Aix: słabo zaludniony, wzgórza niższe i starsze, a porastające je rośliny nawet bardziej suche i mizerne niż w Prowansji. Otworzył okna samochodu i wpuścił do jego wnętrza okoliczne zapachy. To był krajobraz dla mnichów i mniszek z zakonów zamkniętych, dla średniowiecznych pustelników i fanatycznych wytwórców win. Bardzo różnił się od jego zielonej Normandii, ale niezwykle mu się podobał.

Parking opactwa okazał się większy, niż Verlaque oczekiwał, jednak teraz – kiedy skończyło się lato, a wraz z nim poranne wycieczki – stał prawie pusty. Sędzia zaparkował pod niewielkim drzewem, mając nadzieję, że dzięki temu samochód pozostanie w cieniu, i skierował się do recepcji klasztoru. Aby do niej dotrzeć, odwiedzający musieli przejść przez sklep z pamiątkami i sędzia uśmiechnął się, dostrzegając w tym biznesowy zmysł sióstr. Ponieważ dojechał na miejsce dziesięć minut przed czasem, przeszedł się po sklepie, przyglądając się ręcznie wytwarzanym mydełkom, złocistym miodom i likierom, zapakowanym z lepszym gustem niż te na stacjach benzynowych. Przeglądał bogatą kolekcję książek poświęconych architekturze kościelnej i wybrał jedną dla

Marine. Zawierała fantastyczne zdjęcia i szczegółowe mapy. Być może sprezentuje ją Marine dopiero za kilka tygodni jako prezent po ujęciu mordercy.

– To nasza najlepsza książka – Verlaque usłyszał miękki, kobiecy głos.

Odwrócił się i ujrzał niewysoką, starszą zakonnice w okularach o metalowych oprawkach, która uśmiechała się do niego.

– Cieszę się – powiedział, odwzajemniając uśmiech. – *Soeur Clothilde*?

– Tak – odparła. Wyciągnęła w jego kierunku szczupłą, naznaczoną czasem rękę i mocno uściśniła jego dłoń. – Wygląda pan na sędziego, cieszę się, że się nie pomyliłam.

Verlaque roześmiał się.

– Ojej, nie jestem pewien, czy to dobrze, czy źle.

– Dobrze. To dobrze – odparła. – Proszę za mną, pójdziemy gdzieś, gdzie możemy porozmawiać.

Verlaque zapłacił za swój zakup i podążył za siostrą z powrotem na wykładany kamieniem dziedziniec z roślinami doniczkowymi.

– Pięknie tu – rzekł, patrząc na budynki ze złotawego kamienia zbudowane w różnych stuleciach.

Soeur Clothilde przytaknęła.

– Jeśli pan zechce, to później pokażę panu ogród różany. To jeden z moich obowiązków tutaj, wybieranie gatunków tych kwiatów do posadzenia, a później pielęgnowanie ich.

– Moja babcia miała rękę do róż – powiedział sędzia, kiedy wchodzili do budynku bardziej przypominającego elegancką rezydencję niż klasztor.

– To nasz kawałek rajy – stwierdziła zakonnica. – Róże nie przynależą do tego dzikiego obszaru, ale mam nadzieję, że Bóg nam

wybaczy.

Przeszli przez hall oświetlony, jak się Verlaque'owi wydało, kosztownymi włoskimi kinkietami. Rzędy drewnianych drzwi znaczyły obie strony tego wnętrza. Mniszka otworzyła jedne z ostatnich i gestem wskazała sędziemu, aby wszedł. Zrobił to i odsunął się na bok, pozwalając jej przejść. Rozejrzał się po małym, pobielonym wapnem pokoju i stał bez ruchu, oniemiały. W końcu odezwał się:

– To pani cela.

– Tak – odparła. – Proszę usiąść. – Wskazała na krzesło z wyplatany siedzeniem i usadowiła się naprzeciwko niego, na skraju swojego niewielkiego łóżka, dyndając nogami.

– Bardzo mi przykro z powodu śmierci pani siostry – zaczął.

– Dziękuję.

– Nie wiem, czy pani słyszała, ale w tym samym tygodniu co pani siostra zostały zaatakowane także dwie inne kobiety, jedna również w Rognes, a druga w Éguilles.

Soeur Clothilde zamknęła oczy, po czym ponownie je otworzyła.

– Nie, nie słyszałam. Czy one...?

– Tak, obie nie żyją.

– I przyjechał pan tutaj, gdyż może istnieje związek pomiędzy ich śmiercią a zamordowaniem Pauline?

– Właśnie – potwierdził Verlaque i dał jej chwilę pomyśleć, podczas gdy sam zerknął na półeczkę z książkami wiszącą nad jej łóżkiem. Nie chcąc okazać się wścibski, ponownie spojrział na gospodynię, która znów siedziała z zamkniętymi oczyma.

– W miarę dorastania w Pauline coraz bardziej zbierała się złość – powiedziała w końcu *soeur* Clothilde, siedząc teraz z rękoma na kolanach. – Rzadko z nią rozmawiałam, ale w niedziele, które są

naszymi dniami wolnymi, dzwoniła do mnie moja siostra Natalie. I skarżyła się na Pauline.

– Pauline, Mme d'Arras, dręczyła swoją siostrę, *non*?

– Tak, i to nie było w porządku. Przez całe swoje życie Natalie musiała radzić sobie ze... ze... swoim pochodzeniem, a teraz Pauline jej o tym przypominała. Czy zna pan tę historię?

Verlaque skinął głową.

– Że ojcem Natalie był oficer SS? Tak, wiem.

Soeur Clothilde przytoczyła rodzinną opowieść, nieomal tak samo jak *Philomène Joubert* relacjonowała ją *Marine*. Zajęło jej to dziesięć minut.

– Rodzinne sekrety – dodała. – Trzeba się z nimi uporać, prawda?

Verlaque zawahał się.

– Tak – odparł w końcu.

– A skoro pan już zna historię Aubanelów, nie rozumiem, po co jechał pan przez trzy godziny z Aix. No chyba że ma pan własną historię, o której chciałby pan porozmawiać.

– To niedorzeczne.

– Doprawdy? – zapytała z uśmiechem. – Dlaczego więc pan tu się wybrał, zamiast przysłać jednego z pańskich oficerów?

– Po prostu mogłem przyjechać. – Verlaque poruszył się na krześle i skrzyżował nogi. Rozejrzał się po pokoju i zapytał: – Co pani robi przez całe dnie, jeżeli mogę spytać?

– Myślę, modlę się, czytam – odparła. – I zajmuję się ogrodem. Zauważyłam, że starał się pan czytać tytuły moich książek. Uwielbiam książki historyczne, duże, grube, które obejmują całe pokolenia, a nawet stulecia.

– W stylu Leona Urisa? – dopytywał Verlaque. – Moja babcia

lubiła jego książki.

– O, znowu pańska babcia. Ogrodniczka od róż.

Verlaque uśmiechnął się.

– To przypadek.

– A co pan czyta?

– Poezję – odparł. – Dwudziestego wieku.

– Och... – powiedziała z nutą przekory – bardzo mroczna.

– Bardziej... nostalgiczna. O samotności – rzekł.

– Czy chce pan być samotny?

– Nie, jestem tym zmęczony.

– Jaki jest więc następny krok? – chciała wiedzieć. – Pozbyć się tej samotności i wrócić do świata? Świata miłości i róż, i... niesamotności.

– Nie wiem – odpowiedział. – Dzisiejszego popołudnia zobaczyłem fotografię, którą zrobiła moja przyjaciółka – a właściwie serię fotografii – i jedna z nich wywołała pewne wspomnienia. Nie wszystkie były złe, ale takie, które ukrywam lub ignoruję. Jestem tym zmęczony, to wszystko.

– Mógłby mi pan o nich opowiedzieć, a potem się ich pozbyć – zaproponowała. – Możemy na przykład wyrzucić je przez okno. – Wychyliła się do przodu i spojrzała na swoje zakratowane okno, szerokie na blisko trzydzieści centymetrów. – Ale nie ma tu miejsca na wiele – dodała, mrugając okiem.

Verlaque próbował się uśmiechnąć.

– Czy moglibyśmy wyjść i porozmawiać w ogrodzie? – poprosił.

– Oczywiście. Będzie przy panu wtedy pańska babcia, prawda?

– *Oui.*

L'Agence de la Ville była największą i najbardziej prestiżową

agencją nieruchomości w mieście, które mogło poszczycić się większą liczbą pośredników w handlu nieruchomościami niż lekarzy. Była doskonale zlokalizowana przy Cours Mirabeau – po jej północnej, kawiarnianej stronie, a nie po południowej, wypełnionej przez banki – tak, by ktoś, przechadzając się po wypiciu kawy, mógł wpatrywać się w oprawione, podświetlone i kolorowe ogłoszenia dotyczące wiejskich domów, kamiennych *mas*, *hôtels particuliers*, pełnych przepychu mieszkań, a nawet adaptowanej na dom stodoły albo dwóch. Posiadłości te znajdowały się w najbardziej pożądanym miejscach w Prowansji – w Aix i okolicach, w południowej części gminy Lubéron i na wybrzeżu Marsylii. Większość nieruchomości osiągała cenę siedmiocyfrową, w wypadku innych cena nie została podana, widniały przy nich tylko słowa: „wiadomość na miejscu”...

Paulik nigdy nie był w środku – on i Hélène nie cierpieli agentów nieruchomości, a swój dom w Pertuis kupili od kuzyna. Buty komisarza skrzypiały, kiedy szedł po marmurowej posadzce, marmur błyszczał też na jednej ze ścian i na blacie recepcji. Młoda mieszkanka Aix powitała go szerokim uśmiechem ukazującym doskonale zęby.

– Witamy w L’Agence de la Ville – powiedziała. – Jak mogę pomóc?

– Jestem umówiony z Mme Chazeau – odparł Paulik. – Komisarz Paulik.

Dziewczyna podskoczyła, wciąż na tyle młoda, by denerwować się na widok policjanta.

– Powiem jej, że pan przyszedł – rzekła. Kiedy wyszła zza blatu recepcji, przypomniała sobie, co należy do jej obowiązków, obróciła się i zapytała Paulika, czy chciałby kawę lub szklankę wody.

Odmówił.

Po kilku sekundach Mme Chazeau wyszła zza podwójnych drzwi biura i zbliżyła się do Paulika, by mocno uścisnąć jego dłoń.

– Panie komisarzu – odezwała się – proszę do mojego gabinetu.

Paulik wszedł za agentką nieruchomości do przestronnego, wysokiego biura. Oprawione obrazy olejne wiszące na ścianach ukazywały piękno Prowansji: pola czerwonych maków, rude poszarpane klify Cap Canaille w Cassis i oczywiście Górę Świętej Wiktorii na tle ciemnoniebieskiego nieba. Mme Chazeau była prawie tego samego wzrostu co Paulik, tyle że dużo szczuplejsza. Miała szerokie ramiona sportsmenki, prawdopodobnie pływaczki, i gęste, krótkie, czarne włosy, które zakładała za małe, delikatne uszy. Jej jedyną biżuterię stanowiły duże, diamentowe kolczyki. Nie nosiła obrączki, więc Paulik założył, że była rozwódką lub wdową. Wiedział, że Natalie była najstarsza z sióstr Aubanel, ale nie wyglądała na swoje siedemdziesiąt lat.

– Czy moja sekretarka zaproponowała panu kawę? – zapytała.

– Tak, ale podziękowałem.

– Więc... zacznijmy. Jak sędzę, jest pan tutaj, aby zapytać o moją siostrę Pauline, ale muszę zacząć tę... rozmowę... od powiedzenia panu, jak bardzo mam panom za złe, że mój syn został wezwany na policyjne przesłuchanie.

– Rozumiem – odparł komisarz. – Ale musimy zadawać te same pytania wszystkim, którzy znali Mme d'Arras...

– Dobrze pan wie, że nie odpowiada pan na moją uwagę – rzekła.

– Dlaczego został wezwany na komisariat?

– Miał odziedziczyć...

– Czy to czyni z niego podejrzanego o morderstwo?

Paulik nie odpowiedział.

– Czy był zły, że został wykreślony z testamentu pani siostry? – chciał wiedzieć.

– Nie – odpowiedziała szybko i, jak się komisarzowi wydawało, szczerze. – Christophe nie spodziewał się od niej żadnych pieniędzy i uważał, że to jakiś żart, że w ogóle ma coś dostać.

– Kiedy ostatni raz widziała pani Mme d'Arras?

Mme Chazeau zastanawiała się, opierając duże dłonie na biurku.

– Kilka miesięcy temu – odezwała się w końcu. – Zanim zaczęło się lato. W maju.

Paulik celowo okazał zaskoczenie.

– Maj? To cztery miesiące temu.

– Dokładnie. Jestem pewna, że maj, bo były urodziny Christophe'a i zaprosiłam Gilles'a i Pauline na obiad. Oczywiście z solenizantem. Dwunastego maja.

– A pani mąż? – zapytał komisarz.

– Mój mąż zmarł dwadzieścia lat temu na atak serca.

– Przykro mi – rzekł Paulik. – Zatem nie widziała pani siostry, która mieszka w tym samym mieście, przez cztery miesiące?

Mme Chazeau skinęła głową. Komisarz widział, że nie zamierza udzielać żadnych informacji, nie otrzymując nic w zamian.

– Czy to normalne? – zapytał. – Aby spotykać się z siostrą...

– ...która mieszka w tym samym mieście, co cztery miesiące? – wtrąciła się Mme Chazeau. – Tak.

– Dlaczego? – „Jeżeli ona może odpowiadać jednym słowem, to, ja zacznę zadawać równie krótkie pytania” – pomyślał Paulik.

– Nie miałyśmy dobrych relacji.

To było oczywiste.

– Dlaczego nie?

Mme Chazeau westchnęła i spojrzała na swój złoty zegarek.

– Och, to długa historia...

Paulik milczał, odchylił się bardziej do tyłu i założył nogę na nogę. „Ja mam czas” – powiedział w myślach.

– Nigdy nie byliśmy sobie bliskie – odparła. – Nawet w dzieciństwie. Ma pan rodzeństwo, panie komisarzu?

Paulik skinął głową.

– Pięcioro.

– I jest pan w dobrych stosunkach ze wszystkimi?

– Tak. – „Kłamca”.

– No cóż, to świetnie. Pauline i ja nie byliśmy przykładnymi siostrami. – Mme Chazeau spojrzała na pole maków na ścianie, po czym odwróciła się do Paulika. – Ale nie nienawidziłam jej. Kiedyś tak, ale teraz już nie.

– Dlaczego kiedyś pani jej nienawidziła? – zapytał, znowu pochylając się do przodu.

– Rywalizowałyśmy o wszystko – wyjaśniła. – Proszę mnie nie pytać, dlaczego. Zawsze taka byłam. Ale przestałam rywalizować. – A potem dodała: – Przestałam rywalizować, zanim zamordowano Pauline. – Spojrzała na otwartą gazetę leżącą po jej prawej stronie i szybko ją zamknęła.

– Czy wie pani, kto mógł zabić pani siostrę?

– Nie. Nie mam pojęcia.

– Czy była trudna w kontaktach z innymi?

– Nie, mówiłam już panu.

– Mam na myśli obcych ludzi, sklepikarzy, sąsiadów...

– Tak, była... kłopotliwa...

Paulik odchylił się do tyłu.

– A wieczorem w piątek... gdzie pani była?

– Tutaj. Pracowałam. Z innym agentem nieruchomości

i sekretarką – rzekła, wskazując na drzwi. – Została do późna, by pomóc nam w zamknięciu umowy.

W końcu komisarz wstał i uściskał jej dłoń. Zdał sobie sprawę, że teraz niczego więcej już się od niej nie dowie. Natalie Chazeau odprowadziła go do drzwi.

– Do widzenia, komisarzu – pożegnała się.

Skinął głową, podziękował jej i wyszedł, kłaniając się sekretarce. Już na zewnątrz jego uwagę przyciągnęło oprawione w ramki ogłoszenie dotyczące jednego z domów na sprzedaż: „Sześć sypialni, dwa salony, basen i pawilon basenowy, akryjny urządzonego terenu, widok na Górę Świętej Wiktorii. Sześć milionów sto pięćdziesiąt tysięcy euro”. Pamiętał czasy, kiedy żaden dom w Prowansji nie kosztował więcej niż milion euro – wtedy franków – poza pewnymi posiadłościami na Lazurowym Wybrzeżu. Wydaje się, że to było tak niedawno.

Mme Chazeau weszła z powrotem do swojego biura i otworzyła leżącą na biurku gazetę. „Czy komisarz ją widział?” – zastanawiała się. Podniosła swój nowy telefon komórkowy, założyła okulary do czytania i wysłała esemesa do swojego syna: „Czy widziałeś dziś stronę tytułową «Le Monde»? Myślę, że może Cię zainteresować”.

Dworzec autobusowy w Aix nie był dworcem z prawdziwego zdarzenia, tylko ulicą, gdzie autobusy przyjeżdżały i odjeżdżały, z tymczasowym budynkiem, który służył jako biura. Jules Schoelcher wszedł po rampie do dusznego pomieszczenia i zobaczył tam dwie długie kolejki, każda składała się z ośmiu lub dziewięciu osób. Wybrał drugą z nich, ponieważ obsługiwała ją kobieta. Miał nadzieję użyć swojego wdzięku, tak jak Magali zrobiła w Lotusie. Jeśli tak to działało na południu...

Zdumiony tym, jak długo ludzie kupowali bilety okresowe lub uzyskiwali informacje o połączeniach, usiłował ukryć swoją frustrację. Wreszcie znalazł się przed okienkiem.

– Dzień dobry – powiedział, starając się brzmieć jak najbardziej radośnie.

Kobieta w średnim wieku nawet na niego nie spojrzała, tylko pisała coś na klawiaturze komputera. Po kilku sekundach zmęczonym głosem zapytała:

– Tak?

– Chciałbym kupić bilet miesięczny na region Aix.

– Muszę zobaczyć pana legitymację studencką.

Schoelcher, poirytowany, zakasłał.

– Już nie jestem studentem.

– Och, więc stracił pan prawo jazdy? – zapytała, w jej głosie dało się słyszeć cień zainteresowania. Policjant od razu to zauważył i postanowił wykorzystać.

– Jak pani zgadła? – roześmiał się. – W tym tygodniu straciłem ostatnie dwa punkty z moich dwunastu, kiedy rozmawiałem przez komórkę, prowadząc samochód. Niezbyt korzystne, jeżeli jest się ogrodnikiem.

Pracownica dworca autobusowego spojrzała na opalone, muskularne przedramiona Schoelchera i uśmiechnęła się.

– Więc potrzebuję biletu na dojazd do moich klientów w Équilles... i Rognes – przerwał i postanowił zaryzykować. – Moich najbardziej wymagających klientów, z najładniejszymi domami.

– *Ah oui* – odparła. – Są tam duże domy. Na pokaz. Może pan kupić ten bilet, z którym dojedzie pan z Aix do wszystkich miejscowości na północ. Ale jak pan będzie woził sprzęt ogrodniczy?

Stał nieruchomo, zaskoczony, ale w końcu powiedział:

– Pozwalają mi korzystać ze swojego sprzętu, dopóki nie zakończę lekcji jazdy. Bardzo miłe z ich strony, prawda?

Roześmiała się.

– Czy jest bezpośrednio połączenie z Éguilles do Rognes? – chciał wiedzieć.

Spojrzała na niego, jakby zadał najgłupsze pytanie na świecie.

– Nie, oczywiście, że nie.

– O, to szkoda – odparł, wyjmując portfel. – Czy kierowcy na danej linii zmieniają się?

– A dlaczego to pana interesuje? – zapytała, a jej oczy się zwężyły.

– Och, to nic ważnego. Tylko że ten kierowca, z którym jechałem wczoraj, był w paskudnym humorze. Nie miałem jeszcze biletu miesięcznego i dużo czasu zajęło mi zebranie drobnych.

– To ciężka praca. Więc proszę nie brać tego do serca.

– Dobrze. Kupię bilet miesięczny.

– Trzydzieści sześć euro, proszę. I zapiszę pańskie dane. – Zapytała Schoelchera o jego adres, numer telefonu, nawet o adres mailowy, ale odmówił jego podania.

„Zatem znalezienie adresu samotnej kobiety nie mogło przysporzyć pracownikowi firmy autobusowej trudności” – pomyślał. – „Ale skąd ten pracownik by wiedział, że zarówno Mlle Montmory, jak i Mlle Durand mieszkały same?”

Kiedy zapłacił kasjerce w gotówce, powiedziała:

– Proszę uśmiechnąć się do kamery po mojej lewej stronie.

– Robi mi pani zdjęcie? – zapytał.

– To do pańskiego biletu. Proszę o uśmiech!

– Czy autobus do Rognes jest oblegany? – zainteresował się.

– Oczywiście! – odparła, otwierając pudełko cukierków

i wkładając jednego do ust. – Zwłaszcza przed szkołą i po szkole.

– Och, to dzieci rano jadą do Aix?

– Tak, do szkół średnich. A po południu wracają do domów. Ale pan będzie jeździł do Aix wieczorem, w przeciwną stronę.

– Rzeczywiście! Dzięki Bogu. Cały autobus nastolatków... – powiedział, wznosząc oczy ku górze i próbując się roześmiać.

– To dopiero łobuzy – odrzekła i wręczyła mu bilet miesięczny. – Żadnego szacunku dla nikogo. Ale pan nie będzie miał źle, nocne autobusy powracające do Aix są raczej puste. Być może tylko pan i kierowca.

Schoelcher skinął głową i włożył nowy, lśniący bilet do portfela.

– Nie ma pani pojęcia, jak bardzo mi pani pomogła.

Ziewnęła.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

La politesse

Jules Schoelcher wrócił do Palais de Justice i w biurze Paulika zastał komisarza i Flamanta pochylonych nad komputerem tego pierwszego.

– Jak poszło na dworcu autobusowym? – zapytał Paulik, podnosząc wzrok.

– Doskonale – odpowiedział Schoelcher, rzucając na biurko komisarza swój bilet miesięczny. – Mają adres pasażera, numer telefonu, robią mu zdjęcie. Nie ma bezpośredniego połączenia z Rognes do Éguilles, ale kierowcy zmieniają trasy. A pracownica dworca bez trudu znajdowała te informacje w komputerze. Ale w drodze powrotnej przez cały czas myślałem o tym, skąd gwałciciel mógł wiedzieć, że te kobiety mieszkały same?

– Nie mógł tego wiedzieć – odparł Paulik.

– No tak – odezwał się Schoelcher. – Jednak kierowca mógł.

– Skąd? – chciał wiedzieć Flamant.

– Mógł z nimi rozmawiać.

Flamant odchylił się na oparcie krzesła.

– Tak, masz rację. Mógł je podrywać.

Schoelcher skinął głową.

– Jeśli jesteś samotną kobietą i jedziesz do Aix w nocy, a autobus jest pusty, to gdzie siadasz?

– Za kierowcą – odparł Paulik. On sam także by tam usiadł. Nie dla ochrony czy też z uprzejmości, ale z powodu swojej choroby lokomocyjnej. – Czy powiedziałaś, że raczej nie ma wielu pasażerów w drodze powrotnej do Aix?

– Tak – przytaknął Schoelcher. – Od razu pomyślałem o Mme d'Arras. Jej ciało znaleziono niedaleko od drogi.

Paulik odwrócił się do Flamanta.

– Alain, czy możesz włamać się na stronę internetową pracowników dworca autobusowego?

Flamant udawał, że zawija rękawy.

– *La magic commence* – powiedział, machając palcami w powietrzu. – Proszę dać mi dwie sekundy.

– Jak tam na pogrzebie? – Jules Schoelcher zapytał szeptem Paulika.

– Strasznie, strasznie smutny – odparł komisarz. – Po pogrzebie przedstawiłem się i zostałem oskarżony przez brata zmarłej o to, że nie robimy wystarczająco wiele, by znaleźć złoczyńcę.

– Przykro mi, ale rozumiem jego złość.

– Ja także. Mam dwie siostry.

– A rozmowa z Mme Chazeau?

– Niewiele wnosi – poinformował go Paulik. – Jak się wydaje, nienawidziła siostry, ale ma alibi... była w biurze z dwójkiem współpracowników. Potwierdziła, że Pauline d'Arras należała do osób trudnych w kontakcie, ale to już wiedzieliśmy. Wściekała się, że wezwaliśmy jej syna na przesłuchanie. Nie powiedziałem jej, że on przyjdzie tu jeszcze raz dziś wieczorem.

- Bingo – odezwał się Flamant, podnosząc wzrok.
- Już?
- Tak. Czekałem, aż skończycie rozmawiać. Czego szukamy?
- No cóż – rzekł Paulik, siadając. – Kierowców mężczyzn...
- Gisèle Durand wolała młodszych chłopaków – powiedział Schoelcher. – Jej poprzednia szefowa napisała to w swoim oświadczeniu.
- Więc poniżej czterdziestego roku życia – kontynuował tę myśl Paulik, podziwiając bystrość Schoelchera. – Najlepiej, żeby był notowany – zauważył.
- *Nada* – poinformował go Flamant, wpatrując się w ekran. – Wszyscy są czyści. To pewnie był warunek, by dostać prawo jazdy na autobus.
- Poszukaj wszystkich, którzy nie pracowali w te wieczory, kiedy popełniono morderstwa – rzekł komisarz. – Być może z wyjątkiem dnia zabicia Mme d'Arras.
- Flamant wyjął ołówek i zaczął notować.
- Mają firmowy piknik w następną niedzielę – wymruczał.
- Paulik przewrócił oczyma i uśmiechnął się.
- Szukaj dalej...
- Dobrze, tu jest plan z ostatniego piątku – powiedział Flamant.
- Na trasie Rognes–Aix jeździł Guy Mézery. To ten facet, który rozpoznał Pauline d'Arras, prawda? I powiedział, że wydawała się zagubiona?
- Paulik potwierdził.
- A wieczorne zmiany?
- Jean-Pierre Bondeau – poinformował go Flamant.
- O której skończył pracę? – chciał wiedzieć komisarz.
- O ósmej.

– Po swojej zmianie mógł pojechać z powrotem do Rognes – zauważył Schoelcher. – Doktor Bouvet mogła pomylić się o godzinę, jeśli chodzi o czas śmierci.

Paulik przytaknął.

– Czy Bondeau pracował w ostatnią środę?

– Szukam, szukam – odparł Flamant, zezując na ekran. – Tak, miał dzienną zmianę – od siódmej rano do piętnastej.

Paulik zaklaskał w dłonie.

– Suzanne Montmory została zaatakowana po pracy, wczesnym wieczorem. Proszę, podaj mi jego adres, Alain.

Flamant odczytał adres osiedla w zachodniej części Aix. Spojrzał na zegarek i dodał:

– Bondeau właśnie skończył swoją zmianę.

Do drzwi zapukał Roger Caromb i wsunął głowę do gabinetu.

– Przyszedł Christophe Chazeau, szefie. Skierowałem go do pokoju przesłuchań numer dwa i podałem kawę. Ale wygląda raczej na kogoś, kto potrzebuje czegoś mocniejszego.

– Dziękuję, Caromb – odpowiedział Paulik. On też zerknął na zegarek. – Pójdę przesłuchać Chazeau, a potem w drodze do domu odwiedzę kierowcę autobusu w jego domu. Flamant, czy możesz iść ze mną? Schoelcher i Caromb, przejrzyjcie, proszę, akta jeszcze raz i postarajcie się znaleźć coś, co łączy te kobiety, na wypadek gdybyśmy mylili się co do pracowników firmy autobusowej. Kto mógłby dowiedzieć się, gdzie mieszkają te kobiety i że mieszkają samotnie?

– Hydraulicy, elektrycy – zasugerował Schoelcher.

– Świetnie. Przewertujcie jeszcze raz rachunki kobiet, zadzwońcie do kolegów Mlle Montmory i zapytajcie, czy ostatnio nie miała jakichś robót w domu – rzekł Paulik. – Kto jeszcze?

– Doręczyciel – odezwał się Caromb. – Te duże sklepy spożywcze mają teraz dostawy.

– Świetnie, Roger – pochwalił go komisarz. – Dowiedzcie się, które sklepy prowadzą dostawy do Rognes i Éguilles, i sprawdźcie, czy te kobiety nie były na ich listach. Na pewno mają dokumenty ostatnich dostaw.

Caromb zasalutował przed komisarzem.

– Tak jest!

Flamant pomyślał o swojej narzeczonej, która aż do ostatniego wieczoru oglądała katalog La Redoute, obsesyjnie poszukując materiałów do ich nowego mieszkania. Miał nadzieję, że kiedy się pobiorą, trochę przejdzie jej mania dekorowania wnętrza.

– Duże katalogi także dostarczają towary.

– Masz rację – przyznał Paulik. – Moja żona uwielbia meblować dom w La Redoute. Zatem to twoja robota.

– Tak, sir – odparł młody policjant. Najwyraźniej takie zakupy nie kładą kresu małżeństwu.

Paulik i Flamant zeszli na dół do pokoju, gdzie czekał Christophe Chazeau z twarzą ukrytą w dłoniach. Spojrzał na policjantów i zapytał:

– A gdzie Antoine?

– Nie tutaj – odpowiedział Paulik, siadając.

Flamant pozostał z tyłu pomieszczenia, opierając się o ścianę.

– Mam dla pana złą wiadomość – odezwał się komisarz.

– Co znowu?

– Na oponach pańskiego samochodu znaleziono błoto z winnicy. I ślady winogron.

– O nie... – powiedział Chazeau.

– Czy może pan to wyjaśnić?

– W piątek przed przyjęciem naszego klubu palaczy cygar pojechałem do winnicy – odparł Chazeau, wzdychając.

– Dlaczego pan nam tego nie powiedział?

– Spanikowałem, kiedy dowiedziałem się, że ciocia Pauline została zabita w winnicy, a potem, kiedy zadzwoniliście do mnie w sprawie testamentu... Wiedziałem, że to będzie wyglądało dla mnie strasznie! – wyjaśnił Chazeau. – Tak jak wygląda to teraz! Nie sądziłem, że zniżycie się do tego, by pobierać próbki błota z mojego samochodu!

– Obawiam się, że na tym między innymi polega nasza praca – odpowiedział mu Paulik. – W której zatem winnicy pan był?

– Z pewnością nie w Domaine Beauclair – rzekł Chazeau. – Pojechałem na drugą stronę Aix, do Domaine Frérot et Fils. Chciałem kupić kilka butelek i zabrać je na przyjęcie, a przyjaciel polecił mi ich czerwone wina.

– Dlaczego pan nam tego nie powiedział? – zdziwił się Paulik. – Nie rozumiem. Przecież to pańskie alibi.

Chazeau pokręcił przecząco głową.

– Nikogo nie zastałem. Na drzwiach zobaczyłem notkę, że wszyscy są przy winogronach. Nie chciałem się spóźnić, więc zawróciłem i odjechałem.

– A błoto z winnicy?

– Mam nowego porsche cayenne – rzekł Chazeau. – Ich parking i polna droga do posiadłości były błotniste, ale nie przeszkadzało mi to, ponieważ ten samochód to SUV. Jazda przez błoto nawet mnie bawiła.

Paulik odchylił się do tyłu i westchnął.

– To nie wygląda dobrze, prawda? – niepokoił się Chazeau.

Paulik zamilkł na chwilę.

– Zatem pojechał pan prosto na przyjęcie palaczy cygar?

– Tak. To znaczy niezupełnie, najpierw kupiłem wino, a potem pojechałem do domu się przebrać. – Mężczyźni spojrzeli po sobie, a Chazeau klepnął się w czoło. – Wino! Zatrzymałem się przy małym sklepie winiarskim przy Pont de Trois Sautets!

– Znam to miejsce – powiedział Paulik. Właścicielka, drobna, pełna życia kobieta, miała w sklepie ograniczony wybór, ale wszystko, co sprzedawała, wybierała sama, także w Domaine Beauclair. – Czy sprzedawczyni będzie pana pamiętała?

– Tak myślę – odparł Chazeau. – Przez chwilę rozmawialiśmy o winach, a później powiedziałem jej, że wybieram się na spotkanie klubu palaczy cygar. Może to pamiętać.

– Która to była godzina?

– Chwilę przed siódmą, bo złapałem ją tuż przed zamknięciem.

– Wyślę kogoś do sklepu z pańską fotografią – rzekł komisarz. – Może pan już iść, ale proszę nie opuszczać Aix, dobrze?

– Nigdzie się nie wybieram. W niedzielę jest pogrzeb mojej ciotki i zamierzam tam być, nawet jeśli oddała wszystkie swoje pieniądze na szczeniaki.

Paulik właśnie miał wychodzić z Palais de Justice z adresem kierowcy w ręku, kiedy prawie wpadł na M. d'Arras'a, wchodzącego do budynku.

– Sir – odezwał się komisarz, trzymając drzwi przed starszym mężczyzną – czy mogę panu pomóc?

– Tak – odparł M. d'Arras drżącym głosem. – Chcę porozmawiać z panem o naszym irytującym sąsiedzie, Philippe Léri-donie.

Bruno Paulik powstrzymał westchnienie. Podczas gdy Antoine

Verlaque jechał przez południową Francję, by odwiedzić zakonnice – co jego zdaniem okaże się zupełnie bezowocne – on wypruwał sobie żyły: rozdzielał pracę, przesłuchiwał Christophe’a Chazeau i jego matkę oraz André Prodosa, i poszedł na najsmutniejszy pogrzeb, w jakim kiedykolwiek uczestniczył. W tym czasie pracodawcy jego żony ukradziono wina wprost spod jego nosa, a on nic w tej sprawie nie zrobił. Wysłał wprawdzie ekipę, by zebrała odciski palców, ale jak się okazało, tylko dłonie rodziny i pracowników dotykały drzwi piwnicy.

– Znajdźmy jakieś miejsce do rozmowy, dobrze? – powiedział. Skierowali się w stronę pokoju przesłuchań numer dwa, tego samego, gdzie piętnaście minut wcześniej był Christophe Chazeau. – O co chodzi? – zapytał Paulik, zamykając za sobą drzwi.

– On cały czas przebywa w ogrodzie – opowiadał M. d’Arras. – Moja droga żona uważała, że on tam coś kombinuje, a teraz i ja tak sądzę. Coś ukrywa, ja to wiem. Próbowałem z nim o tym rozmawiać, a on powiedział mi, bym pilnował swoich spraw!

– Ja też bym panu tak powiedział – skomentował Paulik. – Ludzie pracują w ogródkach, M. d’Arras.

Starszy pan spojrzał na niego zdumiony.

– W nocy? – zapytał. Oczy mu się zaszklily i wyjął z kieszeni poźółkłą chusteczkę, by je wytrzeć.

Komisarz pochylił się w stronę Gilles’a d’Arras’a.

– Przepraszam pana.

M. d’Arras wytarł nos i wyszeptał:

– Nic nie szkodzi... Sam nie wiem, co robić.

– To nasz obowiązek, aby dowiedzieć się, co się stało z pańską żoną – rzekł Paulik. – Niech pan idzie do domu i odpocznie. Wyślę kogoś do pańskiego sąsiada. – Spojrzał na starszego mężczyznę,

z zaczerwienionymi oczyma i bladą skórą. Za dwa dni pochowa swoją żonę. – Obiecuję – dodał.

Znalezienie miejsca parkingowego przy właściwym budynku rozległego osiedla w biedniejszej, zachodniej części Aix, gdzie mieszkał Jean-Pierre Bondeau, zajęło Brunonowi Paulikowi dziesięć minut. Ryzykował, że nie zastanie Bondeau, ale zbliżał się czas obiadu, pora, kiedy większość ludzi była w domu. Zadzwoił do André Prodos, by go poinformować, że się spóźni. Prodos nie widział w tym problemu, nie nadał z naprawami, więc zostanie w warsztacie i będzie pracował, aż Paulik tam dojedzie.

Komisarz zaparkował swojego zdezelowanego range rovera i szedł po chodniku, patrząc na budynki. Wreszcie zobaczył *bâtiment D* i nacisnął dzwonek z napisem „Bondeau”.

– *Oui?* – odezwał się męski głos.

– M. Bondeau? – zapytał Paulik, starając się nie mówić zbyt głośno.

– *Oui?* – nadeszła odpowiedź. – Czy pan coś sprzedaje?

– Nie, jestem z policji. Czy mogę wejść?

– *Oh mon dieu* – wymruczał Bondeau. – Trzecie piętro. – Kliknęły otwierane drzwi.

Kiedy Paulik wszedł na podest trzeciego piętra, Jean-Pierre Bondeau stał w otwartych drzwiach mieszkania. Wyglądał na więcej niż trzydzieści siedem lat, jakie miał według sieci Intranet dworca autobusowego, i nie wydawał się w typie Gisèle Durand. Był niski, według Paulika mierzył mniej niż sto sześćdziesiąt pięć centymetrów, i miał nadwagę. Nosił okulary, a jego siwe włosy były obcięte na jeża.

– Proszę wejść – powiedział, odsuwając się na bok. – Co się dzieje?

Komisarz pokazał mu swoją odznakę i podziękował.

– Przepraszam, że przychodzę w porze obiadu. – Spojrzał przed siebie i zobaczył kobietę i troje dzieci – jak sądził, resztę rodziny Bondeau – którzy wciąż siedzieli przy stole i obserwowali go.

– Dobry wieczór – przywitał się z nimi Paulik.

Mme Bondeau skinęła głową, dzieci nadal gapiły się na niego z otwartymi ustami.

Jean-Pierre Bondeau wskazał Paulikowi kanapę, a sam usiadł naprzeciwko niego, na bujanym fotelu.

– Czy to ma coś wspólnego z tą starszą panią, która wsiadła do autobusu do Rognes? – chciał wiedzieć.

– Owszem – potwierdził Paulik. – Pański kolega zawiózł ją do Rognes w piątek po południu i zapamiętał ją.

– Tak, Guy. Był naprawdę wstrząśnięty, kiedy usłyszał wiadomość.

Paulik skinął głową.

– Pan pracował na wieczornej zmianie na trasie z powrotem do Aix, prawda.

– Tak, zgadza się.

– Czy w autobusie była Mme d'Arras? – zapytał komisarz, bacznie przyglądając się kierowcy.

– Nie – odpowiedział natychmiast. – Oczywiście, że nie. Powiedziałbym przecież o tym.

– Tak...

– Hej! Nie podejrzewacie mnie przecież? O co tu chodzi?

Jedno z dzieci upuściło łyżkę czy widelec na podłogę, a Paulik usłyszał szept Mme Bondeau:

– Nie podnoś.

– Czy tego wieczoru ktoś jechał pańskim autobusem? – zapytał

komisarz.

– Proszę pozwolić mi chwilę pomyśleć, dobrze? – odparł Bondeau, pochylając się do przodu i opierając przedramiona na kolanach. – Piątek, piątek... A tak, byli pasażerowie. Autobus jest często pusty w drodze powrotnej do Aix, ale wtedy jechało trzech nastolatków, trzech chłopców, którzy jechali do miasta do kina. Na film 3-D czy coś takiego. – Wyprostował się i uśmiechnął. – Pamiętam ich, bo byli uprzejmi. Nie jak inne dzieciaki, które muszę wozić. – Spojrzał na własne dzieci i powtórzył: – Uprzejmi! – Odwrócił się znowu do Paulika i dodał: – Po filmie mieli ich odebrać rodzice. Słyszałem, jak mówią, że to niweczy ich szanse na pójście do jakiegoś klubu.

Komisarz pokiwał głową. Bondeau potwierdził, że w drodze powrotnej autobus często nie wiozł żadnych pasażerów. A on sam widział plakaty reklamujące film w 3-D, ale kierowca też mógł je widzieć.

– I nie widział pan nic szczególnego w drodze do Aix? – zapytał.

– Nie – odpowiedział kierowca. – Dałbym znać, gdybym coś takiego zobaczył.

– Czy mógłby nam pan jakoś pomóc w zidentyfikowaniu tych chłopców?

Bondeau wychylił się do przodu.

– Owszem – powiedział, prostując się. – Jeden z nich miał na imię Victor, jeżeli to w czymś pomoże. To imię mojego najstarszego syna. – Spojrzał na chłopca, który mógł mieć około jedenastu lat i także nosił okulary. – Wstań, Victor, i przywitaj się. *Politesse!* – powiedział.

Victor Bondeau wstał, uderzając się w stół jadalny.

– Dobry wieczór, sir – odezwał się do Paulika i szybko usiadł z powrotem, ponownie uderzając się w stół.

Komisarz uśmiechnął się.

– Dobry wieczór – odpowiedział. I zwrócił się do M. Bondeau: – Victor? Jak wyglądał?

Bondeau spojrzał na sufit.

– Wyższy niż mój Victor, szczupły, ubrany w te wąskie, wiszące w kroku jeansy, jakie noszą niektórzy\ chłopcy – odparł. – Burza kręconych włosów, ale miła twarz. I bardzo kulturalny. Dobrze wychowany.

Paulik przerwał, a następnie pisał dalej.

– A pozostali chłopcy? Imiona? Twarze?

– Hmm... Niewiele. Jeden z nich był prawdopodobnie młodszy niż pozostali dwaj, a przynajmniej niższy. Och! A jeden miał na imię Jérôme...

– Jak wujek Jérôme w Tuluzie! – zawołało jedno z dzieci z podnieceniem.

Bondeau spojrzał na dzieci zniecierpliwiony.

– Tak jak mój brat.

– Czy coś jeszcze? – dopytywał komisarz.

– Nie – odparł Bondeau. – To i tak cud, że pamiętam tak dużo. – Jeszcze bardziej się wyprostował i położył ręce na udach.

– Bardzo dobrze, dziękuję panu – rzekł Paulik. Wstał i wymienił z Bondeau uścisk dłoni. – Mme Bondeau, bardzo przepraszam, że przeszkodziłem w obiedzie. Znajdę drogę do wyjścia.

Idąc szybko do swojego samochodu, Paulik wybrał numer Domaine Beauclaire.

– *Oui* – usłyszał Élise Bonnard.

– Élise, tutaj Bruno Paulik. Przepraszam, że dzwonię w porze obiadowej.

– Nie szkodzi – odparła. – Jeszcze nie zaczęliśmy, ale Hélène

wyszła przed godziną, a to pewnie z nią chcesz rozmawiać.

– Nie, chciałbym o coś zapytać Victora, jeśli mogę.

Słyszał, jak kobieta woła syna i mówi mu, że dzwoni komisarz Paulik.

Victor Bonnard wolno podszedł do telefonu, dłonie mu się pociły. Olivier Bonnard spojrział na niego zaniepokojony, a trzynastoletnia Clara, odkładając na bok książkę, szepnęła:

– Brawo.

– Zamknij się, Clara – powiedział Victor i mijając ją, trzepnął ją lekko w głowę.

– Słucham? – odezwał się Victor do słuchawki, stojąc w kuchni w otoczeniu całej rodziny.

– Hej, Victor – rzekł Paulik. – Mam pytanie. Czy jechałeś autobusem do Aix w ostatni piątek wieczorem?

Victor rozejrzał się po rodzinie, zdumiony.

– Tak, jechałem.

Komisarz uśmiechnął się.

– Chyba właśnie dowiodłeś czyjejs niewinności.

– Naprawdę? To świetnie.

– Po co jechałeś do Aix?

– Na film, z moimi przyjaciółmi, Jérôme'em i Thomas'em.

Paulik znowu się uśmiechnął.

– Na jaki film?

Victor roześmiał się.

– Nie polecam. Jakiś chłam w 3-D. Żadnemu z nas się nie podobał.

– Stokrotne dzięki – powiedział komisarz.

– Nie ma sprawy.

Paulik rozłączył się i ponownie próbował zadzwonić do

Verlaque'a. Telefon sędziego nadal był ustawiony na *messagerie*, więc komisarz zostawił mu wiadomość. Przekazał najnowsze informacje i opowiedział o ostatniej wizycie M. d'Arras'a. To nietypowe, że Antoine Verlaque nie odbierał telefonu, i Paulik pomyślał, że sędzia może właśnie jedzie samochodem z powrotem do Aix. Wsiadł do swojego range rovera i wyjechał z parkingu szczęśliwy, że ma pół godziny drogi do Rognes, do swojego *maison de ville*, do czekających na niego żony i córki. Wtedy przypomniał sobie, że przed nim jeszcze jedno spotkanie.

Samochód prezydenta

Paulik położył telefon komórkowy na siedzeniu pasażera i wyłączył go. Hélène nagrała dwie wiadomości, których nie zdążył jeszcze odsłuchać, a jego córka Léa jedną. Wyjeżdżając z Aix na północ, myślał o dziesięcioletniej Léi. Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni usiadł z nią i naprawdę byli razem. Na przykład czytali, rozmawiali lub nawet oglądali filmy. Zatrzymał się na światłach i odsłuchał wiadomość od córki: „Cześć, tatusiu. Wiem, że wolno mi dzwonić do ciebie w czasie pracy tylko w nagłych przypadkach, ale chciałam ci tylko powiedzieć, że dostałam dziewiętnaście na dwadzieścia punktów na teście z matematyki. Mama jest w złym humorze. Do zobaczenia wkrótce!” Bardzo chciałby jechać teraz prosto do domu, dochodziła dwudziesta, a Léa kładła się spać wpół do dziesiątej. Ale musiał porozmawiać z André Prodosem. Po drodze myślał o trzech morderstwach, które wciąż – mimo upływu tygodnia – pozostawały niewyjaśnione. Morderstwach kobiet. – Przepraszam, Léa – powiedział na głos i włączył płytę z muzyką operową.

Warsztat Prodosa znajdował się w pobliżu domu Paulików,

w odległości osiągalnej nieomal na piechotę. Kiedy komisarz zatrzymał się przed garażem, zobaczył światło przez pokryte smugami okna.

Prodos usłyszał, jak samochód Paulika zatrzymuje się pod budynkiem, i wiedział, że to starszy range rover, który potrzebuje pracy nad paskiem wentylatora. Pisk, jaki wydawał, kiedy się obracał, jednoznacznie na to wskazywał. Mężczyzna wyszedł z warsztatu, by przywitać się z komisarzem, wycierając usmarowane olejem ręce w mały niebieski ręcznik.

– *Bon soir* – powiedział, wyciągając do Paulika łokieć. – Wytarłem ręce, ale nadal są tłuste. Łokieć musi wystarczyć.

Paulik potrząsnął łokciem mechanika.

– Nie ma problemu. Jestem komisarz Bruno Paulik.

– Proszę wejść do środka, komisarzu.

Paulik szedł za Prodosem do pomieszczenia, które wydawało mu się podobne do każdego biura w warsztacie samochodowym: stare metalowe biurko wypełniały pożółkłe faktury i brudne kubki po kawie. Każdą wolną powierzchnię na ścianach zajmowały oprawione zdjęcia oraz kolekcja trofeów. Nie dostrzegął plakatów z pięknymi dziewczynami ani fotografii ferrari czy maserati. Dumnie eksponowano tutaj citroëny, większość z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, w tym tylko dwa modele, ds i id.

– Proszę usiąść – powiedział Prodos, wskazując na krzesło przed biurkiem.

Ze swego miejsca Paulik mógł widzieć warsztat – na podnośniku wysokim na jakieś sto osiemdziesiąt centymetrów znajdował się białoczarne ds 21, a obok niego stał id w kolorze burgunda, zaparkowany na betonowej posadzce.

– Przykro mi z powodu śmierci Gisèle.

Prodos skinął głową.

– Dziękuję – powiedział cicho.

Paulik starał się dyskretnie obserwować mechanika. Nie wyglądał jak przedstawiciel tego zawodu, a przynajmniej nie jak ci mechanicy, z którymi Paulik miał do czynienia. Był wysoki i chudy, i nosił małe okulary w drucianych oprawkach. Miał brązowe włosy z wyraźnymi zakolami. „Mówi i porusza się z... wdziękiem” – pomyślał Paulik. – „Wdziękiem”.

– Jak sądzę, jest pan tutaj, by zapytać mnie, gdzie byłem w ostatni weekend – odezwał się Prodos, patrząc prosto na komisarza. – Gisèle wyglądała, jakby... jakby już od jakiegoś czasu nie żyła...

– Tak – odparł Paulik. – Została zamordowana w piątek wieczorem, pomiędzy osiemnastą a dwudziestą.

Prodos przygryzł wargę i przez chwilę myślał, po czym powiedział:

– Byłem tutaj, w warsztacie. Obawiam się więc, że nie mam alibi. Paulik skinął głową.

– Czy może ktoś do pana dzwonił?

Prodos pokręcił głową.

– Nie, nie sądzę. Byłem tu tylko ja i samochody.

– Kiedy rozstaliście się z Mlle Durand? – zapytał komisarz.

– Mniej więcej miesiąc po tym, jak skończyła pracę w sklepie odzieżowym w Rognes – odparł Prodos. – Była to raczej moja decyzja niż jej i okazała się trudna dla nas obojga.

– Ale nadal się widywaliście, a w poniedziałek poszedł pan ją odwiedzić.

– Tak – potwierdził mechanik. – Żadne z nas nie miało komórki –

Gisèle uważała, że jej nie stać, a ja jestem zbyt oldskulowy na taką zaawansowaną technologię – więc mogłem się z nią skontaktować tylko przez jej telefon domowy. Ale przez cały weekend nie odpowiadała. Martwiłem się o nią. Więc w poniedziałek wieczorem zamknąłem wcześniej i pojechałem do Rognes, by się z nią zobaczyć.

– Przykro mi – rzekł Paulik. – Czy miała innych przyjaciół?

– Nie, niewielu. Oboje jesteśmy samotnikami.

– W jakim była ostatnio nastroju?

– Była naprawdę w dołku, a nawet w depresji. Nie potrafiłem już do niej dotrzeć. Musiałem się chronić – moja mama cierpiała na depresję, zanim popełniła samobójstwo, gdy miałem trzynaście lat, a nastrój Gisèle zbyt przypominał mi...

Paulik badawczo przyglądał się mechanikowi. Ten spojrział w dół na swoje skrzyżowane ręce i głęboko zaczerpnął powietrza.

– Przepraszam – odezwał się. – I pomyśleć, że przez lata chodziłem na terapię. – Próbował się uśmiechnąć.

Na twarzy Paulika także pojawił się uśmiech, rzekł:

– Proszę się nie spieszyć. Wszystko, co może mi pan powiedzieć o zwyczajach i nastrojach Mlle Durand, bardzo nam pomoże. – I pomyślał: „Mechanik samochodowy, który nie tylko spotykał się z terapeutą, ale się do tego przyznaje”.

Prodos mówił dalej:

– Gisèle i ja przestaliśmy się spotykać, ale nie przestałem jej kochać. Więc sprawdzałem, jak się ma, i starałem się podnieść ją na duchu.

– Czy się z kimś spotykała?

– Nie, nie sędzę, aby tak było. Powiedziałyby mi.

– Słyszałem, że niektórzy z jej wcześniejszych chłopaków nie byli

tak mili – rzekł komisarz.

– Szukała twardych facetów – wyjaśnił Prodos. – Aż spotkała mnie. Lubię myśleć o sobie jako o łagodnej duszy.

Paulik spojrział na Prodosę, który mówił jak poeta, a nie mechanik.

– Czy któryś z tych mężczyzn znajduje się na pańskiej liście podejrzanych?

– Natychmiast pomyślałem o jednym z nich, Georges’u Hoquecie – odpowiedział Prodos. – Nawet do niego dzwoniłem, gotów go oskarżyć albo przynajmniej wyzwać go na pojedynek. Ale telefon odebrał jego brat – Hoquet jest w Paryżu.

– Paryż nie jest tak daleko...

– W więzieniu – mówił dalej Prodos. – Za włamanie z użyciem broni. Jest tam już od roku.

– Rozumiem – rzekł Paulik. – Co Mlle Durand robiła całymi dniami? – zapytał, zmieniając temat. – Jakie miała zwyczaje?

– Myślę, że wychodziła tylko po niewielkie zakupy spożywcze – odparł Prodos.

Paulik zapisał w notatniku: „Dokładnie sprawdzić sklepy w Rognes”.

– Czy często wybierała się do Aix?

– Nie – odpowiedział mechanik. – Nawet kiedy jeszcze się spotykaliśmy i mógłbym ją tam zawieźć, nie chciała. Uważała to miasto za zbyt snobistyczne. Raz w tygodniu chodzę do Cinéma Mazarin, ale ona nie chciała mi towarzyszyć, więc skończyło się na tym, że chodziłem tam sam.

Komisarz skinął głową. Cinéma Mazarin pokazywało filmy zagraniczne z oryginalnymi ścieżkami dźwiękowymi i filmy artystyczne.

– To stanowiło dla mnie duży problem – kontynuował Prodos. – Gisèle była wspaniałą kobietą, ale łatwo wpadała w onieśmienie. Tak bardzo brakowało jej pewności siebie. Próbowałem jej pomóc...
– Prodos znów popatrzył w dół, na swoje skrzyżowane ramiona, po czym zdjął okulary i wytarł oczy.

Paulik czekał, aż mężczyzna odzyska równowagę. W pewnym momencie zobaczył stojące po drugiej stronie biura, przy drzwiach, popiersie Charles'a de Gaulle'a.

Prodos z powrotem założył okulary i zerknął w górę.

– Prezydent de Gaulle był wielkim fanem Citroëna ds 19 – wyjaśnił, dostrzegając zaskoczoną minę komisarza. – Ten samochód ocalił mu życie.

– Naprawdę? – zdziwił się Paulik. – Nie wiedziałem.

– W 1962. Prezydencki pojazd wjechał w zasadzkę i doszło do strzelaniny. Potencjalni zabójcy wystrzelili w de Gaulle'a, ale trafili w opony. Ds toczył się nadal z dwiema przebitymi oponami. I wywiózł prezydenta z niebezpiecznego miejsca.

– Mój dziadek miał takiego – odezwał się komisarz. – Podobny do tego, jaki ma pan na podnośniku, ale nie taki luksusowy. Na pewno nie dwukolorowy. Był jasnoniebieski, modry, jak mawiała moja mama. Uważałem, że to najelegantszy samochód na świecie. – Paulik odchylił się do tyłu i roześmiał. – I to, jak reflektory poruszały się razem z kierownicą! I kto teraz może mówić o awangardzie!

Prodos uśmiechnął się.

– Chciałby pan wejść do warsztatu i na nie spojrzeć?

Paulik wstał i wyprostował nogi.

– Z przyjemnością.

Prodos przytrzymał przed Paulikiem drzwi.

– Ten na podnośniku to ds 21, rocznik 1970.

– Pamiętam, jak po raz pierwszy zrozumiałem grę słów, jaką posługiwał się Citroën w nazwach swoich samochodów – powiedział Paulik, wpatrując się w górę, w dziwny samochód o kształcie cytryny. – Ds brzmi jak *déesse*. Pobiegłem, by powiedzieć o tym mojemu ojcu.

– Tak, „bogini” – odparł Prodos. – I takie właśnie są te samochody, to bóstwa. Nie znoszę długich podróży, kiedy nie jadę jednym z nich.

– Zgadza się z panem. To hydrauliczne zawieszenie – to, jak samochód unosił się, prawie nie zwalniając na wybojach i „leżących policjantach”. Takie zawieszenie miało także swoje złe strony – cierpiałem na chorobę lokomocyjną.

– O tak – powiedział Prodos, kładąc szczupłą rękę na tylnej części samochodu. – Ten pływający ruch miał swoje efekty uboczne, ale ja nigdy tak się nie czułem w tych samochodach. Dla mnie to wahanie jest gładkie jak tafla lodu.

– Pamiętam, jak dziadek używał hydraulicznego zawieszenia, by zmienić przebitą oponę – zaczął opowiadać komisarz. – Błagaliśmy go, by jechał samochodem z podniesionym zawieszeniem przez całą drogę. Raz to zrobił, ale poruszaliśmy się z szybkością dwudziestu kilometrów na godzinę. Samochód siedział około metra nad ziemią. Wystawialiśmy głowy przez okna i krzyczeliśmy jak wojownicy.

Prodos roześmiał się.

– Byli tacy wojownicy w zachodniej Afryce, którzy zrobili tak w polowaniu na dużą zwierzynę. Zawieszenie było maksymalnie podniesione, tak jak pan mówił, tylko nie jechali dwadzieścia kilometrów na godzinę, ale sześćdziesiąt.

– Naprawdę? Czy samochód może wytrzymać taką prędkość,

siedząc metr nad ziemią?

– W żadnym razie – wyjaśnił mechanik. – Rozwalili zawieszenie. Citroën nie mógł zrozumieć, co się dzieje z tymi wszystkimi zepsutymi samochodami, dopóki nie zdał sobie sprawy, że kierowcy jeździli nimi w ten szalony sposób, żeby gonić antylopy. Dziesięć czy dwadzieścia kilometrów na godzinę, po nierównym terenie, to nie problem. Ale któregoś dnia, przed porą deszczową...

– Czy sprzedaje pan takie? – przerwał mu Paulik, obchodząc burgundowego id.

– Cały czas – odpowiedział Prodos. – Jest lista oczekujących. A fankluby istnieją na całym świecie.

– To sprawia, że jest się dumnym, będąc Francuzem, prawda?

– Zawsze byłem dumny, że jestem Francuzem – oznajmił Prodos.

– Poza chwilą, kiedy Pompidou wybrał citroëna sm na samochód prezydencki.

Paulik jęknął.

– Zgadzam się. To było szkaradztwo w porównaniu z wcześniejszymi pojazdami tej marki, mimo że wbudowano mu silnik maserati.

– Myślę o sprzedaży range rovera – odezwał się Paulik, wchodząc do kuchni swojego domu. Hélène spojrzała w górę na męża, odsuwając na bok kieliszek czerwonego wina.

– Tak późno dziś przyjechałeś, Bruno – powiedziała.

– Przepraszam – odparł. – Musiałem dziś przeprowadzić rekordową liczbę przesłuchań. I wszyscy mają alibi, albo też nie ma motywu.

– Czy odsłuchałeś moje wiadomości? – zapytała. – Léa także ci się nagrała. I tak przy okazji – jest teraz w łóżku, śpi.

Paulik spojrzał na kuchenny zegar, było już po dwudziestej

drugiej.

– Wysłuchałem wiadomości Léi. Napiszę do niej liścik i położę przy jej łóżku.

– Liścik?

Paulik odstawił butelkę. Właśnie miał nalać sobie kieliszek czerwonego wina.

– Hélène, przykro mi. Wiem, że Lé a za mną tęskni i że ty pracujesz w stresie...

– W stresie? Tak to nazywasz, Bruno?

Paulik wzruszył ramionami.

– Tak, to stres. Hélène, robię wszystko, co mogę...

– To więcej niż stres! Teraz Olivier oskarża pracowników o kradzież wina! Przeszedł przez wszystkich członków rodziny i jest tak zdesperowany, że przerzucił się na nas... Cyril dzisiaj rzucił pracę!

– Rzucił pracę? No cóż, przykro mi z tego powodu, ale strata niewielkiej ilości wina u Bonnardów nijak się ma do tego, że te kobiety zostały zaatakowane i zamordowane!

– Nie mówię, że to da się porównać! – oburzyła się Hélène. – Myślisz, że jestem głupia? Nie porównuję kradzieży wina do gwałtu oraz morderstwa i wiem, że wina Beauclaire nie są warte tak dużo, jak słynne bordeaux czy wina kalifornijskie, ale strata sentymentalna...

– Strata sentymentalna? Byłem dzisiaj na pogrzebie dwudziestośmioletniej dziewczyny!

Hélène oparła głowę na dłoniach, a potem spojrzała w górę na męża.

– Przepraszam. Nie miałam pojęcia.

Paulik usiadł naprzeciwko żony.

– A w tym tygodniu odbędą się jeszcze dwa pogrzeby. Jeden Mme d'Arras, na którym kościół wypełnią ludzie, którzy jej nie lubili, ale będą udawali, że lubili, i drugi w Rognes, gdzie będzie może dziesięcioro ludzi, a jednemu z nich bardzo zależało na kobiecie, która zmarła.

– To straszne, kochanie.

– A więc twój Cyril odchodzi – rzekł Paulik. – Będiesz przepracowana.

Hélène skinęła głową.

– To najlepszy asystent, jakiego kiedykolwiek miałam. Urodzony winiarz. – Wypiła łyk wina i zjadła garść solonych nerkowców. – Nie mogę przestać ich jeść.

Paulik także wziął garść orzechów.

– Mniam. Obiad. – Podniósł się i wskazał na butelkę. – Czy mogę nalać sobie kieliszek?

Hélène roześmiała się.

– Oczywiście. Od razu widziałam, że tego potrzebujesz, ale wciąż ci przerywałam.

– Myślałem dzisiaj, że nie robiłem wystarczająco wiele w sprawie tego żartownisia od win u Bonnardów – powiedział, wlewając do kieliszka jeden z syrahów Hélène ze specjalnej rezerwy.

– Żartowniś? Mówisz o tym jak o jakiejś grze planszowej.

– Przepraszam – odparł Paulik. – Boże, nie wiesz, ile razy powiedziałem dzisiaj „przepraszam”.

– Przepraszam – rzekła Hélène i małżonkowie wybuchnęły śmiechem. – Chyba oboje jesteśmy wykończeni.

– Na pewno masz rację. Utknąłem w martwym punkcie, jeżeli chodzi o te ataki i podobnie w kwestii kradzieży win u Bonnardów. – Odchylił się do tyłu, zakręcił kieliszkiem, powąchał trunek

i pociągnął łyk. – Leśne maliny. Robisz doskonałe wino, kochanie.

– Dzięki.

– Naprawdę myślisz, że Cyril odszedł? – zapytał Paulik. – Może blefuje.

– Ależ skąd – odparła Hélène. – Już znalazł inną pracę, w Burgundii, dla jakiegoś Chińczyka, który właśnie kupił Château Baron Dubreuil. Za dwa razy wyższą pensję.

– Czy obcokrajowcy wykupują nasze winnice?

– Wiele z nich. Wkrótce będziemy musieli kupować od nich nasze wino! – Paulikowie roześmiali się. – Na szczęście Victor jest bardzo bystry w produkcji win, kocha też pracować w polu. A to nie zawsze idzie w parze.

– To dobrze, skoro ma odziedziczyć rodzinny biznes – powiedział Paulik, patrząc na żonę.

Hélène westchnęła.

– Szkoda, że ja nie urodziłam się w rodzinie winiarzy.

Sekret w ogrodzie

Verlaque zaparkował samochód w swoim garażu i idąc w kierunku centrum Aix, odsłuchiwał wiadomości. Wyłączył telefon na czas rozmowy z *soeur* Clothilde i zapomniał włączyć go z powrotem. Uświadomił sobie, że ta rozmowa była dla niego tak hipnotyzująca, że nie pamiętał o włączeniu komórki. Odczytał esemesa od Marine: „Wciąż nie ma wiadomości z laboratorium. Sylvie i Charlotte wróciły, więc jestem u nich i świętujemy tę okazję. Nie czekaj... S. miała bardzo ekscytujące wakacje, więc mamy wiele do omówienia”.

Odsłuchiwał wiadomość Paulika o Philippe Léri donie i zdecydował się iść tam od razu. Wyglądało na to, że komisarz miał bardzo ciężki dzień, podczas gdy on spacerował po ogrodzie różanym, korzystając z psychoanalizy przeprowadzanej przez siostrę zakonną. Po raz pierwszy tego dnia roześmiał się i bardzo dobrze się z tym poczuł.

Szedł zygzakiem przez średniowieczne ulice Aix, aż znalazł się przed Palais de Justice. Spojrzał na wyższe piętra budynku i po raz

pierwszy zauważył, że zamiast okiennic na oknach znajdowały się nietrwałe żaluzje, w dużej części połamane, powiewające na wietrze. – Jakie to zenujące – wymamrotał i skierował się w górę rue Émeric David. Wiedział, że drewniane prowansalskie okiennice wyglądałyby obco na neoklasycznym budynku, ale musiało być lepsze rozwiązanie niż metalowe żaluzje, przewidziane do wnętrza.

Na rue Émeric David spostrzegł, jak wiele witryn sklepowych zmieniło się ostatnio, i cieszył się, że handlarz antykami na północno-zachodnim narożniku ulicy wciąż prowadził działalność. Stojąc po drugiej stronie ulicy, patrzył na słabo oświetlone wnętrza sklepu, o ścianach malowanych na kolor ciemnego burgunda, i przypomniał sobie, jak jego babka mawiała, że sklepy z antykami są jednocześnie zapraszające i onieśmielające. Poszedł dalej, zauważając, że naprzeciwko mieszkania d'Arras'ów znajdował się teraz salon tatuażu i piercingu. Verlaque nie musiał się zastanawiać, co sądziła o nim Mme d'Arras.

Zadzwoił pod numer szesnaście, do Hôtel de Panisse-Passis, i czekając na odpowiedź, podziwiał płaskorzeźby na drzwiach. W centrum widniała korona, a z niej rozchodziły się różne rodzaje broni: miecze, siekiera, łuk i strzały oraz noże. Delikatne rzeźbione wstążki i listowie uzupełniały męski oręż. Rusztowania pokrywały lwią część elewacji, a kawał brezentu łopotał na wietrze, uderzając o metalowe słupki. Verlaque wyciągnął szyję i zajrzał pomiędzy niebieski brezent a ścianę. Większość kamieniarki przybrała formę rzeźbionych popiersi albo liści, a balkon pierwszego piętra eksponował bogactwo kutego żelaza. Wszystko razem przypominało tort weselny. Ktoś w siedemnastym wieku najwyraźniej chciał się popisać.

Verlaque miał właśnie zadzwonić po raz drugi, gdy usłyszał

męski głos.

– *Oui?*

Kamera i domofon zostały już zainstalowane przy drzwiach wejściowych, chociaż remont budynku jeszcze się nie skończył.

– Philippe? Tu Antoine Verlaque. Spotkaliśmy się w piątek w domu Jacoba Lévy'ego.

– *Ah oui!* Wejdz, proszę. – Drzwi kliknęły, Verlaque popchnął je i wszedł do środka – lecz nie do hallu, jak się spodziewał, ale na dziedziniec, otwarty na niebo. Léridon przeszedł w stronę wejścia i uściśnął dłoń Verlaque'a. – *Bon soir* – powiedział z uśmiechem.

– *Bon soir* – odrzekł sędzia. – Obawiam się, że to nie jest wizyta towarzyska.

Uśmiech Léridona przygasł.

– W takim razie wejdźmy do środka, by porozmawiać. – Gestem wskazał dalszą stronę patio. Szli przez bruk, kiedy Léridon zatrzymał się i zapytał: – Czy chodzi o Mme d'Arras? Teraz także jej mąż się na mnie wziął.

Verlaque skinął głową.

– Chodź za mną – rzekł Léridon. Przeszli przez kolejne podwójne drzwi, nie drewniane, jakie najwyraźniej znajdowały się tu kiedyś, ale szklane, obramowane matowo-czarnym aluminium. Kontrast pomiędzy starym i nowym robił piorunujące wrażenie. Podłogi w hallu wyłożone były białą-czarną kratką z marmuru, powszechnie stosowaną w *hôtels* w Aix. Skręcili w lewo i weszli do pokoju dziennego, którego najważniejszym punktem był ogromny telewizor z płaskim ekranem. Verlaque się skrzywił.

– Ten pokój jest skończony – powiedział Léridon, opierając ręce na biodrach. – Czy mogę ci coś zaproponować? Kawę? Whisky?

Verlaque wybrał fotel odwrócony tyłem do telewizora i miał

ochotę powiedzieć: „Chętnie wypiję whisky. Miałem okropny dzień”. Jednak zamiast tego rzekł:

– Poproszę kawę, jeśli to nie kłopot.

– Mam ekspres do espresso, to zajmie dwie sekundy – powiedział Lériidon. – Zaraz wracam, ekspres jest w tymczasowej kuchni. Cukier?

– Jedna kostka. Dziękuję. – Kiedy Lériidon wyszedł, Verlaque zadumał się nad swoim dniem, chciał go nazwać „piekielnym”, ale tak naprawdę wcale taki nie był. Ponowne przeżywanie swojej przeszłości było straszne, ale złagodziła je obecność zakonnic, tym bardziej w tamtym otoczeniu. Odchylił się na oparcie fotela i rozejrzał po pokoju dziennym Lériidona. Abstrakcyjne malowidła na ścianach pewnie sporo kosztowały, ale nie odpowiadały jego gustom, kolory były zbyt krzykliwe. Białe skórzane sofy prawdopodobnie pochodziły z Włoch i także były drogie, ale wydawały się zimne zarówno w dotyku, jak i wizualnie. Wśród kolorów dominowała biel, z akcentami czerwieni na mniejszych elementach wyposażenia, takich jak wazony czy dywany. Verlaque nie lubił tego koloru w dekoracjach wnętrz, dopuszczał ciemną, prawie brązową czerwień wina burgund, ale nie tę jaskrawą barwę.

Lériidon wrócił, niosąc dwie filiżanki espresso na małej tacy, którą przytrzymał przed Verlakiem.

– Niebieska filiżanka to ta z cukrem – odezwał się. – Ja zawsze piję czarną.

– Dziękuję – powiedział Verlaque, mieszając swoją kawę małą srebrną łyżeczką.

Gospodarz usiadł i zaczął pić kawę.

– A zatem na co teraz uskarża się d’Arras? – zapytał. – Hałas? Powiedziałem moim robotnikom, by kończyli wcześniej, około

osiemnastej, bo wiem, jak ich praca przeszkadza d'Arras'om.

– Teraz jemu, nie im – uściślił sędzia. Podniósł do ust swoje podwójne espresso, ale zapach kawy sprawił, że wywrócił mu się żołądek. Zmusił się do pociągnięcia niewielkiego łyku z czystej uprzejmości.

Léridon skończył kawę w dwóch łykach i odstawił filiżankę na szklany stolik.

– Ona nie była moją ulubioną osobą na ziemi, ale przykro mi, że zmarła.

– Została zamordowana – powiedział Verlaque, pochylając się do przodu. – I niestety słyszano, jak jej groziłeś. Wielokrotnie.

Léridon roześmiał się nerwowo.

– Mam gorący temperament. Zapytaj każdego, kto kiedykolwiek dla mnie pracował.

– Zrobię to. – Verlaque zmusił się do skończenia kawy i odstawił swoją filiżankę obok filiżanki gospodarza. – Muszę cię zapytać o alibi na piątkowy wieczór...

Léridon wszedł mu w słowo:

– Byłem na przyjęciu palaczy cygar.

– Pomiedzy osiemnastą a dwudziestą – dokończył sędzia. – Przed przyjęciem.

– Byłem tutaj.

– Czy byli tu jeszcze jacyś robotnicy? Albo członkowie rodziny? – Verlaque patrzył, jak Léridon opuścił oczy i przetarł je dłonią.

– Moja żona jest w Paryżu... – wymruczał. – Ale wciąż pracował tu elektryk. Dam ci jego numer telefonu. – Gospodarz wyszedł do innego pokoju i wrócił z wizytówką. – Nie polecam go – rzekł. – Za każdym razem, kiedy włączam mikrofalówkę, wyłącza się prąd na dole. Ale tutaj jest jego numer. Zmusiłem go, by został w piątek

i zrobił coś z tym bałaganem.

– Dziękuję – odezwał się sędzia. – Przepraszam, że przeszkadzałem. – Chciał wstać, ale znów opadł na białą sofę.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Lériidon, pochylając się nad nim.

Verlaque spojrział na Philippe Lériidona i zobaczył nad sobą dwóch mężczyzn. Potarł oczy i poprosił:

– Czy mógłbyś mi podać dużą szklankę wody?

– Oczywiście – odparł gospodarz, szybko wychodząc z pokoju. Sędzia zamknął oczy, a kiedy je otworzył, Lériidon stał przed nim ze szklanką wody.

– Dzięki – powiedział Verlaque. – Czuję dziwną suchość w ustach. – Wypił połowę wody i oparł szklankę na kolanie. – M. i Mme d'Arras skarżyli się, że coś ukrywasz w swoim ogrodzie. Przypomniał mi o tym dzisiaj mój komisarz. – Sędzia uświadomił sobie, że prawie wyszedł od Lériidona, nie pytając go o to. Coś było z nim dzisiaj nie tak. Starał się zignorować burczące dźwięki dochodzące z jego żołądka.

Lériidon roześmiał się nerwowo.

– Czy martwisz się, że buduję basen bez zezwolenia?

– Nie, oni chyba myśleli, że to coś gorszego – odparł Verlaque.

Lériidon uśmiechnął się szyderczo.

– Tak jak mówiłem każdemu z nich, to nie była ich sprawa.

Verlaque skończył pić wodę i odstawił szklankę.

– Teraz, kiedy Mme d'Arras nie żyje, to moja sprawa. Co tam jest, Philippe?

Lériidon milczał. Przeszedł przez pokój dzienny i spojrział na frontowy dziedziniec przez wysokie okna.

– Możesz pokazać mi to dzisiaj – rzekł Verlaque, masując sobie brzuch – albo jutro o ósmej rano podjedzie tu furgonetka

z czterema policjantami.

Léridon nadal nic nie mówił, tylko patrzył przez okno.

– Mogę też założyć ci podsłuch na telefony, kazać cię śledzić i kazać księgowym z Paryża, którzy mają frajdę ze znajdowania dziur w rachunkach, przejrzeć twoje firmowe i prywatne konta...

Léridon odwrócił się do sędziego i pokazał mu otwartą dłoń.

– Dobrze, już dobrze – rzekł. – Rozumiem! Ale zobaczysz – nie zrobiłem nic złego.

– Więc chodźmy i to zobaczmy.

Gospodarz westchnął.

– Wiedziałem, że nie utrzymam tego w tajemnicy na zawsze. – Spojrzał na Verlaque'a, który siedział rozparty na sofie. – Chodźmy na dwór. – Léridon podszedł do drzwi, a jego gość podniósł się, starając się nie jęknąć. Przeszli przez pomieszczenie, które Léridon nazywał tymczasową kuchnią, a które dla Verlaque'a wyglądało na bardzo przyzwoitą kuchnię stałą. Podekscytowani, przeszli przez dwoje francuskich drzwi do ogrodu spowitego ciemnością. Gospodarz z latarką w ręce prowadził w stronę przybudówki przy tylnej kamiennej ścianie. Kiedy już się tam znaleźli, ruchem ręki wskazał sędziemu, by przykucnął obok krawędzi przybudówki. Verlaque prawie się przewrócił na bujny trawnik.

– Żeby to zobaczyć, musisz wsunąć w otwór górną połowę ciała – powiedział Léridon, kierując światło latarki w miejsce, gdzie leżał niebieski brezent. – Całą.

Verlaque zrobił to, co mu kazano, utrzymując ciało w dziwnej pozycji ponad brezentem, który łopotał tak samo jak ten przy drzwiach wejściowych. Przedramiona mu drżały i czuł pot spływający mu po plecach. Léridon stał za nim, oświetlając latarką niebieski brezent.

– Jesteś gotowy? – zapytał. – Wysuń się jeszcze trochę.

Sędzia oparł bolący brzuch na trawie i wyciągnął szyję. Czuł się zamroczony, to pewnie z powodu tej długiej podróży... a może Léri don dodał coś do kawy? Jego suche usta... Jeżeli Léri don zamordował Mme d'Arras, czy byłby na tyle głupi, by zabić sędziego śledczego? Ale ciało Verlaque'a zakopane w tej dziurze może nigdy nie zostać znalezione. W głowie sędziego rozbrzmiewał głos *soeur Clothilde* i jej słowa: „To nie twoja wina; nie zrobiłeś nic złego”.

Starał się uklęknąć, gdy poczuł dłoń na swoim ramieniu. Wyobraził sobie, że to *soeur Clothilde*, udzielająca mu wybaczenia. Léri don powiedział:

– Pochyl się bardziej, inaczej nie zobaczysz. – Verlaque półprzytomnie wykonał polecenie. Léri don sięgnął do przodu i podniósł niebieski brezent szybkim, wyćwiczonym gestem. Następnie zaśwycił latarką na trzy i pół metra w dół. – Widzisz?

Verlaque zamrugał oczyma i czekał, aż przyzwyczają się do światła. Gwałtownie wciągnął powietrze. Léri don leżał teraz na trawie obok niego i opierając brodę na latarce, patrzył w dół.

– Czy to nie zdumiewające? – zapytał.

Poniżej znajdowała się duża posadzka z mozaiki, ułożona z małych białych i czarnych kamieni.

– Jest rzymska, prawda? – upewnił się Verlaque, nie mogąc oderwać od niej wzroku. Zamrugał i ponownie spojrział w dół, przyglądając się kwadratowi, rombom i okręgom, które układały się w żywy, geometryczny wzór. Nie dostrzegł żadnych brakujących płytek – posadzka była w doskonałym stanie.

– Oczywiście – odparł Léri don. – Aix było rzymskim uzdrowiskiem.

Verlaque westchnął.

– Dziękuję, Philippe. Nie wiedziałem.

– Och, przepraszam, nie chciałem się wywyższać. Nigdy nie czułem się tak podekscytowany przez żadne... dzieło sztuki... jak teraz. Przeprowadziłem badania w bibliotece i trochę pytałem. Myślę, że ta posadzka pochodzi z pierwszego lub drugiego wieku naszej ery.

– Kto jeszcze o niej wie?

– Jeden z moich pracowników, ten, który to odkrył, kiedy kopał, by wybudować piwniczkę na wino – odparł Lériidon. – Musiałem mu zapłacić za milczenie, ale kto wie, na jak długo to wystarczy. Poza tym bibliotekarka do spraw badań w bibliotece miejskiej chyba coś podejrzewa.

Verlaque roześmiał się.

– Zadawałeś mnóstwo pytań?

– Tak. Zadręczałem ją pytaniami o artykuły na temat historii rzymskiego Aix.

Verlaque otaksował Lériidona wzrokiem, zwracając uwagę na jego drogie mokasyny, rozpiętą koszulę i opalone ręce. Młody człowiek z pewnością miał rację – nikt nie wziąłby go za historyka.

– I nie chciałeś zgłosić swojej mozaiki – stwierdził.

Lériidon uśmiechnął się.

– Oczywiście, że nie. Bibliotekarka pokazała mi artykuły o ludziach, którzy znaleźli pozostałości sztuki greckiej i rzymskiej. Prace mogą się ciągnąć i przez dziesięć lat. A ja znalazłem całą posadzkę, nie jakieś fragmenty słoików i kilka monet. Kto wie, co jeszcze kryje się tam na dole? – Zaświecił latarką po podłodze, śledząc światłem jej zygzakowaty wzór. – To mogłoby być zaprojektowane w latach sześćdziesiątych, prawda? Jest niemal psychodeliczne.

Verlaque roześmiał się.

– Masz rację. – Odrobina żółci przedostała mu się z gardła do ust.

– Philippe, musisz mi szybko pokazać, gdzie jest łazienka.

Léridon podskoczył i pomógł Verlaque'owi wstać. Przebiegli przez ogród do domu. Dziesięć minut później sędzia ocknął się na wykładanej płytkami podłodze w łazience, z głową na ręczniku. Gospodarz siedział obok niego oparty o ścianę, z rękoma na podciągniętych kolanach.

– Lepiej się czujesz? – zapytał.

Verlaque usiadł i wytarł usta.

– Tak, lepiej. Wymiotowałem?

– Co najmniej milion razy – oznajmił Léridon. – No nie, tylko dwa. Co dzisiaj jadłeś, przyjacielu?

– Tylko kanapkę i sałatkę z krewetkami.

– W restauracji w Aix?

Verlaque wytarł brwi w swoją lnianą chusteczkę.

– Nie, na stacji benzynowej przy autostradzie.

– *Putain!* – zakrzyknął Léridon, uderzając się w czoło. – Nigdy nie wolno nic jeść w tych miejscach!

– Myślałem, że mi czegoś dosypałeś – powiedział Verlaque, zanim zdążył ugryźć się w język.

Léridon roześmiał się głośno.

– To najzabawniejsza rzecz, jaką od dawna słyszałem!

Verlaque także się roześmiał i powiedział:

– Czy możemy usiąść w pokoju dziennym?

Gospodarz po raz drugi pomógł sędziemu wstać i poprowadził go do pokoju dziennego. Verlaque opadł na sofę.

– Przyniosę ci koc – zaproponował Léridon z uśmiechem. – I jeszcze jedną szklankę wody.

– Przynieś też trochę whisky, którą wcześniej proponowałeś – poprosił sędzia, zrzucając buty.

– To świetny pomysł. Szkoda, że wcześniej nie przyjąłeś mojej propozycji. Miałem okropny dzień.

– Twój dzień? – odpowiedział Verlaque, odchylając się do tyłu. – Nie mógł być gorszy od mojego.

Léridon wrócił z dwiema szklaneczkami, a w każdej była szczodra porcja złotej whisky. Verlaque podziękował i powąchał:

– Islay?

Léridon skinął głową.

– Ardbeg... z nutą arszeniku. – Roześmiał się i przepił do Verlaque'a. – To dlaczego twój dzień był do luftu?

Verlaque spojrzał do góry.

– Znalazłem się w krzyżowym ogniu pytań zadawanych przez starszą zakonnicę.

Léridon roześmiał się.

– Wspaniale! Czy udało jej się uzyskać twoją spowiedź?

– Można tak powiedzieć. A twój dzień?

– Moja żona w końcu przyznała, że mnie opuszcza.

Verlaque postawił szklanekę na stoliku do kawy, niepewny, czy whisky była dobrym wyborem.

– *Merde*. Tak mi przykro.

Léridon westchnął.

– Czekałem, aż to zrobi. Przecież widziałem, że to się stanie. Najgorsze jest to, że przesłała mi tę wiadomość esemesem.

– O Boże. – Verlaque sięgnął po swoją szklanekę i pociągnął kolejny łyk. Smakował bardzo dobrze i, co dziwne, uspokoił mu żołądek. – Esemesem. Naprawdę?

– Zgadza się. – Obaj mężczyźni milczeli. – Dziś wieczorem –

odezwał się wreszcie Léridon. – Kiedy patrzyłem, jak wyrzucasz z siebie zawartość swojego żołądka...

Sędzia roześmiał się.

– Dzięki.

– Zdecydowałem, co zrobię. Sprzedam to miejsce. Będę musiał zgłosić mozaikę, ale potem dam ogłoszenia. Może miasto je kupi.

– To możliwe – powiedział Verlaque, chociaż tak naprawdę wiedział, że miasto Aix wolało transakcje, które przynosiły wielki profit.

– A później wrócę do Maroka. – Léridon pociągnął łyk whisky. – Tam mi się podobało. Po pierwsze, robotnicy pojawiali się w miejscu pracy.

– Ale nie mają tego – skomentował Verlaque, podnosząc w górę szklanekę whisky.

– Nie – zgodził się gospodarz. – To trzeba przywieźć ze sobą.

Tost z masłem i miodem

– Kawa do łóżka? – zapytał Paulik, po czym uklepał poduszkę za sobą i usiadł.

– Dzisiaj możemy się nie spieszyć – odparła Hélène. – Villardowie podwiozą Léę do szkoły – są mi to winni. Dzwoniłam też do Oliviera, by powiedzieć mu, że się spóźnię.

Paulik przetarł oczy.

– Muszę więc zadzwonić do sędziego Verlaque’a. – Sięgnął przez łóżko i chwycił komórkę. Po krótkiej rozmowie rozłączył się. – On też zasnął. Wczoraj zjadł coś nieświeżego. Umówiliśmy się w Domaine Beauclair po lunchu. Jak ci się to podoba?

Hélène usiadła na skraju łóżka i pociągnęła łyk kawy.

– To świetnie! To znaczy, że spróbujecie rozwiązać sprawę „żartownisia”?

Paulik skrzywił się.

– Bardzo chcę to zrobić, wierz mi – podobnie jak sędzia Verlaque. Obaj uznaliśmy, że dobrze będzie wrócić na miejsce jednego z morderstw i jeszcze raz je zbadać.

– Kiedy skończysz kawę, zjedź na dół, to zjemy śniadanie –

powiedziała H el ene.

– Kiedy sko ncz  kaw , przewr c  si  na drugi bok i b d  spa  dalej – odpar  Paulik. – Obud  mnie na lunch.

Porsche Verlaque’a sta o ju  zaparkowane na dziedzi cu Bonnard w, kiedy podjechali Bruno i H el ene Paulikowie.

– Kawy? – zapyta a  lise, kiedy weszli do kuchni.

– Poprosz  – odrzek  Bruno Paulik. Spojrza  na H el ene, kt ra podzi kowa a: – Chyba ju  nie mog  wypic wi cej espresso. To moje po ywienie od czasu tych kradzie y...

Olivier Bonnard zerwa  si  z krzes a.

– Zgadza  si  – stwierdzi . – Dajmy sobie spok j z kaw  i spr bujmy twojego nowego bia ego wina, H el ene. – Spojrza  na Victora i szybko doda : – Twojego i Victora.

Ch opak rozpromieni  si  i uk oni  przed H el ene.

– Chyl  g ow  przed mistrzyni  – rzek .

 lise Bonnard spojrza a z niepokojem na Antoine’a Verlaque’a.

– Ch tnie do acz  si  do testowania wina – oznajmi  s dzia. – Zawsze lepiej mi si  my li, kiedy wypij  odrobin .

– Tata te  zwykle tak m wi – u miechn  si  Victor. – P jd   ci gn c troch  z beczki.

– Jakie to bia e? – zapyta  Verlaque.

– Rolle – wyja ni a H el ene. – To wysokiej jako ci bia y szczep z Prowansji, jednak bardzo niedoceniany. W osi i Korsykanie staraj  si  podnie c jego status i my z Victorem tak e nad tym pracujemy.

– Umieszczaj c je w beczkach na kilka miesi cy? – Paulik zapyta   on . – Nie lubi  tego nadmiernie d bowego smaku, kt ry by  tak modny kilka lat temu.

– Nie martw się – uspokoiła go. – Używamy starych beczek, które kupiliśmy z posiadłości w Burgundii, a nie nowych, więc dąb nie zdominuje owoców.

– Czy mają rolę we Włoszech? – zainteresował się Verlaque. – Nigdy go tam nie próbowałem.

Hélène skinęła głową.

– Próbowałeś, ale oni nazywają je vermentino.

Wrócił Victor, niosąc na tacy dwa dekantery.

– *Et voilà!* – zawołał.

Élise starała się nie wzdychać zbyt głośno, kiedy wstała i wyjęła kieliszki z serwantki. Nie aprobowała picia wczesnym popołudniem.

Victor nalał każdemu po trzy centymetry złocistego trunku, a Olivier, nie mogąc ukryć swojej ekscytacji, podawał kieliszki.

– Chwila prawdy! I niech ten złoty nektar pomoże nam rozwiązać zagadkę kradzieży wina! – powiedział Olivier, podnosząc kieliszek.

– Racja! – zakrzyknęli inni i wszyscy, nawet Élise, zakręcili kieliszkami, powąchalili wino i zakręcili jeszcze raz.

Verlaque włożył swój krzywy nos do kieliszka i wciągnął powietrze.

– Pachnie jak miód – stwierdził.

– I jak tost z masłem – dodał Bruno Paulik.

Verlaque zakręcił winem w swoim kieliszku i je wypił.

– Gdybyś mi nie powiedziała, to zgadywałbym, że to szlachetne chardonnay, z regionu Beaune.

Victor przybił piątkę z Hélène.

– Nasze rolle nigdy nie smakowało tak jak teraz – odezwał się Olivier Bonnard, zamykając oczy i wypijając jeszcze jeden łyk. – Nie mów dziadkowi, że to powiedziałem – dodał, patrząc na

Victora.

– A gdzie jest dziadek? – zapytał Victor.

– Przygotowuje się do gry w *boules* – odparła Élise. – Remy zaraz powinien tu być i go zabrać.

Jak na komendę, na dziedziniec wjechał samochód i zahamował gwałtownie pół metra od kuchennego okna.

– Dzisiaj się spieszy – powiedziała Élise, otwierając drzwi. – Wchodź, Remy!

– Remy od lat jest naszym listonoszem – wyjaśnił Verlaque'owi Olivier Bonnard.

– To jedyny listonosz, jakiego znam – dodał Victor. – To także jeden z najlepszych przyjaciół dziadka.

Wszyscy obecni odwrócili się w stronę otwartych kuchennych drzwi, przez które wszedł wysoki, jasnowłosy mężczyzna w garniturze z wełny z merynosów. Trzymał słomkowy kapelusz jakby żywcem wyjęty z filmu z przełomu wieków.

– Wybaczcie, panie i panowie – powiedział, kłaniając się.

– M. Thébaud – odezwał się Olivier, wyciągając rękę do eksperta od win. – Proszę wejść. – Hyppolyte Thébaud uściskał dłonie wszystkich siedzących przy stole. Verlaque był pewien, że do niego mrugnął.

– Mój wspaniały sędzia – powiedział Thébaud, kłaniając się lekko.

Élise Bonnard wskazała znawcy win krzesło, ale odmówił gestem dłoni.

– Podoba mi się pański garnitur – rzekła. Victor prychnął.

– Nie spodziewaliśmy się pana z powrotem – rzekł Olivier Bonnard, posyłając Victorowi znaczące spojrzenie.

– Nie miałem zamiaru wracać – wyjaśnił Thébaud – ale

zafascynowała mnie gra w *boules*.

Olivier patrzył na gościa zdumiony. Znamca win był ostatnią osobą, po której spodziewałby się zainteresowania grą w kule bocce.

– *Boules?* – zapytał, rozglądając się po innych obecnych, by sprawdzić, czy są równie zaskoczeni jak on.

– Czy to wasze nowe białe? – zainteresował się Thébaud, zmieniając temat.

Olivier Bonnard szybko nalał kieliszek wina i wręczył go gościowi. Thébaud podniósł kieliszek do sufitu, zakręcił nim i zbliżył go do ust szybciej, niż się Olivier spodziewał. Następnie przepłukał usta winem z głośnym siorbnięciem, podszedł do kuchennych drzwi i wypluł napój na zewnątrz.

Cała grupa wpatrywała się weń, aż Verlaque zapytał:

– A zatem, co pan myśli?

– Jedno z lepszych rolles, jakich kiedykolwiek kosztowałem – odparł Thébaud. Victor wydał triumfalny okrzyk, a jego matka posłała mu spojrzenie, które mówiło: „Widzisz, nigdy nie sądz po pozorach”. – Ma wielką siłę charakteru – mówił dalej Thébaud. Pociągnął więcej wina i tym razem je połknął. – Przypomina mi vermentino, jakie piłem przed wieloma laty na Wybrzeżu Liguryjskim w letnim domku mojej drogiej przyjaciółki, contessy de...

Odgłos drugiego pojazdu, który zatrzymał się obok wypożyczonego samochodu gościa, przerwał zwierzenia Thébauda.

– Teraz to Rémy – odezwał się Victor. – Jedzie na grę w *boules*.

– *Boules* – powtórzył Verlaque, patrząc na Thébauda z błyskiem w oku. – Miał pan powiedzieć nam coś o tej grze...

Élise Bonnard przedstawiła Rémy'ego, który wpadł do kuchni, po czym znieruchomiał, widząc wszystkich gości siedzących wokół

stołu. Nieśmiało oparł się o kuchenną ścianę, obracając czapkę w rękach.

– Wejdz, Rémy! – zawołał do niego Olivier. – Masz dziś dzień wolny?

– Tak, sir – odparł Rémy, jękając się nerwowo. – Przyjechałem zabrać Alberta na grę. I także po to, by...

– To może poczekać – powiedział Thébaud, wychodząc z cienia. – Najpierw spróbuj wina.

– M. Thébaud! – zdziwił się Rémy. – Myślałem, że wrócił pan do Paryża.

– Co tu się dzieje? – chciał wiedzieć Olivier Bonnard. – Czy wy dwaj się znacie?

Thébaud uśmiechnął się. – Spotkaliśmy się we wsi, grając w *boules*.

– Pan dobrze gra – oznajmił Rémy, kołysząc się w przód i w tył na palcach. – Prawdziwy talent.

– Siadaj, Rémy – powiedział Olivier. – I spróbuj białego wina, które właśnie stworzyliśmy.

Rémy szybko usiadł, uderzając się w blat stołu.

– Ach, tak. Odrobina wina dobrze mi teraz robi.

Victor nalał listonoszowi kieliszek wina, a Rémy powąchał je i spróbował, obracając trunek głośno w ustach, jak ekspert. Hélène ukryła uśmiech i mrugnęła do Victora.

– Wspaniale – stwierdził Rémy. – Tak powinno smakować rolle.

Kiedy wszyscy siedzieli w milczeniu, do kuchni weszła Élise, mówiąc:

– Albert zaraz zejdzie, Rémy. Nie zauważył, jak szybko minął czas, i dopiero się przygotowuje.

– A my powinniśmy wyjść i jeszcze raz obejrzeć miejsce zbrodni –

stwierdził Paulik, wstając. Verlaque skinął głową i wypił resztkę swojego wina.

Rémy podskoczył.

– Co takiego? Miejsce zbrodni? – chciał wiedzieć. – Kradzieży win?

Hippolyte Thébaud uśmiechnął się szeroko.

– Nie, Rémy – wyjaśnił Olivier. – To ma związek z tą kobietą, której ciało zostało znalezione w naszej winnicy.

– Może powinniśmy wyjść na zewnątrz, zanim pański ojciec zejdzie na dół – powiedział Thébaud do Oliviera.

– Chcemy panu coś pokazać! – dodał Rémy, kiwając głową.

– Rémy, co się dzieje? – dopytywał Olivier. Odstawił swój kieliszek i wstał.

– Dobrze się czujesz? – Élise zwróciła się do Rémy'ego. – Podać ci szklanekę wody?

– Nie, dziękuję. Ale musi pan podejść do mojej furgonetki, M. Bonnard, szybko. Musi pan coś zobaczyć.

– Dobrze, dobrze – zgodził się Olivier. On i reszta grupy szła za Rémyem do jego furgonetki, wcześniej należącej do poczty i pomalowanej na żółto, teraz białej. Stłoczyli się przy tylnych drzwiach auta, podczas gdy Rémy szukał swoich kluczyków i wreszcie upuścił je na żwir.

Victor schylił się i je podniósł.

– Rémy, czy mam otworzyć samochód?

Rémy szybko skinął głową, zerkając w kierunku kuchennych drzwi. Victor włożył kluczyk do zamka i szeroko otworzył drzwi furgonetki. Następnie cofnął się i patrzył raz na swojego ojca, raz na listonosza.

– Rémy – odezwał się. – Tu jest pełno wina.

– T-t-t-ak.

Olivier Bonnard wyciągnął rękę i sięgnął po przypadkową butelkę. Spojrzał na naklejkę i westchnął, po czym wręczył wino Élise.

– Rémy – powiedziała. – To nasze wino.

– Czy to pan rozwiązał tę zagadkę? – Olivier zapytał Hippolythe’a Thébauda.

Zapytany odpowiedział ukłonem.

– Nie wierzę – powiedział Victor, patrząc na listonosza. – Jak mogłeś to zrobić?

– To było... trudne – odparł Rémy. – Całymi dniami zbieraliśmy wszystko, co zostało.

– Co zostało? – nie rozumiała Hélène.

– Jak dostałeś się do naszej *cave*? – chciał wiedzieć Olivier. – Czy dorobiłeś klucze, które wisiały w kuchni?

Rémy spojrzał na Oliviera Bonnarda zszokowany, z otwartymi ustami.

– Co? O co chodzi? Znam was przez całe życie – powiedział. – Nie mogę uwierzyć, że oskarżacie mnie o kradzież wina! *Ça alors!*

– Ale, Rémy – powiedziała miękko Élise – co mamy myśleć? Skąd wzięłeś te butelki?

– Z całej okolicy – odparł Rémy, ponownie patrząc z niepokojem w kierunku kuchennych drzwi. – Nikt nie chciał przyznać, że ma wasze wino. On do tego doszedł! – oznajmił listonosz, wskazując na Thébauda. – Grał z nami w *boules* i pytał, czy mamy jakieś butelki od was. Wtedy Roger powiedział, że Albert dał mu magnum z 1978 roku, a Jean-Philippe potwierdził, że dostał wino z rocznika 1970. Wtedy zdaliśmy sobie sprawę z tego, co się dzieje.

– Tata rozdaje nasze wina? – upewniał się Olivier.

Thébaud skinął głową.

– Tego dnia, kiedy przyjechałem zobaczyć wasze piwnice – opowiadał – zobaczyłem pańskiego ojca wychodzącego na *boules*. Ścisnął swój skórzany worek, jakby w środku znajdowało się coś bezcennego, nie kule do gry. Szybko wyszedłem i podążyłem za nim do wioski, gdzie zobaczyłem, jak zatrzymuje się przy rzeźniku i wręcza właścicielowi butelkę wina. Następnie przeszedł do apteki i zrobił to samo. Żenująco łatwa sprawa do wyjaśnienia.

– Nawet wasza pokojówka dostała trochę wina, podobnie jak Patrice, który strzyże Albertowi włosy – dodał podekscytowany Rémy.

– Chciałem się upewnić, że pański ojciec nie jest zmuszony do rozdawania wina, więc grałem z... chłopakami – powiedział Thébaud. Wszyscy obecni wymienili spojrzenia, a każdy myślał w skrytości ducha: „Co on założył do gry w *boules*?”

– Tak jakbyśmy mieli kiedykolwiek zmuszać Alberta, by to robił! – wykrzyknął Rémy. – To wszystko był od początku do końca jego pomysł.

– To prawda – odezwał się Albert Bonnard. Właśnie wyszedł z domu, ostrożnie niosąc swój marynarski worek z *boules* w środku. – Lepiej dać przyjaciołom niż wrogom.

– Tato – rzekł Olivier, idąc w stronę ojca. – Wrogom?

– *Les boches*.

– Tato, wojna skończyła się ponad sześćdziesiąt lat temu – tłumaczył Olivier. – Mamy przyjaciół i klientów z Niemiec.

Albert Bonnard przycisnął do siebie swój worek marynarski.

– Dziadku – odezwał się Victor – czy mogę wziąć od ciebie ten worek? Wygląda na ciężki. – Wolno podszedł do staruszka i delikatnie wyjął torbę z jego rąk, jednocześnie patrząc na ojca

z uniesionymi brwiami.

– Nie dawajcie ich nikomu poza przyjaciółmi – powiedział Albert.

– Teraz Rémy i ja musimy jechać, żeby nie spóźnić się na mecz.

Listonosz spojrział na Oliviera Bonnarda i wzruszył ramionami.

– Chodź, Rémy! – zawołał Albert, przechodząc do siedzenia pasażera w furgonetce.

Victor położył worek żeglarski na ziemi i wyjął z niego dwie butelki wina.

– Dziadku! – zakrzyknął. – Twoje *boules*!

Rémy usiadł na miejscu kierowcy i opuścił szybę.

– Mamy wszystko, co byliśmy w stanie znaleźć – wyszeptał do Oliviera, wychylając głowę przez okno. – Ale niektórzy wypili już wasze wino. Proszę się nie martwić, ja nie. Wszystko dostaniecie z powrotem.

Olivier położył rękę na ramieniu listonosza.

– Bardzo ci dziękuję, Rémy. Powinieneś zachować kilka butelek dla siebie.

– Och, nie, nie. Nawet o tym nie marzę. Cieszę się, że pomogłem.

Olivier zerknął na tył furgonetki i zobaczył, że Verlaque, Hélène, Bruno i Victor szybko rozładowują wino, a Thébaud patrzy na nich z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Olivier postukał w drzwi samochodu i rzucił: „Udanej gry”. Kiedy Rémy pomachał czapką przez okno, Olivier słyszał, jak jego ojciec głośno narzeka na Jean-Philippe’a, który według niego oszukiwał w ostatniej rozgrywce.

– Przywiozę go z powrotem na kolację! – zawołał Rémy, kiedy przejeżdżali przez bramę Domaine Beauclair.

– M. Thébaud – rzekł Olivier Bonnard, ściskając dłoń znawcy win. – Nie wiem, jak panu dziękować.

– To drobiazg.

– Czy zostanie pan na kolacji? – zapytała z ekscytacją Élise.

– Dziękuję, ale nie, muszę złapać TGV z powrotem do Paryża. – Thébaud uśmiechnął się i dodał: – Spotykam się wieczorem z moim wydawcą.

– Pisze pan książkę o winach? – zainteresował się Olivier.

– Wydaję moje wspomnienia.

Verlaque spojrział na Thébauda i na jego twarzy zagościł uśmiech.

– Ojej! Na pewno ją kupimy, kiedy wyjdzie – zawołała Élise. – Jaki jest tytuł?

Znawca win poprawił muszkę.

– „Wyznania złodzieja win”.

– Ha! – zaśmiał się głośno Verlaque.

Thébaud zignorował go.

– Prawa do realizacji telewizyjnej zostały już sprzedane – powiedział z uśmiechem. – To będzie serial w Canal Plus.

Élise klasnęła w dłonie.

– Cudownie! Kto będzie grał pana? Och, widzę tu Romaina Durisa lub być może Guillaume’a Caneta...

Szeroki gest

– To dziwne – powiedział Verlaque, kiedy szli przez winnicę z powrotem do domu. – Mamy tu dwa odrębne przypadki, ale oba dotyczą starszych ludzi, którzy cierpią na demencję.

– I oboje pamiętają wojnę – dodał Paulik. – Tak jak mój wujek. Im bardziej pogarsza się jego stan, tym częściej powraca wspomnieniami do przeszłości.

– Ale nie mam pojęcia, co demencja i druga wojna światowa mają wspólnego ze śmiercią Milles Montmory i Durand – rzekł Verlaque.

– Może po prostu nie mają nic wspólnego i tyle.

Winogrona zwisały ciężko z gałęzi, wiele gron ukrywało się pod grubymi, zielonymi liśćmi. Paulik spojrzał na nie, wspominając pracę przy winobranii u swojego ojca i lęk, że pozbawi się palca podczas odcinania owoców od gałęzi.

Niebo nabrało barwy jasnoniebieskiej i nagle znów zrobiło się gorąco. Verlaque kopnął piaszczystą, czerwoną ziemię, sprawiała wrażenie, jakby nigdy nie padało.

– Już pora na zbiory – powiedział.

– Zaczną się lada moment. Zaskoczyło mnie, że Olivier jest tak

spokojny. Zazwyczaj jest dużo bardziej spięty przed winobraniami.

Verlaque zapytał:

– Czy Hélène nie frustruje się tym, że musi robić wina u kogoś innego?

Paulik skinął głową.

– Tak, teraz tak. Zauważam to ostatnio. Wcześniej tak nie było, ale myślę, że Hélène zdała sobie sprawę, że nigdy nie będzie mogła mieć własnej winnicy. Naturalną kolejną rzeczą to Victor przejmie Beauclaire, i robi to z radością. Kiedy Hélène zaczęła pracę, myślała, że kiedyś kupi małą posiadłość w Langwedocji, ale nawet tam nabycie winnicy przekracza możliwości zwykłego śmiertelnika.

Verlaque zatrzymał się, by spojrzeć na rzędy winorośli.

– Chyba nie znam innego *métier*, gdzie trzeba liczyć się z tak wieloma czynnikami zewnętrznymi, kiedy produkuje się wyrób, który musi dobrze smakować. Winiarze muszą brać pod uwagę tak wiele elementów: geografii, geologię, naukę o glebach, historię, tradycję...

– I trendy – dodał Paulik.

– Tak, masz rację, trendy i mody. Nie wspominając już o związanych z produkcją wina dziedzinach nauki: chemii, biologii, nauki o smaku... Zawsze porusza mnie, kiedy słyszę, jak winiarze mówią o swojej pracy.

– I wino często odzwierciedla osobowość wytwórcy – skomentował komisarz. – Wina Hélène zaskakująco ją przypominają: delikatne, ale czasem zadziwiające i mocne w charakterze.

Verlaque przytaknął.

– Jakiś czas temu obejrzałem dokument o produkcji win, zrobiony w formie wywiadu z ojcem i córką, którzy wytwarzali wino

w Burgundii. Były tam naprawdę wzruszające momenty, kiedy rozmawiali od serca i córka oskarżyła ojca o to, że był oschły i beznamiętny, ale oceniała go tak na podstawie jego win. Uważała je za zamknięte i trudne do zgłębienia. Mówiąc to, płakała. – Szli w milczeniu. Antoine Verlaque myślał, kiedy i jak skonfrontuje się ze swoją rodziną, tak jak ta winiarka skonfrontowała się ze swoim ojcem w wilgotnych piwnicach rodzinnej posiadłości. Myśli Brunona Paulika krążyły wokół Hélène, jej win i dnia, kiedy się w niej zakochał.

– Jedna tajemnica rozwiązana, zostają jeszcze trzy – powiedział sędzia, kiedy przechodzili przez bramę prowadzącą na podjazd Bonnardów. Opowiedział komisarzowi o ukrytej mozaikowej posadzce Lériidona.

– Rzymska posadzka? – dopytywał Paulik. – Nic dziwnego, że nie chciał nikomu nic mówić. Teraz jego plany remontu zostaną zniweczone.

– Dokładnie. Znajdujesz fantastyczne dzieło sztuki i okazuje się, że to przeszkoda, a nie radość. Od razu pomyślałem o twoim ojcu. Czy wciąż ma obsesję na punkcie historii Rzymu?

– O tak – odparł komisarz. – Któregoś dnia znalazł kolejną rzymską monetę na posiadłości przyjaciela. Czy myśli pan...

– Że mógłby zerknąć na mozaikę Lériidona?

– Tak, zanim miasto wszystko ogrodzi.

– Już pytałem o to Lériidona i się zgodził, więc przywieź ojca, kiedy będziesz mógł, ale lepiej z tym nie zwlekać.

– To naprawdę ulga, że kradzież win u Bonnardów okazała się ich wewnętrzną sprawą. Właściwie to nawet nie kradzież – rzekł Paulik, śmiejąc się. – I teraz wiemy, że nie ma związku pomiędzy znikaniem win a morderstwem Mme d'Arras.

– Jednak nadal musimy dowiedzieć się, czy śmierć Mme d'Arras miała związek z zabójstwem Mlles Montmory i Durand – zauważył Verlaque. Nagle przypomniał sobie, że Marine nie miała żadnych wiadomości od swojej starszej sąsiadki, Philomène Joubert. – Jak poszła rozmowa z byłym Gisèle Durand?

– Dobrze – odparł komisarz. – Ma fioła na punkcie citroënów ds i chyba drzemie w nim poeta.

Verlaque uśmiechnął się.

– A jego alibi się potwierdza?

– Nie ma alibi – Paulik poinformował szefa, zatrzymując się po dojściu do swego samochodu.

Verlaque spojrzał z ukosa na komisarza.

– Nie ma alibi? – zapytał. – Czy to nie powinno nas martwić?

– Nie – stwierdził Paulik. – Jest niewinny.

– Jaka jest jego przeszłość? – zapytał Verlaque. Nie rozumiał, dlaczego Paulik miał taką pewność co do niewinności mechanika.

– Fascynat citroënów, jak panu powiedziałem – rzekł komisarz. – W szczególności typu ds.

– Czy to ten elegancki, długi, z hydraulicznym zawieszeniem?

– Tak. Mój dziadek miał takiego. Raz wiozł nas z zawieszeniem całkowicie podniesionym. Samochód był metr... – raptem Paulik przestał mówić i ruszył biegiem do swojego samochodu.

– Zapomniałeś czegoś?

– W zeszłym tygodniu Prodos jeździł takim autem – rzucił komisarz przez ramię. Wskoczył do samochodu i wychylając głowę przez okno, ryknął do Verlaque'a:

– Wracam do warsztatu. Byłem idiotą!

Verlaque wsiadł do swojego samochodu i odciął końcówkę

kubańskiego cygara, zrobionego ręcznie przez jakiegoś młodego Kubańczyka i kupionego na czarnym rynku przez Fabrice'a podczas jego ostatniej podróży do Hawany. Uśmiechnął się na wspomnienie opowieści chłopaka o poszukiwaniu legendarnego zwijacza cygar. Ponieważ Fabrice słabo mówił po hiszpańsku, dopiero po kilku nieudanych próbach odnalazł jego mieszkanie.

– Będę nazywał go Miguel – wyszeptał Fabrice do Verlaque'a, przekazując mu cygara – ale oczywiście nie jest to jego prawdziwe imię.

Zadzwoił telefon i sędzia odebrał, odchyłając do tyłu siedzenie kierowcy i patrząc na platany okalające podjazd do Domaine Beauclair.

– *Oui?*

– Antoine, tu Marine.

Usiadł prosto.

– Tak. Czy już masz wyniki?

– Tak, są pozytywne.

– Co?

– To znaczy mam wyniki i wszystko jest dobrze!

Odchylił się do tyłu i zamknął oczy.

– Zatem wyniki są negatywne\.

– Tak, przepraszam, źle się wyraziłam – odpowiedziała. – Wszystko jest w idealnym porządku.

– Tak się cieszę. Wieczorem wypijemy szampana.

– Cudownie. Do zobaczenia później.

– *Ciao.*

Wrzucił pierwszy bieg i odjechał, słuchając kubańskiej salsy i wydychając dym z cygara przez otwarte okno. Wiedział, że

będzie musiał przeprosić zarówno Christophe'a, jak i Fabrice'a. Niezależnie od tego, że lubił Christophe'a Chazeau, jego historia o błocie na oponach i innej winnicy brzmiała jak całkowicie wyssana z palca. Jednak sprzedawczyni w sklepie winiarskim pamiętała wizytę tego młodego człowieka w piątkowy wieczór, przypominała sobie nawet wina, które kupił: białe i czerwone, oba z Château Simone.

– Rozrzutny – mruknął sędzia. To były najdroższe wina w Aix, a przy tym Verlaque najmniej je lubił.

Paulik zaparkował przed drzwiami warsztatu prawie tak blisko, jak blisko Rémy podjechał swoją furgonetką przed kuchnię Bonnardów. Szybko podbiegł do drzwi biura i pociągnął za klamkę, ale okazało się, że są zamknięte.

– *Merde!* – zawołał. Postukał w drzwi i krzyknął: – André! Muszę z panem porozmawiać! – Spróbował jeszcze raz wejść do środka, ale bez skutku. Osłonił oczy dłońmi i zerknął przez okno do biura. Biurko nadal było pokryte fakturami i kubkami po kawie. Szybko przeszedł przed warsztat i spojrzał na stanowisko pracy – *citroëna ds 19 i 21* nie było.

– *Merde, merde, merde!* – powiedział głośno. – Dlaczego byłem taki głupi?

Na parkingu zatrzymał się samochód i Paulik obrócił się z nadzieją, że ujrzy Prodosa, ale to był radiowóz policyjny. Paulik podszedł do auta, z którego wysiedli dwaj policjanci.

– Szuka pan czegoś?

– Kogoś – sprostował Paulik. – Wygląda na to, że mi uciekł. Jestem komisarz Paulik z Aix-en-Provence, ale mieszkam tutaj. – wyciągnął swoją odznakę i pokazał policjantom.

– Ma pan na myśli André Prodosa? – zapytał wyższy z nich. – Przez ostatnie pół roku miał dwa włamania, więc obiecaliśmy zwracać uwagę na warsztat.

– Tak, chodzi o André – odparł Paulik. – Zna go pan?

– Oczywiście – odpowiedział. – Te jego dziwne, stare samochody. Mój szwagier go zna, jakiś czas temu kupił od niego ds 21. Nie uwierzyłby pan, ile to bydlę ciągnie paliwa. Czy André ma kłopoty?

Zanim komisarz zdążył odpowiedzieć, policjanci odebrali zgłoszenie o przemocy domowej w Lourmarin.

Paulik podszedł z powrotem do okna warsztatu i spojrzał na biuro. Wracaly do niego urywki rozmowy z Prodosem: „Oboje jesteśmy samotnikami...” „Musiałem się chronić...” „Ale któregoś dnia przed porą deszczową...” Paulik wytarł rękawem brudne szkło i przebiegł wzrokiem po biurze. Wydawało mu się, że jest bardziej puste niż poprzedniego dnia – na ścianach wisiało mniej narzędzi, właściwie nie było ich prawie wcale. Zauważył tanią kolumnę, która dźwigała popiersie Charles’a de Gaulle’a, w rogu pomieszczenia, obok ekspresu do kawy. Ale popiersie wspaniałego prezydenta zniknęło.

– *Merde!* – ryknął Paulik, tłukąc pięścią w ścianę. – *Merde! Merde! Merde!*

Dwie szklaneczki Lagavulin

– Jesteś w domu trochę wcześniej niż zwykle – powiedziała Marine, całując Verlaque’a. Następnie cofnęła się i spojrzała na niego – kochała te jego rozczochrane, czarne włosy, złamany nos, ciemnobrązowe oczy i pełne usta.

– Naprawdę nie wiesz, jak uradował mnie dzisiaj twój telefon – powiedział i także ją pocałował.

– Byłam tak szczęśliwa, że prawie się rozpłakałam – rzekła Marine. – A chyba nawet rzeczywiście płakałam.

– Powiedziałaś rodzicom?

– Tak, od razu zadzwoniłam do ojca, do gabinetu, a on powiedział *maman*.

Marine objęła Verlaque’a, potargała mu włosy i mocno go uściskała.

– Kiedyś bałam się ciebie uściskać – powiedziała, odsuwając się, by mu się przyjrzeć. – Mam na myśli tak naprawdę – jak najlepszy przyjaciel albo kuzynka.

– Miejmy nadzieję, że nie jesteśmy spokrewnieni – odparł

z uśmiechem. – Moja rodzina jest naprawdę pokrecona, a małżeństwo kuzynostwa to zdecydowanie zły pomysł.

Marine spojrzała na niego ze zdziwieniem, ponieważ dość abstrakcyjnie, ale jednak wspomniał o małżeństwie.

– Przytulmy się. Uściskajmy się jeszcze raz – powiedział, otaczając ją ramionami. – Wiem, że od długiego czasu byłem zamknięty w sobie, przepraszam.

– To nie ma znaczenia – rzekła, głaszcząc go z tyłu głowy. – Hej, a jak tam twój dzień?

Verlaque roześmiał się.

– To zmiana tematu. Tak naprawdę chciałem opowiedzieć ci o moim wczorajszym dniu.

Marine przyjrzała mu się, jej uśmiech zniknął.

– Dobrze – zgodziła się. – Czy do tego potrzebne jest wino? Och, zapomniałam kupić szampana!

– Nie szkodzi. Chętnie napiję się czegoś mocniejszego. Dołączysz do mnie?

– Tak – odparła. – Tylko dolej trochę wody do mojej szklaneczki.

Verlaque wyjął whisky z szafki nad lodówką i napełnił dwie szklanki. Zaniósł je do pokoju dziennego, gdzie Marine siedziała na sofie i wertowała katalog Ikei.

– Dziękuję. – Odłożyła folder i sięgnęła po szklankę. Verlaque uśmiechnął się, zobaczywszy, że tuziny stron w katalogu oznaczone były karteczkami Post-it.

– Chciałem zadzwonić do ciebie, żebyśmy spotkali się przy tych kamiennych stołach, które tak lubimy, na Górze Świętej Wiktorii – oznajmił sędzia.

Marine poruszyła się na sofie. Trzymając w ręce szklankę, wpatrywała się w Verlaque'a.

– O co chodzi, Antoine? Te stoły były zwykle zarezerwowane na wielkie okazje – jak urodziny albo opublikowanie mojej pierwszej pracy naukowej.

– Wczoraj spotkałem się z siostrą zakonną – odparł. – W klasztorze w Jonquières.

– Znam to miejsce – rzekła. – Moja mama uwielbia ich ogród różany. Czy ta zakonnica to siostra Mme d'Arras? Mme Joubert mi o niej mówiła.

– Tak. Rozmawialiśmy ponad trzy godziny.

– O rany! Musiała opowiedzieć ci całą historię rodziny Aubanel.

– Niezupełnie. Powiedziała mi to, co już ty wcześniej mi przekazałaś: że ojciec Natalie Aubanel był oficerem SS. Obawiam się, że nie rzuciło to nowego światła na sprawę morderstwa Mme d'Arras. Ale rzuciło dużo światła na mnie. Podobnie jak fotografia autorstwa Sylvie.

– Antoine – odezwała się Marine. – Przepraszam cię, ale nic nie rozumiem. Miałeś czas, by wybrać się na wystawę Sylvie?

– Tak i muszę przyznać, że nie mam słów na to, jak utalentowana jest twoja przyjaciółka. Możesz jej to ode mnie powiedzieć.

– Byłaby zachwycona, gdyby usłyszała to od ciebie.

– Nie znosi mnie – stwierdził Verlaque, wydymając wargi i pociągając łyk Lagavulin.

– Nie, nieprawda. Długo cię nie lubiła...

Roześmiali się, a Marine położyła rękę na jego dłoni.

– Co powiedziała ci tamta fotografia?

– Żeby odpuścić – odparł. – A zakonnica powiedziała mi, by wybaczyc.

Marine pochyliła głowę w jego stronę.

– Mów dalej. Komu wybaczyć?

– Monique, mojej matce, mojemu ojcu za to, że nic nie zrobili, i nawet w pewien dziwny sposób mojej babci Emmeline.

– Emmeline? – zdziwiła się Marine. – Przecież ją uwielbiałeś.

– Tak – potwierdził. – Ale wiedziała, co się działo, więc muszę jej to wybaczyć. Tak przynajmniej powiedziała siostra. – Uniósł szklanę. – Na zdrowie.

– Co Emmeline wiedziała? – zapytała Marine, trochę poirytowana tym, że Verlaque próbował wszystko obrócić w żart.

– No cóż, o mnie i o Monique.

– Antoine, kim była Monique? – chciała się dowiedzieć. – Raz czy dwa wołałeś we śnie jej imię.

– Chyba można ją nazwać moją dziewczyną.

– Dlaczego cię prześladowuje?

– Była najlepszą przyjaciółką mojej matki – mówił dalej Verlaque. – To matka nas sobie przedstawiła i wiedziała, że... sypialiśmy ze sobą... ale nie zrobiła nic w tej sprawie, podobnie jak mój ojciec.

– Antoine, ile lat miała Monique? To brzmi bardzo dziwnie.

Verlaque roześmiał się.

– To było dziwne, wierz mi, ale nie zdawałem sobie z tego sprawy, dopóki Emmeline nie zabrała mnie ze sobą do Normandii. Monique miała trzydzieści sześć lat.

Marine odstawiała swoją nietkniętą whisky na stolik.

– Mieszkałeś z dziadkami w Normandii w bardzo młodym wieku, prawda? Czy przeprowadziłeś się tam, kiedy miałeś dwadzieścia kilka lat? Po romansie z Monique?

– Nie, nie miałem nawet dwudziestu lat. Pojechałem tam jako piętnastolatek.

Marine sięgnęła do stolika i podniosła szklanę.

– Muszę się napić – westchnęła i pociągnęła nieco whisky.

– Nie powinnaś teraz wypuszczać szklanki z ręki – skomentował Verlaque.

Marine zignorowała tę uwagę.

– Więc... mówisz mi, że kiedy byłeś chłopcem, piętnastoletnim chłopcem, miałeś romans z trzydziestosześcioletnią przyjaciółką twojej matki?

– To się zaczęło, kiedy miałem trzynaście lat – sprostował. – Więc Monique musiała mieć wtedy trzydzieści cztery lata.

– O mój Boże! – szepnęła Marine. Ponownie odstawiła szklanę i oparła głowę na dłoniach.

– Hej, to nic strasznego – rzekł Verlaque. – Wiedziałem, że tak zareagujesz. – Podrzucił do góry ręce w udawanym zdziwieniu.

– Antoine! – zawołała Marine. – Nie żartuj z tego! – Wstała, przeszła przez pokój i znowu usiadła. – To okropne! Byłeś dzieckiem! Mogłabym ukreć jej szyję!

– Ona nie żyje – oznajmił Verlaque. – Wiele lat temu zmarła na raka.

– Więc pójdę i napluję na jej grób.

– Pójdę z tobą – rzekł cicho.

Marine znowu podskoczyła.

– Skaczesz dookoła jak królik – skomentował Verlaque, przyglądając się jej. – Ale ona nie ponosi całej winy.

– Nie? – krzyknęła Marine. – Ona wiedziała, co robi, a ty...

– Ja też wiedziałem.

– Nie, Antoine! Byłeś za młody!

– Wystarczająco dojrzały, by zdawać sobie sprawę, co się między nami dzieje. I to nie było dla mnie przykre. Taka jest prawda, choć

trudno mi, i prawdopodobnie tobie, ją zrozumieć. W jakiś dziwny sposób ją kochałem.

– Czy uważasz, że w tym wieku wiedziałeś, co znaczy miłość? – zapytała Marine, ujmując go za rękę. – Z pewnością byłeś bardzo zagubiony.

Verlaque usłyszał dzwonek swojego telefonu. Zignorował go.

– Myślę, że trzynastolatek rozumie, czym jest miłość. Wiem, że jesteś wzburzona, ale chcę, byś wiedziała, że wreszcie przestałem tę sprawę ignorować. Skłoniło mnie do tego zdjęcie Sylvie, a potem rozmowa z *soeur* Clothilde.

– Co powiedziała siostra? – zapytała Marine. – Możesz mi zdradzić?

– W jakiś cudowny sposób potrafiła przekonać mnie do mówienia – odparł Verlaque. – Pod koniec gęba mi się nie zamykała, a w końcu się rozplakałem. – Szybko podniósł rękę. – Nic nie mów!

Marine uśmiechnęła się.

– Wypiję jeszcze łyk whisky – rzekła. – Na zdrowie. – Pociągnęła łyk trunku. – Zatem... czy *soeur* Clothilde dała ci jakąś radę, no wiesz, co mógłbyś zrobić, zamiast odmawiać różaniec.

– Wiesz, ona ani razu nie wspomniała o Bogu ani o modlitwie. Powiedziała, że to ja muszę wykonać całą pracę. – Upił trochę whisky i przysunął się do Marine. – Marine, zależy ci na moich pieniądzach?

– Nie, ale uwielbiam twój samochód – powiedziała ze śmiechem. – Nie, Antoine, nie dbam o twoje pieniądze. Przyznaję, że lubię nasze wspaniałe wakacje i przepadam za weneckim malowidłem w twojej jadalni...

Verlaque uśmiechnął się.

– Ja też.

– Ale byłabym równie szczęśliwa, mając oprawione plakaty z Ikei i spędzając wakacje w namiocie.

Verlaque zmarszczył brwi.

– Nie posuwajmy się za daleko. Nie znoszę spać w namiocie.

Marine roześmiała się mimo woli.

– A dlaczego pytasz?

– Bez żadnego szczególnego powodu – odparł. – Po prostu myślę o tym, o czym rozmawiałem z *soeur* Clothilde. – Wyciągnął rękę i chwycił katalog Ikei. – Zatem wybierzmy jakieś wzory – rzekł.

– Przestań się droczyć!

Francuskie i angielskie innowacje

– Wczoraj wieczorem zostawiłem panu dwie wiadomości, sir – powiedział Paulik.

– Przepraszam – odparł Verlaque. – Wciąż trochę źle się czułem po tym zatruciu. Czy to było ważne?

Paulik westchnął i skinął głową, wyciągając krzesło naprzeciwko sędziego.

– Myślę, że przez dwie godziny rozmawiałem o zabytkowych samochodach z mordercą.

Verlaque spojrzał na swojego komisarza zdumiony. Paulik relacjonował swoją wizytę w warsztacie, który teraz opustoszał.

– Mówisz, że nie ma nawet popiersia de Gaulle’a?

– Właśnie. Dlaczego by je zabrał, gdyby nie planował uciec z miasta lub z kraju? Teraz można przejechać przez europejskie granice. Prodos może znajdować się w tej chwili we włoskich Alpach albo ukrywać się w dalekiej osadzie w Andaluzji.

– Ale mówiłeś, że mu ufasz, podobnie jak Laure Matour, szefowa Mlle Durand.

– No cóż, zdarzało mi się mylić – odrzekł Paulik.

Verlaque podniósł słuchawkę telefonu.

– Zarządzmy zatem krajowe poszukiwania tego człowieka. Zakładam, że porusza się citroënem ds? Tym łatwiej będzie go znaleźć. Wiem, że jest samotnikiem, ale masz kontakty z kimś z jego otoczenia?

– Tak – odpowiedział komisarz. – Jeden z policjantów z Pertuis, którzy wczoraj zatrzymali się przy warsztacie, powiedział, że jego szwagier kupił samochód od Prodosa. Wziąłem numer tego szwagra i wczoraj późnym wieczorem zostawiłem mu wiadomość. – Paulik wyjął z kurtki telefon komórkowy i położył go na biurku. – Mam nadzieję, że oddzwoni. – Wstał i zaczął chodzić po pokoju. Rozległ się dzwonek jego telefonu, więc podbiegł, by odebrać. – Bingo! – zawołał, odbierając połączenie. – *Oui?*

– Pan komisarz? Tu Benjamin Talmard. Zostawił mi pan wiadomość.

– Tak. Spotkałem wczoraj pańskiego szwagra, policjanta, i powiedział mi, że zna pan André Prodosa.

– Zgadza się – odparł Talmard. – Czy André ma jakieś kłopoty?

– Nie – skłamał Paulik. – Muszę porozmawiać z nim na temat sprawy, którą prowadzimy. Wczoraj wieczorem przejeżdżałem obok jego warsztatu i wydał się on opustoszały. Czy wie pan, gdzie Prodos może być? Wiem, że nie ma telefonu komórkowego.

– Ha, trudno sobie wyobrazić André z komórką – odpowiedział Talmard. – No cóż, zamyka warsztat tylko z jednego powodu. Aby wziąć udział w rajdzie.

– W rajdzie samochodowym?

– W rajdzie citroënów.

– Czy teraz się gdzieś taki odbywa? – chciał wiedzieć komisarz. Wątpił w to, by Prodos wybrał się na rajd samochodowy, raczej się

gdzieś ukrywał.

– Pamiętam, że w ostatnim biuletynie miłośników Citroënów ds czytałem o wrześniowym rajdzie – odpowiedział Talmard. – Spróbuję znaleźć ten biuletyn.

– Czy pamięta pan, gdzie ten rajd się odbywa?

– Nie tutaj – rzekł Talmard. – Bo wtedy bym się wybrał. Wydaje mi się, że gdzieś w środkowej Francji.

– Byłoby fantastycznie, gdyby dowiedział się pan, gdzie i kiedy ma on miejsce, M. Talmard. Stokrotne dzięki.

Paulik właśnie się rozłączył, kiedy zapukali i weszli Jules Schoelcher i Roger Caromb.

– I co ustaliliście? – zapytał Verlaque. – Czy coś łączy nasze trzy kobiety? Dostawcy? Rzemieślnicy?

– Nic, panie sędzio – odpowiedział Schoelcher. – Sklepy spożywcze z Aix nie prowadzą dostaw na taką odległość. Mlle Montmory miała w czerwcu dostawę z La Redoute, ale Mlle Durand i Mme d'Arras ani razu nie zamawiały z tego katalogu. Do Mme d'Arras raz przyszedł hydraulik i naprawił ciekący kran, ale Mlle Durand nigdy nie potrzebowała żadnego fachowca. Mlle Montmory raz wezwała hydraulika, ale był to ktoś inny niż u Mme d'Arras. Poza tym nawet nie było jej w domu, kiedy przyszedł, wycinano jej migdałki...

– A dostawa z UPS? – chciał wiedzieć Paulik.

– Nic – szybko odpowiedział Roger Caromb. – Sprawdziliśmy ich i FedEx.

Verlaque spojrział na Caromba i nie spodobało mu się, że ten żuje gumę, tym bardziej że jest w pracy. Jego babcia Emmeline nauczyła go, że to odrażający zwyczaj, i już zawsze tak o tym myślał.

Rozdzwoniła się komórka Paulika, a on sięgnął przez biurko i ją chwycił.

– *Oui?* M. Talmard?

– Tak – odezwał się Talmard. – Szczęśliwie dla pana znalazłem biuletyn, zanim moja żona zdążyła wyrzucić go na makulaturę. Rajd jest w ten weekend, w Aubrac. – Przeczytał komisarzowi miejsce i czas rajdu. – Oficjalnie zaczyna się dzisiaj, ale André prawdopodobnie pojechał wcześniej, by rozłożyć swoje stanowisko.

– Bardzo dziękuję – odpowiedział Paulik i się rozłączył. Spojrzał na Verlaque'a i rzekł: – Dziś wieczorem w Aubrac, niedaleko Laguiole, zaczyna się rajd citroënów.

Verlaque skinął głową i starał się nie myśleć o Laguiole jako o obszarze, gdzie znajduje się trzygwiazdkowa restauracja Michela Brasa, ale jako o miejscu, w którym prawdopodobnie będzie musiał dokonać aresztowania.

– No cóż, miejmy nadzieję, że on tam jest.

Oficerowie Schoelcher i Caromb zerknęli jeden na drugiego z wyrazem zaskoczenia, a Paulik wyjaśnił im, jakie ma podejrzenia wobec André Prodosa.

– Wy zostańcie tutaj, a ja zadzwonię do was z Aubrac, jeśli czegoś się dowiemy.

– A jeżeli Prodos rzeczywiście jest na rajdzie – zainteresował się Schoelcher – to uznacie, że jest niewinny?

– Przestań zadawać takie podchwytliwe pytania – odparł Verlaque z uśmiechem. – Przecież to oczywiste, że nie wybiegamy myślami tak daleko naprzód.

– Jedźmy – odezwał się komisarz. – Sądzę, że to około sześciu godzin jazdy. *Merde.*

– Mamy szczęście, że ten rajd nie odbywa się w Bretanii –

skomentował Verlaque, chwytając marynarke. – To byłoby dwanaście godzin drogi stąd.

Jazda po Autoroute du Soleil przebiegała bardzo przyjemnie, urlopowicze pojechali już do domów i obaj mężczyźni mogli cieszyć oczy widokiem gajów oliwnych ukazujących się na tle jasnoniebieskiego nieba. W Montpellier zjechali na autostradę prowadzącą na północ, w stronę Millau i tamtejszego wiaduktu, który spina brzegi rzeki Tarn.

– Widział pan już wiadukt? – Paulik zapytał szefa, który prowadził samochód.

– Nie, wstyd powiedzieć, ale nie widziałem – odparł sędzia, przyciszając jazzową płytę, by mogli rozmawiać. – Planujemy tam pojechać. – Verlaque uśmiechnął się, uświadomiwszy sobie, że zmienił swoje zwyczajowe „ja” na „my”. Miał nadzieję, że odtąd już tak będzie – on i Marine. My.

– My też – powiedział Paulik. – Léa naprawdę chciały go zobaczyć. Zaprojektował go jakiś Anglik. – Przewrócił oczami w udawanej dezaprobacie. Niewiele wiedział o rodzinie sędziego, ale słyszał kiedyś, że jego babcia pochodziła z Anglii i że bogactwo rodziny wzięło swój początek z młynów, sprzedanych przed laty międzynarodowej grupie spożywczej.

– Norman Foster – odpowiedział Verlaque.

– To dość zabawne, by wysyłać angielskiego architekta do budowania francuskiego mostu.

– Nie bardziej zabawne niż to, że Francuzi wysyłają swoich matematyków do pracy w londyńskich bankach – skomentował sędzia. – Ale jeżeli od tego poczujesz się lepiej, to powiem ci, że inżynier był miejscowy. Tak czy siak, żyjemy teraz na jednej

wielkiej planecie.

Komisarz westchnął.

– Właśnie rozmawiałem o tym z Hélène – rzekł. – O globalizacji winnic. Bogaci właściciele winnic z okolic Bordeaux kupują winnice w Argentynie i, oferując niższe ceny, eliminują z rynku tamtejszych kupców winnych. Z drugiej strony Chińczycy i Amerykanie kupują nasze wytwórnie win.

Verlaque zwolnił, by przejechać przez bramkę na autostradzie. Kiedy ich oczom ukazał się most, zamilkli.

– *Oh mon dieu* – powiedział w końcu Paulik. – Niech mnie kule biją!

Verlaque zatrzymał się przy punkcie widokowym i obaj wyskoczyli z samochodu. Dookoła słychać było szum wiatru, a pasma cienkich chmur przebiegały pospiesznie po niebieskim niebie. Biały most wyglądał majestatycznie.

– Przypomina rząd jachtów – zauważył sędzia – unoszących się nad doliną. – Robił zdjęcia swoją komórką, a Paulik stał z rękami na biodrach i wpatrywał się w konstrukcję.

Policzył wysokie, wąskie filary utrzymujące most.

– Siedem kolumn – powiedział, wskazując na nie. – Proszę spojrzeć na ten świetny detal: w każdej kolumnie jest wąskie pęknięcie dzielące ją na dwie połowy, ale zamyka się ono znowu powyżej poziomu drogi.

– Nie miałem pojęcia, że jest tak imponujący – rzekł Verlaque. – I taki elegancki – to doskonałe połączenie inżynierii i designu.

– Francuskości i angielskości – dodał Paulik, uśmiechając się.

Stali na platformie widokowej około dziesięciu minut, bez słowa. Żaden z nich nie zauważał samochodów wjeżdżających i wyjeżdżających z parkingu, nie słyszał rozmów turystów

i klikania aparatów fotograficznych. Verlaque patrzył na most, arcydzieło lekkiej konstrukcji, unoszący się pomiędzy dwoma wapiennymi płaskowyzami, pokrytymi zielonymi zaroślami. Rzeka Tarn płynęła dużo niżej, a mniejszy, wcześniejszy most przecinał rzekę tuż nad jej brzegami. W porównaniu z wiaduktem wyglądał jak zabawka.

– Kiedy widzę coś tak pięknego, co jest dziełem człowieka – odezwał się sędzia – czuję, że na świecie dobrze się dzieje.

Paulik skinął głową.

– Wiem, co ma pan na myśli – powiedział, patrząc, jak chmury przebiegają niewiele ponad najwyższym masztem mostu. – Szczególnie z perspektywy naszej pracy.

Verlaque spojrział w bok na swojego komisarza i pomyślał o słowach *soeur* Clothilde: „Wszyscy musimy robić coś, co uczyni świat piękniejszym”. – Myślę, że mógłbym zostać tu cały dzień – stwierdził.

– Tak, wiem – odparł Paulik. – Na pewno przywiozę tu dziewczyny.

Verlaque uśmiechnął się na słowo „dziewczyny”.

– Jesteś szczęściarzem, Bruno.

Paulik udał, że nie słyszy, i szybko wsiadł do maleńkiego porsche sędziego, uchylając się od odpowiedzi. Co mógłby powiedzieć?

Kiedy sędzia wyjeżdżał na drogę, komisarz przyglądał się mapie Michelin.

– Wyjedziemy z tej autostrady na zjeździe czterdzieści dwa – rzekł. – Potem skierujemy się na wschód, na N88, i po około czterdziestu dwóch kilometrach D28 skręcimy na północ, w stronę Laguiole. Talmard powiedział mi, że rajd powinien być dobrze oznaczony, a jeżeli nie zobaczymy żadnych znaków, to powinniśmy

jechać za citroënami. – Odłożył mapę na kolana, gotowy nadal podziwiać widok z mostu. – Pięknie – powiedział. Pochylił głowę do okna i patrzył na leżącą niżej dolinę.

– Spójrz na to – odezwał się Verlaque, wskazując przed siebie. – Dwa samochody przed nami jedzie stary citroën.

Paulik zerknął do przodu, a potem przez ramię za siebie.

– Jest ich cała masa za nami, sir.

– Nie musimy szukać drogowskazów.

Im bliżej Laguiole byli, tym więcej widzieli citroënów. Z tablic rejestracyjnych mogli wyczytać, gdzie mieszkali właściciele pojazdów. W większości byli to Francuzi, ale obu mężczyzn zaskoczyła liczba włoskich, hiszpańskich, a nawet portugalskich fanów zdążających na wyścig. Tuż przed Laguiole citroëny zaczęły skręcać w lewo, na wąską drogę, która prowadziła do Montpeyroux, i Verlaque podążył za nimi.

– Sądząc z liczby samochodów, musieli wynająć ogromne pole – stwierdził.

Nastolatek w czerwonej kurtce Citroëna wskazał im miejsce na parkingu i sędzia zatrzymał auto pośród tysięcy samochodów tej marki w każdym kolorze, modelu i z każdego roku produkcji, jakie można sobie wyobrazić. Kiedy wysiedli, siwowłosa mężczyzna, także w czerwonej kurtce Citroëna, z pasującą do niej czapką baseballową, wyszedł ze swojego kabrioletu ds i powiedział po angielsku:

– Niewłaściwy rajd, przyjacielu.

Verlaque zamknął wóz i przesłał mężczyźnie wymuszony uśmiech.

– Och, czy nie jest to wyścig starych porsche? – zapytał po angielsku. – Ojej!

– Tylko z pana żartuję – mówił dalej mężczyzna. – Na pewno się pan nawróci. Miłego dnia!

Sędzia podniósł rękę w niewyraźnym pozdrowieniu.

– Droczył się z nami? – zapytał Paulik.

– Tak – odparł Verlaque, obchodząc elegancki, długi kabriolet. – Te samochody naprawdę mają wyraz – rzekł. – Piękne i majestatyczne.

– W dzieciństwie uważałem, że są naprawdę na miarę dwudziestego pierwszego wieku – stwierdził komisarz i próbował sięgnąć wzrokiem poza parking. – Chodźmy za tłumem. Musi tu być jakiś pawilon, gdzie da się sprawdzić listę stanowisk.

– I możemy coś zjeść – dodał Verlaque, patrząc na zegarek. – Już prawie trzecia po południu. – Słyszał, jak burczy mu w żołądku, a jednocześnie poczuł zapach grilla.

Po opuszczeniu parkingu szli polną drogą obstawioną eksponowanymi tu citroënami. Poruszali się wolno, dostosowując się do tempa uczestników rajdu – głównie pięćdziesięciokilkuletnich mężczyzn, którzy zatrzymywali się nieomal przy każdym samochodzie, by porozmawiać z jego właścicielem, zrobić zdjęcia lub zerknąć pod maskę czy do wnętrza.

– Starajmy się nie wgapiać zanadto w te wozy – rzekł Verlaque, wyciągając szyję w stronę citroëna z lat czterdziestych, który, sądząc z tablic rejestracyjnych, przyjechał z Belgii.

Posuwali się do przodu, zatrzymując się i ruszając od nowa wraz z tłumem, przez mniej więcej dwadzieścia minut i wciąż nie widzieli głównego pawilonu.

– To jest jak zły sen – stwierdził Paulik – jakbyśmy nigdy nie mieli tam dojść.

– Ani zjeść. – Verlaque spojrzał na komisarza, który nic nie

powiedział. – Myślę, że możemy zatrzymać się na lunch później. Najpierw powinniśmy znaleźć André Prodosa.

– Jeśli tutaj jest.

Pięć minut później znaleźli się przy głównym pawilonie – długim hangarze z płaskim dachem. Wewnątrz znajdowały się stare i rzadkie modele citroënów: furgonetki z ocynkowaną karoserią, samochody wyścigowe, samochody z częścią mieszkalną, a nawet piętrowy autobus z Londynu sprzed drugiej wojny światowej. Akustyka tej hali nie została przewidziana na tysiące fanów samochodów ani też na muzykę akordeonową na żywo i Verlaque musiał zatykać uszy. W głośnikach zapowiedziano rozpoczynające się o osiemnastej przemówienia przy aperitifie.

– Wyjdźmy stąd, zanim to się zacznie – powiedział Verlaque do Paulika. Komisarz przytaknął – takie mowy mogą się ciągnąć godzinami.

Podążyli za czerwonymi znakami kierującymi do informacji, gdzie szczęśliwie w kolejce przed nimi znajdował się tylko jeden mężczyzna.

– Mogę jedynie zasugerować, by spróbował pan poszukać pokoju hotelowego gdzieś dalej – powiedział do niego pracownik informacji. – Może w Millau. Hotele i pensjonaty w Laguiole zostały już przed miesiącami zarezerwowane przez uczestników rajdu.

Verlaque spojrział na Paulika i uniósł brwi.

– Wygląda na to, że będziemy jechać z powrotem w ciemności – skomentował Paulik.

Mężczyzna odszedł niezadowolony, a sędzia przesunął się do lady.

– Czy ma pan mapę stanowisk? – zapytał. – Szukamy stanowiska

André Prodosa. Prowadzi warsztat samochodowy w Prowansji.

Pracownik informacji spojrział na Verlaque'a zapuchniętymi oczyma.

– Nigdy o nim nie słyszałem. Oto plan. Mamy ponad sto stanowisk. Powodzenia.

Sędzia spojrział na plan.

– Ale one nie są opisane – stwierdził.

– Zgadza się – odparł mężczyzna. – Nie dostaliśmy na czas listy wynajmujących i nie zdążyliśmy wydrukować. *C'est la vie!*

– *Vive la France* – mruknął Verlaque i podszedł do miejsca, gdzie Paulik przyglądał się karetkce Citroëna z czasów drugiej wojny światowej. – Mamy nieoznaczoną mapę. Musimy obejść wszystkie stanowiska. Niektóre są tutaj – powiedział, patrząc na plan – a niektóre na zewnątrz.

– Rozdzielmy się – zasugerował komisarz. – I dzwoniemy, kiedy któryś z nas go znajdzie. Jego warsztat nazywa się Citroën Prodosa, a on sam wygląda jak nauczyciel – wysoki, szczupły, w małych, okrągłych okularach, z zakolami na skroniach.

– Zaczę na zewnątrz – zdecydował sędzia. – Do zobaczenia wkrótce, mam nadzieję.

Każdy z nich poszedł w innym kierunku. Verlaque najpierw skierował się do stoiska z grillem. Przed nim kłębił się tłum, a mimo to czuł zapach pieczonych pikantnych kiełbasek. Kiedy dotarł do drugiego miejsca w kolejce, zadzwonił jego telefon.

– Tak, Bruno? – zapytał, kiedy znalazł się przy ladzie.

– Znalazłem go – odparł Paulik.

Verlaque spojrział na kucharza przy grillu.

– Zaraz wrócę – odezwał się do niego.

– To już ostatnie porcje, jakie piekę tego popołudnia – powiedział

mężczyzna.

– No cóż – stwierdził sędzia. – Moja strata.

Szybko wszedł do hangaru i przeczytał esemesa od komisarza: „Trzecie stanowisko na północ od informacji”. Paulik stał z tyłu tłumu zgromadzonego wokół stanowiska Citroën Prodos.

– Właściwie to byliśmy obok niego, stojąc przy punkcie informacyjnym – wyszeptał Paulik. – Daje tu prawdziwy show. – Obaj mężczyźni patrzyli i słuchali, jak Prodos wychwala czarno-białego psa, który znajdował się na podnośniku w jego garażu. Nieśmiały introwertyk, z którym rozmawiał komisarz, przed licznie zgromadzonymi ludźmi okazał się urodzonym showmanem.

– Spójrzmy prawdzie w oczy – mówił Prodos do tłumu. – Jesteśmy tutaj, ponieważ Citroën w swojej nieomal dziewięćdziesięcioletniej historii wyprodukował wiele nowatorskich samochodów. A jednak przed modelem takim jak ten stoimy jak urzeczeni. Przynajmniej ja. – Prodos podszedł do słuchających go ludzi. – Sir – zwrócił się do starszego mężczyzny – gdyby miał pan użyć tylko jednego słowa, żeby podsumować citroëny, to jakie by ono było?

– Innowacyjne – rzekł mężczyzna.

– A pan, sir? – zapytał kolejnego miłośnika samochodów.

– Ummm... Powiedziałbym... przyjemność.

Prodos wskazał na kolejnego mężczyznę, który szybko odpowiedział:

– Wygoda.

Jakaś kobieta dodała:

– Indywidualizm.

Verlaque westchnął, głaszcząc się po brzuchu.

– Przerwijmy to.

Paulik wyszedł do przodu.

– Dzień dobry, M. Prodos – odezwał się.

– Dzień dobry, komisarzu! – odpowiedział Prodos, jak gdyby Paulik przyjechał na rajd jako fan. – Pamięta pan to? – zapytał, uśmiechając się szeroko i wskazując na samochód.

Paulik zrobił krok do przodu i szepnął:

– Musimy porozmawiać.

– No cóż, moi drodzy, to na razie wszystko – ogłosił Prodos, patrząc na Paulika. – Zobaczymy się wszyscy na wieczornej ceremonii! – Wyłączył mikrofon i delikatnie odłożył go na stół. – Co się stało? Wygląda pan na rozzłoszczonego.

– To sędzia śledczy z Aix – rzekł komisarz, przedstawiając Verlaque’a.

– Wszystko panu powiedziałem. – Prodos lekko podniósł głos.

– Co to za świetny pomysł, żeby uciec z miasta? – zapytał Paulik.

– Uciec z miasta? Zawsze przyjeżdżam na te rajdy. Tak płacę rachunki, zawsze udaje mi się tu sprzedać samochód.

– A nie pomyślał pan o tym, żeby powiedzieć mi o rajdzie?

– Nie sądziłem, że przyjadę – odparł Prodos – aż do pańskiej wizyty. Zadzwoiłem do mojej przyjaciółki Laure – to była szefowa Gisèle – a ona zasugerowała, że to zrobi mi dobrze na głowę. Pogrzeb Gisèle jest w poniedziałek po południu, więc wrócę na czas. Musiałem spakować wszystko w minutę.

Paulik rozejrzał się i zobaczył popiersie Charles’a de Gaulle’a.

– Przywiózł go pan? – zdziwił się.

Twarz mechanika rozjaśniła się w uśmiechu.

– To należy do mojego popisowego numeru! Właśnie miałem opowiedzieć historię o strzałach, kiedy pan się pojawił.

– Ale pański warsztat jest wyczyszczony z narzędzi – stwierdził

komisarz.

Prodos skinął głową.

– Przywożę na rajdy moje narzędzia – wyjaśnił. – Wszyscy tak robimy. Trzeba być przygotowanym, by pomóc innym właścicielom ds. Te samochody mogą być... delikatne.

Paulik westchnął i spojrzał na Verlaque'a.

– Czy ma pan alibi na środę, siódmego września? – zapytał, myśląc o Suzanne Montmory.

– O której?

– Pomiędzy szesnastą a dziewiętnastą trzydzieści.

– W środę wieczorem mam terapię – odparł Prodos. – Od osiemnastej trzydzieści do dziewiętnastej trzydzieści.

– A przedtem?

– Byłem w warsztacie.

– I rozmawiał ze mną – odezwał się głos za nimi. Verlaque i Paulik obrócili się jak na komendę. Przed nimi stał François Gros, który pełnił funkcję sędziego śledczego w Aix, zanim Verlaque przejął to stanowisko. Gros przeszedł na emeryturę w wieku sześćdziesięciu dwóch lat, z wszystkimi dodatkowymi świadczeniami, które mógł teraz przeznaczyć na swoją wielką miłość, citroëna ds 19.

– François! – zawołał Verlaque, ściskając dłoń mężczyzny.

– Sir! – powiedział Paulik, prostując się.

– Odwiedziłem cię tego popołudnia, André – rzekł Gros – i zagadałem cię na śmierć. Pamiętam, że to była środa, bo we środy moja żona idzie do naszej córki i opiekuje się wnukami, więc miałem popołudnie dla siebie.

Prodos klepnął się w głowę.

– Tak, teraz pamiętam. Rozmawialiśmy o...

– Co się dzieje, na miłość boską, Verlaque? – chciał wiedzieć Gros.

– Jeśli nie oglądałeś lokalnych wiadomości, to wyjaśnię, że prowadzimy sprawę trzech morderstw, François.

– Wprowadzisz mnie we wszystko później – rzekł Gros. – Ale tak do twojej wiadomości – ufam temu młodemu człowiekowi bezgranicznie. Rozumiesz?

Le gargouillou

Samochody na parkingu Michela Brasa zdecydowanie różniły się od tych, które oglądali wcześniej. Nie było tu żadnych citroënów, zabytkowych ani nowych. Większość pojazdów pochodziła z Niemiec, z wyjątkiem żółtego ferrari na paryskich tablicach. Verlaque szybko szedł wykładaną kamiennymi płytami ścieżką do restauracji, podczas gdy Paulik został na zewnątrz i ze wzgórza patrzył na porośniętą krzewami równinę gminy Aubrac.

– Czy znajdzie się stolik dla dwóch osób na dzisiejszy wieczór? – Verlaque zapytał eleganckiego, młodego mężczyznę. – I pokój albo dwa?

Młody człowiek skrzywił się.

– W restauracji wszystkie miejsca są zarezerwowane, sir.

Verlaque westchnął i sięgnął do kieszeni po swoją odznakę. Pokazał ją recepcjoniście, sięgając przez ladę, i powiedział:

– Jesteśmy tutaj z kolegą służbowo, na ostatnią chwilę.

– Zobaczę, co mogę zrobić – odparł młody człowiek.

– Będę wdzięczny.

Mężczyzna zadzwonił, po chwili odłożył słuchawkę.

– Ustawimy dla panów mały stolik w jadalni – powiedział. – I mamy wolny jeden dwuosobowy pokój z podwójnym łóżkiem.

Sędzia skrzywił się.

– Świetnie. Nie znajdzie się taki z dwoma łózkami?

– Niestety nie, sir.

– Weźmiemy. Kolacja o wpół do ósmej? – Verlaque wiedział, że to nieelegancko wczesna godzina na kolację, ale nie przetrwałby dłużej bez posiłku.

– Dobrze, sir – odpowiedział recepcjonista. – Jeżeli zechcą panowie zrelaksować się w barze przed kolacją, przyniesiemy tam menu.

– Fantastycznie – rzekł Verlaque. – Dziękuję.

– Zawołam kogoś, by pokazał panom pokój i zaniósł bagaże.

– Nie przywieźliśmy żadnych bagaży – wyjaśnił sędzia. Potem wyszeptał: – Proszę pamiętać, służbowe pilne zadanie. – Szybkim krokiem wyszedł z restauracji i znalazł Paulika tam, gdzie go zostawił, podziwiającego widoki. – Zamówiłem kolację i pokój. Mały problem z łózkami, ale myślę, że damy sobie radę.

– Fantastycznie – odparł komisarz. – Ale szczerze mówiąc, sir, sądząc z tych samochodów i z tego supernowoczesnego budynku, to wszystko tutaj przekracza nasz budżet, mimo że pan jest sędzią, a ja komisarzem.

– Nie martw się o to – rzekł Verlaque, wiedząc, że kosztami ich obiadu nie obciąży podatników z Aix, ale zapłaci za niego sam. – I skoro mamy spać dzisiaj w jednym łóżku, musisz zacząć zwracać się do mnie po imieniu.

Paulik wybuchnął śmiechem.

– Sądzę, że znajdą dla nas składane łóżko, jeżeli ładnie poprosimy.

– Chrapiesz?

– Tak. A pan?

– Tak, tak słyszałem. – Verlaque spojrział na rozciągającą się przed nimi dolinę, jednocześnie jasną od zachodzącego słońca i ciemną od sunących w górze ciężkich chmur. – Masyw Centralny to szczególna część Francji, prawda? – zapytał komisarza.

– Owszem – odparł Paulik. – Ale tak naprawdę nie ma zakątka Francji, którego nie kocham, może z wyjątkiem pewnych okolic w Paryżu.

Verlaque roześmiał się, niepewny, czy Paulik ma na myśli ekskluzywną szóstą i siódmą *arrondissement*, czy zatłoczone i brudne dziewiętnastą i dwudziestą.

– Moja babcia powiedziała mi, że ten region został całkowicie pominięty w angielskim przewodniku po Francji – rzekł. – Mój ulubiony malarz stąd pochodzi. Jeden z jego obrazów wisi w mojej sypialni.

– Pierre Soulages?

– Tak – odrzekł sędzia. – Znasz jego twórczość? Bardzo czarna – mam na myśli kolor, nie nastrój.

– Hélène jest jego wielką fanką – wyjaśnił komisarz. – Powiedziała mi, że Soulages pochodzi z Masywu Centralnego. Tak naprawdę, kiedy zbliżaliśmy się do Laguiole, widziałem wioskę z jego nazwiskiem na mapie. – Nie wspomniał o tym, że Hélène pewnego razu pojechała TGV do Paryża, by zobaczyć retrospektywę Soulages'a w Centrum Pompidou. Mógł sobie tylko wyobrazić, ile te malowidła kosztują. Być może obraz będący własnością Verlaque'a był malutki.

Sędzia położył rękę na mocarnym ramieniu Paulika.

– A może się odświeżymy i będziemy udawać, że włożyliśmy na

kolacje czyste koszule?

– Mógłbym bez trudu przyzwyczać się do trzygwiazdkowych restauracji – stwierdził Paulik, rozpierając się w jednym z białych, skórzanych foteli ustawionych przed oknami w salonie, otwartymi na równinę i dolinę. – To mój pierwszy raz.

Verlaque powiedział:

– Pewnie pierwszy raz wolałbyś mieć u swego boku kobietę.

Komisarz roześmiał się:

– Tak, moją żonę.

– Gdyby Hélène robiła własne wina, to byłaby bogata, a może nawet sławna.

– Nie wiem, czy bogata – odpowiedział Paulik. – Może sławna, ale tylko w świecie winiarskim, jak Lalou Bize-Leroy w Burgundii czy rodzina Mondavi w Kalifornii.

Verlaque założył nogę na nogę i zapalił cygaro, czym naraził się na złe spojrzenia siedzącej obok pary.

– Francja będzie ostatnim krajem w Europie, który wprowadzi zakaz palenia, zapamiętaj, co mówię! I pomyśleć, że jest już 2006 rok! – powiedział mężczyzna do swojej żony po angielsku. – Chodź, Margareth. – Pospiesznie wstali i weszli do jadalni.

– Czy skarżyli się, że pan pali? – zapytał Paulik. – Przecież nie zamierzał pan zabierać cygara do jadalni.

– Nie, nie o to chodziło – skłamał Verlaque.

Pojawił się kelner niosący dwa kieliszki miejscowego szampana.

– Czy panowie zamówili już potrawy? Czy też wybiorą panowie z karty?

– Poproszę o pełne menu degustacyjne – rzekł sędzia. Mrugnął okiem do komisarza i dodał: – Ty też powinienesz to zamówić.

Paulik zamknął kartę dań.

– W porządku, poproszę o to samo.

– Czy chciałby pan dokończyć swoje cygaro przed kolacją, sir? – zapytał kelner. – Normalnie serwujemy *tartelette aux cèpes* z szampanem, ale skoro pan pali...

Verlaque zgasił cygaro w popielniczce.

– Tarta borowikowa? Zaczniemy od zaraz, proszę. Czy mogę zobaczyć kartę win?

Paulik odchylił się do tyłu i chłonął widok przez okno, podczas gdy Verlaque studiował kartę win, którą kelner szybko dostarczył.

– Czy chcesz zerknąć, Bruno? – zapytał sędzieja.

– Nie, proszę dla nas wybrać. Dobrze mi się siedzi i ogląda wyścigi chmur.

Pojawił się sommelier i Verlaque zasugerował na początek rieslinga.

– Doskonały wybór, monsieur – powiedział sommelier z silnym akcentem, którego żaden z mężczyzn nie potrafił umiejscowić. – Rieslingi dobrze się komponują z warzywami M. Brasa.

– Wspaniale – odparł sędzieja. – I poprosimy o czerwone do mięsa i serów. Trudno mi wybrać pomiędzy Mas Jullien a Amalaya.

– Och. Jak pan wie, Mas Jullien to wino lokalne, z Langwedocji – odparł sommelier. – A Amalaya, które też jest wyjątkowym winem, pochodzi z mojego kraju.

Paulik spojrzał na nich i podniósł brwi. Nie przyszło mu do głowy, że Verlaque zamówi wino spoza Francji.

– Z Argentyny? – zapytał sędzieja.

– Tak. Z przyjemnością informuję, że nie tylko pasuje do drugiej części waszego posiłku, ale też jest po prostu... boskie.

Verlaque uśmiechnął się i wręczył mu kartę win.

– Więc poprosimy o argentyńskie.

– Spójrz na to – powiedział Verlaque, pochylając się, kiedy przyniesiono *mise en bouche*. – Wyglądają jak małe delikatne *tartes Tatin*. – Sędzia i komisarz starali się nie jeść zbyt szybko i rozkoszować się maślaną skorupką, która utrzymywała puszyste prawdziwki w warstwach, dokładnie tak jak jabłka w słynnych *tartes Tatin*.

Dziesięć minut później siedzieli w jadalni, patrząc przez okno z widokiem na zachodzące słońce. Ich riesling był odkorkowany i Verlaque pozwolił Paulikowi spróbować go w pierwszej kolejności. Na stole pojawiały się duże białe talerze, głównie z warzywami. Mężczyźni jedli w milczeniu, dopóki słodka cebula – pieczona powoli i podawana z czymś, co kelner nazwał „proszkiem z lukrecji”, ale co tak naprawdę stanowiło słodko-słoną mieszankę oliwek, cukru i mielonych migdałów – nie sprawiła, że zaczęli znowu rozmawiać.

– Czy myśli pan, że podają *gargouillou*, chociaż jest jesień? – zapytał Paulik, obracając wino w swoim kieliszku.

– Mam nadzieję – powiedział Verlaque. – A tak w ogóle, co to znaczy?

– To lokalna gwara. Kiedyś były to duszone ziemniaki i szynka.

– Ale teraz stało się popisowym daniem Brasa – stwierdził sędzia, kiedy kelner podchodził do ich stolika. – Widziałem jego wersje w prawie każdej wykwintnej restauracji, w jakiej jadłem przez ostatnie dziesięć lat.

– *Gargouillou* – oznajmił kelner, delikatnie stawiając na stole dwa talerze pokryte bogactwem jasnych kolorów. Obaj mężczyźni pochylili głowy, jak gdyby chcieli ułatwić sobie policzenie warzyw, dzikich kwiatów i ziół na talerzach.

– Płatki białych róż – rzekł Verlaque, myśląc o Clothilde i przyklasztornym ogrodzie różanym.

– I maki – dodał Paulik, sięgając widelcem po delikatny płatek – a także te ciemnofioletowe bratki, które wydają się prawie czarne.

– Rzepa i rzodkiewki – powiedział Verlaque, podnosząc pokrojone w cienkie plasterki jarzyny. – Jesienne warzywa.

– Połowy z nich nie umiem rozpoznać – stwierdził komisarz. – A pochodzę ze wsi.

– Czytałem, że Bras zaczyna dzień od poszukiwania jadalnych kwiatów i dzikich ziół – oznajmił sędzia.

– To właśnie nazywam wykwinnym jedzeniem. Więc czy potrzebujemy kawioru z białugi?

Mniej więcej po szóstym daniu, po śnieżnobiałej żabnicy, pokrytej czymś, co menu nazywało „czarną oliwą z oliwek”, w jadalni pojawił się Michel Bras. Wśród cicho rozmawiających do tej pory gości zerwały się oklaski.

– Słyszałem, że on wkrótce zamierza pozwolić synowi prowadzić kuchnię – powiedział Paulik, odkładając widelec. – Wygląda prawie jak André Prodos, prawda?

– Tak i mój nauczyciel chemii z liceum, ma nawet takie same małe okrągłe okulary. Idzie tutaj! – Verlaque i Paulik odsunęli krzesła i zaczęli się podnosić, kiedy szef kuchni podszedł do ich stolika.

– Proszę – odezwał się Bras – sędzio Verlaque i komisarzu Paulik, siedźcie. Jak wasza kolacja?

– Cudowna...

– Zachwycająca...

– Jak dotąd najbardziej smakowało mi *gargouillou* – rzekł Paulik. – A nie jestem wielkim fanem warzyw.

– A mnie żabnica – przerwał Verlaque.

Szef kuchni spojrzał w dół, uśmiechając się, rozbawiony ich entuzjazmem.

– Była taka... czarno-biała – mówił dalej sędzia, zły na siebie, że nie potrafi opisać ryby w bardziej odpowiedni sposób.

– Dokładnie to chciałem osiągnąć w tej potrawie – rzekł Bras. – Nazywam ją „ciemność i światło”. Przedstawia równinę Aubrac: gęstość ciemnych chmur i ciemnych pagórków, zmieszana z jasnością światła, jakie mamy tutaj ze względu na dużą wysokość terenu.

Verlaque uśmiechnął się.

– Czy był pan na wrzosowiskach Yorkshire? – zapytał. – Są podobne do Aubrac.

– Bardzo chciałbym tam pojechać – odrzekł Bras. – Może kiedyś.

– A czarna oliwa? – zainteresował się Paulik. – Od czego jest czarna?

– Od czarnych oliwek, które drylujemy i pieczemy w piekarniku przez noc – wyjaśnił szef kuchni. – Następnego dnia miksujemy je z oliwą z oliwek i często polewamy żabnicę, w miarę jak delikatnie się smaży.

– Na małym ogniu?

– Tak, w przeciwnym razie nabierze gorzkiego smaku.

– Już zupełnie ciemno na dworze – powiedział Verlaque, chcąc raczej rozmawiać o krajobrazie niż o przepisach, które i tak zapomni następnego dnia.

– A od lutego do kwietnia będzie zupełnie białe – odparł Bras. – Wszędzie śnieg i mgła. Ciemność i światło. Dobranoc, panowie.

– Dziękujemy i dobranoc – Verlaque i Paulik odpowiedzieli jednocześnie.

– Ostatni tydzień właśnie taki był – skomentował sędzia. – Ciemność i światło.

Paulik skinął głową, kiedy kelner przyniósł następne danie.

– Zgadzam się – rzekł. – Nierozwiązane morderstwa to ciemność, a Albert Bonnard wręczający szlachetne roczniki win fryzjerom i farmaceutom to światło.

W rogu pokoju rozstawiono drugie posłanie, na obu łóżkach położono pościel. Paulik usiadł na skraju swojego łóżka i wysyłał z telefonu zdjęcia posiłku do Hélène i Léi.

– Chyba do tej pory nie widziałem dania tak pięknego jak to *gargouillou* – powiedział, wciskając przycisk „wyślij”. – Wyglądało jak malowidło impresjonistów – Moneta. I nigdy nie myślałem, że tak zasmakuje mi wino argentyńskie, chociaż szczep malbec nie pochodzi z regionu Cahors...

Verlaque uśmiechnął się do siebie, idąc w stronę łazienki. Wziął prysznic po raz trzeci tego dnia i miał nadzieję, że gorąca woda jakoś oczyści jego ciało z pożywienia, które właśnie zjadł. Kiedy się wytarł i wrócił do sypialni, zobaczył, że Bruno Paulik leży już w łóżku i chrapie. Sędzia na palcach doszedł do swojego łóżka i właśnie miał zgasić światło, kiedy zauważył czerwony błysk na swojej komórce. Wyciszył ją podczas kolacji i zapomniał, by sprawdzić później przychodzące połączenia. Widząc, że wyświetlił się numer Marine, wziął telefon do łazienki i zadzwonił do niej.

– Antoine? – odpowiedziała Marine, wydawało się, że jest śpiąca.
– Nie odczytałaś mojej wiadomości?
– Przepraszam, miałem wyłączony telefon.
– Jak tam restauracja Michela Brasa?
– Boska – odparł. – I inspirująca, taka, jaka powinna być dobra

restauracja. Opowiem ci o tym jutro i na pewno kiedyś cię tu zabiorę.

– Świetnie – rzekła Marine. – Posłuchaj, mam dla ciebie ważne informacje. W końcu udało mi się porozmawiać z Philomène Joubert.

Verlaque usiadł na skraju wanny.

– Naprawdę? Czy wciąż jest na pielgrzymce?

– Nie, wróciła do domu wcześniej, by towarzyszyć przyjaciółce, która skręciła nogę w kostce – wyjaśniła Marine. – A ksiądz z Saint-Jean de Malte powiedział jej o śmierci Mme d'Arras i o tym, że chciałam ją o coś zapytać. Ten adres, pod którym zamordowano kobietę w Rognes...

– Rue de la Conception numer sześć?

– Tak – potwierdziła Marine. – To adres Mme Joubert. Tam znajdował się jej dom rodzinny. Został zburzony w latach sześćdziesiątych.

– Mme d'Arras prawdopodobnie tam była – stwierdził sędzia.

– Tak – zgodziła się Marine. – Przy swojej demencji pewnie szukała utraconych przyjaciół, domów z dzieciństwa i miejsc, które pamiętała. Mój ojciec mówił mi, że chorzy często tak robią. Więc te trzy morderstwa są powiązane.

– Być może – rzekł Verlaque. – Ale mordercą nie musiał być ten sam człowiek.

– Myślę, że był. A jeśli Mme d'Arras coś widziała albo słyszała? Była tam w piątkowy wieczór, wtedy, kiedy ta kobieta została... O Boże.

– A gdyby to był ktoś, kogo znała? – snuł przypuszczenia sędzia.

– Pewnie wsiadłaby do samochodu kogoś znajomego – rzekła Marine. – Był wieczór i musiała być zmęczona.

– Tak – zgodził się Verlaque. – Wiesz co, wyśpij się dobrze i zobaczymy się jutro wieczorem. – I dodał: – Kocham cię.

Marine trzymała telefon w ręku, patrząc na mikrofon, po chwili rzekła:

– Ja ciebie też.

Paulik wywaza drzwi

O szesnastej Verlaque wysadził Paulika przy Palais de Justice i zadzwonił do Marine ze swojego samochodu.

– Czy mam u ciebie jakieś czyste koszule?

Marine weszła z telefonem do sypialni i otworzyła szafę.

– Tak, dwie białe i jedną jasnoniebieską.

– To zaraz będę.

Pół godziny później Verlaque już się przebrał, umył zęby, ogolił się i siedział u Marine w kuchni, zadowolony, że ma pięć minut, by popatrzeć na jej twarz.

– Muszę jeszcze wrócić do Palais de Justice – odezwał się.

– Wiem – odparła Marine, mieszając cukier w swoim espresso.

– Ale kiedy znajdziemy tego faceta, wezmę kilka dni wolnego i pojedziemy do Michela Brasa.

– Każde miejsce będzie dobre, Antoine. Ta wczorajsza kolacja tam musiała cię kosztować fortunę.

– Przestań mówić jak twoja matka – rzekł. – Nie zależy mi na pieniądzach. – Pochylił się przez stół i ją pocałował. – Jestem taki szczęśliwy, że ten guzek okazał się niegroźny.

Marine głęboko zaczerpnęła powietrza.

– Ja też. Moja specjalistka mówi, że się nie martwiła, ale ja tak. Uważam, że mam szczęście.

– Specjalistka? – zdziwił się sędzia. – Myślałem, że poszłaś do lekarza rodzinnego. Przepraszam, powinienem wiedzieć lepiej.

Marine roześmiała się.

– Nie oczekiwałam, że będziesz na bieżąco z wszystkimi moimi lekarzami – powiedziała. – Mam ich wielu.

Verlaque wstał i wstawił filiżankę do zmywarki.

– Naprawdę? Czy inne kobiety też tak mają?

– Oczywiście! Dla was, mężczyzn, to jest łatwe. Kobiety korzystają z usług lekarza rodzinnego, potem ginekologa, niektóre kobiety chodzą do dermatologa, inne do podologa, by zadbać o stopy...

Verlaque nagle objął ją i pocałował w czoło.

– Jesteś cudowna! – zawołał. – Muszę biec!

– Cieszę się, że się przydałam... – mruknęła Marine, kiedy Verlaque wybiegł za drzwi. Wzięła resztę swojej kawy na taras, gdzie mogła patrzeć na wieżę Saint-Jean de Malte, jej zastygłe w bezruchu gargulce, przyglądające się miastu. Dzwony kościoła właśnie rozpoczęły powolne, żałobne bicie i Marine zastanawiała się, czy to na pogrzeb Mme d'Arras. Spojrzała na okna mieszkania Philomène Joubert z jego otwartymi okiennicami i świeżą porcją prania – tym razem kompletem pościeli w kwiaty, łopoczącym w popołudniowej bryzie. Westchnęła i weszła do środka. Czy ona kiedykolwiek będzie taka zorganizowana? Ustawiła swoją filiżankę w zmywarce, obok filiżanki Verlaque'a. Jak on się zmienił... Uśmiechnęła się na tę myśl.

– Jeżeli uważasz, że on jest tego wart, trzymaj się tego związku –

poradził jej ojciec.

Tak bardzo cieszyła się, że poszła za jego radą. I to zabawne, że Verlaque tak od niej wybiegł na wspomnienie o zdrowiu kobiety. Oparła brodę na dłoniach na blacie kuchennym i wtedy ją olśniło.

Antoine Verlaque szedł tak szybko, jak tylko mógł, w górę rue Thiers. Nie chciał zwracać na siebie uwagi i wciąż czuł w żołądku wczorajszą kolację. Wyjął telefon komórkowy i zadzwonił do Paulika. – Bruno, już prawie jestem na miejscu. Czy jest tam oficer Schoelcher?

– Siedzi naprzeciwko mnie – odparł Paulik.

– Świetnie. Powiedz mu, żeby przyniósł swój notesik, ten, w którym zapisał listę osób, które wchodziły do pokoju szpitalnego Mlle Montmory.

Paulik powiedział coś do Schoelchera i po chwili odezwał się:

– Zrobione. Ma go przy sobie.

– Będę za dwie minuty!

Idąc przez Place Verdun, wpadł na Vincenta, przyjaciela Marine, właściciela sklepu z odzieżą męską.

– Antoine – powitał go Vincent, składając *bise* na policzku Verlaque'a – musisz wpaść do sklepu i pogadać.

– Wpadnę – odparł sędzia. – Niedługo.

– Mam nowe tweedowe kurtki na zimę! – mówił dalej sklepikarz.
– W bardzo nietradycyjnych kolorach!

– Wybierz dla mnie swoją ulubioną i odłóż ją – rzekł Verlaque, idąc w stronę Palais de Justice. – Znasz mój rozmiar! *Ciao!*

– *Ça marche!* – zawołał Vincent, zachwycony, że sprzedał towar w przerwie na kawę. – Przyrowadź też Marine!

Sędzia pomachał ręką do tyłu, potem podbiegł do drzwi Palais

i w górę schodów, które prowadziły do biura Paulika. Mijając zajęta pisaniem sekretarkę, nie zmniejszając tempa, rzucił:

– Dzień dobry, Mme Girard! Pięknie pani dzisiaj wygląda! – I wbiegł do biura komisarza.

– Mme d’Arras chodziła do lekarza z powodu tarczycy – powiedział Verlaque. – A Mlle Montmory miała usuwane migdałki.

– Kiedy pracował u niej hydraulik – wyrwało się Carombowi.

– Ten sam lekarz? – zapytał Verlaque, nie zwracając się do nikogo w szczególności. – Laryngolog?

– Mme d’Arras zatruwała życie swojemu lekarzowi od tarczycy.

– Jak to? – zainteresował się sędzia.

– M. d’Arras powiedział mi, że uważała, iż operacja nie była konieczna. Że ją oszukał.

– Może i tak – stwierdził Verlaque. – Mówiliście mi, że do pokoju Mlle Montmory wchodzili lekarze specjaliści... Chciałem odwiedzić jednego z nich, ale wyjechał na wakacje. A przynajmniej tak powiedziała jego sekretarka. Nie pamiętam jego nazwiska.

– Czy Mlle Durand także chodziła do jakiegoś specjalisty? – zapytał Paulik. – Zadzwonię do jej lekarza rodzinnego. Mam jego numer.

– Jaki dzisiaj dzień? – chciał wiedzieć Verlaque. – Teraz to ja mam alzheimera.

– Sobota, panie sędzio – odparł Jules Schoelcher. Jutro będzie niedziela, Magali ma dzień wolny i wybiorą się do Cassis.

– Zapytaj w szczególności o laryngologa! – rzekł Verlaque do Paulika, który wychodząc z pokoju, wybierał już numer na komórce.

– Oficerze Schoelcher, proszę przygotować swój notes – odezwał się sędzia. – Czy Mme d’Arras zostawiła nam nazwisko swojego

lekarza rodzinnego? Musimy do niego zadzwonić i zdobyć kontakt do specjalisty od tarczycy. Nie możemy dziś dzwonić do jej męża, bo, jak sądzę, dzisiaj jest pogrzeb. Ten lekarz też może tam być.
Merde.

– Myślę, że nazwisko lekarza rodzinnego jest tutaj, w jej teczce – powiedział Schoelcher. Sięgnął przez biurko Verlaque'a i przeglądał szufladę, aż znalazł dane Mme d'Arras. – Doktor Hervé Tailly – przeczytał. – Jest tu numer komórkowy. Zapiszę go. Czy mam do niego zadzwonić?

– Poproszę.

Do pokoju wrócił komisarz.

– Bingo – powiedział. – Lekarz rodzinny Mlle Durand był w domu, dzięki Bogu. Gisèle chodziła do laryngologa, także z powodu tarczycy. To gość z Aix, doktor Franck...

– Charnay! – wtrącił Verlaque.

– Właśnie!

Jules Schoelcher przykrył dłonią mikrofon w telefonie.

– To ten lekarz, który wszedł do pokoju Mlle Montmory w szpitalu. – Rzucił swój notes do Caromba. – Pokaż im. – Przez chwilę słuchał swojego telefonu, po czym go odłożył. – Automatyczna sekretarka – wyjaśnił.

– Pewnie jest teraz na pogrzebie – domyślał się sędzia.

Do gabinetu zapukał Alain Flamant i wszedł do środka.

– Oficerze Flamant – zwrócił się do niego Paulik, odkładając książkę telefoniczną – czy możesz skorzystać z mojego komputera i znaleźć historię zatrudnienia doktora Francka Charnaya? I jego adres, bo nie ma go w książce.

– Żaden problem – odparł Flamant, siadając przy biurku komisarza. Po kilku kliknięciach młody policjant odezwał się: – Tu

jest jego adres. – Zapisał go na kartce papieru. – Puyricard.

– Blisko zarówno do Éguilles, jak i Rognes – skomentował Verlaque. – Czy znalazłeś już jego historię zatrudnienia?

– Już prawie – rzekł Flamant, nie odrywając wzroku od ekranu. Pochylił się bliżej w stronę ekranu i zagwizdał. – Mieszka w Aix od czterech lat. Przedtem mieszkał w Lille.

– Pewnie przeprowadził się tutaj ze względu na pogodę – stwierdził Roger Caromb, śmiejąc się.

– Nie – sprostował Flamant. – Przeniósł się, bo w Lille został zawieszony w obowiązkach na osiemnaście miesięcy. Za sypianie z pacjentką.

– Jedźmy do domu Francka Charnaya – powiedział Verlaque. – Jego sekretarka powiedziała mi wtedy, że wyjechał. Charnaya łączyło coś z dwiema naszymi kobietami i jestem pewien, że leczył też Mme d'Arras. – Sędzia uzmysłowił sobie, że zapowiedział sekretarce doktora, iż do nich wróci, ale z powodu nagłego wyjazdu na Masyw Centralny nie mógł tego zrobić.

– Weźmy trzy samochody – odezwał się Paulik. – Sędzia Verlaque i ja w jednym, podjedziemy prosto pod dom i zadzwonimy do drzwi. Oficerowie Caromb i Schoelcher w następnym – zaparkujcie w jakimś ukrytym miejscu, może u sąsiadów, jeśli to będzie możliwe, a potem próbujcie podejść do domu Charnaya od tyłu. A ty, Flamant, znajdź kogoś, kto pojedzie z tobą i czekajcie od frontu, ale nie na widoku.

– Wezmę Javalliera – zdecydował Flamant. – Jest na dole i narzeka, że się nudzi.

Verlaque patrzył, jak jego koledzy poprawiają kabury.

– Czy chce pan wziąć broń? – zapytał Paulik.

– Nie, dziękuję – odparł sędzia. – Ufam, że mnie obronisz.

Piętnaście minut później znaleźli się przed *faux bastide* Francka Charnaya, zbudowanego raczej w latach dziewięćdziesiątych niż siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Pod wiatą stały dwa nowe modele francuskich samochodów. Verlaque i Paulik wysiedli z auta, podeszli do drzwi i nacisnęli dzwonek. Nikt nie podchodził, ale kiedy Paulik zadzwonił ponownie, usłyszeli z wnętrza domu głośny łomot i stłumiony krzyk. Verlaque zastukał w drzwi i próbował je otworzyć – były zamknięte na klucz.

Paulik powiedział:

– Proszę się odsunąć.

– Mówisz serio? – zdziwił się Verlaque.

– Przecież gram w rugby, prawda? – odparł komisarz. Uderzył w drzwi łokciem i przy drugim uderzeniu otworzyły się, a drewno się rozpadło. – Tania konstrukcja z lat dziewięćdziesiątych – skomentował.

– Charnay! – zawołał Verlaque, kiedy wbiegli. Usłyszeli jęk, dobiegający z pokoju dziennego. Sekretarka Charnaya leżała na podłodze, próbując zaczerpnąć powietrza. Przesuwne drzwi prowadzące na patio były otwarte.

– Pobiegnę za nim – zawołał Paulik.

– Proszę się nie ruszać – powiedział Verlaque do kobiety. – Wzywam do pani pogotowie.

Kobieta przełknęła i szepnęła ochryple:

– On ma broń.

Wbiegli Flamant i Javallier.

– Usłyszeliśmy krzyki – oznajmił Flamant.

– Charnay pobiegł na zaplecze, jest uzbrojony – powiedział sędzia. – Javallier, zostań z nią tutaj i wezwij pogotowie. Flamant,

biegnij na ulicę na wypadek, gdyby przebiegł od frontu!

Verlaque wstał i ruszył przez frontowe drzwi, myśląc o tym, by sprawdzić wiatę, a wtedy usłyszał strzał. Cofnął się do środka i szedł przez pokój dzienny. Zatrzymał się na tyle długo, by dostrzec wyraz lęku na twarzy sekretarki. Powstrzymał się jednak przed powiedzeniem: „To ostatni raz, kiedy musiała pani skłamać w obronie swojego szefa”.

Przebiegł przez zielony trawnik i ujrzał Paulika pochylonego nad jakąś osobą. Podbiegł bliżej i zobaczył, że komisarz dzwoni po karetkę pogotowia. Jules Schoelcher leżał na ziemi, ciężko oddychając. Rozległ się kolejny wystrzał, jakby oddany z przodu domu.

– *Merde!* – krzyknął sędzia, kiedy wbiegał z powrotem do środka i znowu na zewnątrz drzwi wejściowych. Na końcu podjazdu stał Flamant z pistoletem skierowanym w stronę doktora. Lekarz opierał się o platan, a Roger Caromb zakładał mu kajdanki.

Kiedy podjechały dwie karetki, Verlaque wszedł na podjazd. Skierował ratowników do wnętrza domu i powiedział, że oficer na trawniku z tyłu został postrzelony. Alain Flamant przez cały czas nieruchomo wpatrywał się w lekarza.

– Oficer Caromb zaskoczył go od tyłu – powiedział Flamant. – Pistolet Charnaya wypalił, kiedy upadł.

– Dobra robota – stwierdził Verlaque. Podeszedł do Charnaya, pokazał mu odznakę i przeczytał mu jego prawa.

Dar Antoine'a Verlaque'a

Verlaque wszedł do szpitalnego pokoju Jules'a Schoelchera, kiedy Magali układała mu poduszki.

– Założę się, że nie sądziłeś, że tu wylądujesz – odezwał się sędzia, wręczając oficerowi zapakowane zawiniątko.

– Na szczęście wcześniej poznałem cały personel – odparł Schoelcher.

– Wszyscy go rozpieszczają – powiedziała Magali z uśmiechem. – Tak jak powinni. Cześć, jestem Magali – wyciągnęła rękę.

– Przepraszam – rzekł Schoelcher. – Powinienem był was sobie przedstawić.

Verlaque roześmiał się.

– Nie ma sprawy. – Uścisnął dłoń Magali i rzekł: – Antoine Verlaque. – Przez chwilę wpatrywał się w kobietę, po czym zapytał: – Skąd ja panią znam?

– Z kawiarni na Place Richelme – odparła Magali. – Obok pomnika dzika.

– O tak! Mielicie tam kawę na miejscu – rzekł sędzia. – A jak twoja noga, Jules?

– Dużo lepiej, dziękuję – powiedział Schoelcher. – Najwyraźniej kula nie trafiła głęboko. Czy ta kobieta ma się dobrze?

– Tak, choć musi pozostać na noc pod obserwacją – wyjaśnił Verlaque. – Była poturbowana i w szoku, ale poważnie nie ucierpiała.

– Dlaczego kryła tego faceta? – zapytał Schoelcher.

– Miłość – odpowiedział Verlaque. – Kochała go, ale nie wiedziała, co robił tym kobietom.

– Ale dlaczego zabił starszą panią? – chciał wiedzieć Schoelcher. – Wciąż powtarzam sobie to pytanie. – Magali dyskretnie udawała, że układa kwiaty i podarunki w pokoju.

– Albo Mme d'Arras coś zobaczyła lub usłyszała – zaobserwował Verlaque – albo on myślał, że tak było.

– M. d'Arras powiedział nam, że zarzucała doktorowi niepotrzebne usunięcie tarczycy. Może oskarżyła go o to, zobaczywszy go w Rognes, a on uznał, że oskarża go o zamordowanie Mlle Durand?

– Albo usłyszawszy później o śmierci Gisèle i o tym, gdzie ją znaleziono, Mme d'Arras powiedziałaoby policji, że widziała doktora Charnaya pod tym adresem – powiedział sędzia.

– Czy się przyznał?

Verlaque skinął głową.

– Do wszystkich trzech morderstw. Oskarża wszystkie kobiety świata o swoje osiemnastomiesięczne medyczne zawieszenie w Lille. Czy otworzysz prezent?

Schoelcher szarpał się z ozdobnym opakowaniem, a Magali stanęła obok niego, by popatrzeć. Oderwał ostatnie kawałki papieru i wyciągnął małe, czarne zeszyty.

– Notesy? – zapytał zdziwiony.

– Na twoje dokładne notatki – powiedział Verlaque.

Magali podniosła jeden z nich.

– To Moleskine!

– Dziękuję, panie sędzio – odezwał się Schoelcher. – Dobrze je wykorzystam.

Do pokoju weszła pielęgniarka z tacą w ręku.

– Lekarstwa i odpoczynek, panie Schoelcher – powiedziała. – Obawiam się, że pańscy przyjaciele będą musieli wyjść. Pańska matka mnie zabije, jeżeli do końca miesiąca nie stanie pan na nogi.

Schoelcher skrzywił się.

– Mam nadzieję, że nie dzwoni do pani dyżurki zbyt często.

– Tylko kilka razy dziennie – rzekła pielęgniarka z uśmiechem.

Podpisywanie papierów w biurze notariusza zajęło o wiele mniej czasu, niż przewidywał Verlaque. Jean-Marc, który składał podpis jako świadek, powiedział Verlaque'owi, że jego decyzja o dokonaniu zapłaty w gotówce przyspieszyła cały proces. Jean-Marc starał się zachować kamienną twarz, kiedy zobaczył, jaka suma zamyka transakcję.

Verlaque podjął decyzję o wystawieniu posiadłości Emmeline na sprzedaż, co pokryje część kosztów. Jego brat, Sébastien, chciał kupić agencję nieruchomości – oraz budynek, gdzie była zlokalizowana, w kosztownej dzielnicy Passy w Paryżu – i natychmiast zgodził się na sprzedaż.

Sędzia zaprosił Jean-Marca na uroczystą lampkę szampana w Café Mazarin. Wybrali stolik na tarasie i obaj siedzieli ze skrzyżowanymi nogami, patrząc, jak mieszkańcy Aix przechadzają się w górę i w dół Cours Mirabeau.

– To nie moja sprawa – przerwał ciszę Jean-Marc, patrząc na przyjaciela – ale czy Marine wie, że to robisz?

Verlaque pociągnął trochę szampana i skinął głową.

– Powiedziałem jej wczoraj wieczorem. Ten pomysł bardzo jej się spodobał.

– Jest całkowicie bezinteresowna, prawda?

– Tak, to jedna z wielu jej zalet – odparł Verlaque. – Ale ja to widzę jako korzystną umowę biznesową – na pewno się sprawdzi i przyniesie pieniądze, a może nawet jakąś sławę. Więc, jak widzisz, nie jestem ani w połowie tak bezinteresowny jak Marine.

– Dobrze wiedzieć, że się nie zmieniłeś – powiedział Jean-Marc, przechylając swój kieliszek w stronę kieliszka przyjaciela. – Zaczynałem się martwić, że robisz się sentymentalny.

Hélène Paulik prowadziła samochód, Léa siedziała obok niej na przednim siedzeniu, a Paulik z tyłu, na środku, by móc rozmawiać z dziewczynami i patrzeć na drogę. Ponieważ wszyscy troje cierpieli na chorobę lokomocyjną, zazwyczaj najgorsze miejsce z tyłu przypadało kolejno każdemu z nich.

– Teraz, kiedy mam już dziesięć lat, zamierzam zawsze siedzieć z przodu – odezwała się Léa. – Prawo mówi, że mi wolno.

– Możesz siedzieć z przodu przez całą drogę w tamtą stronę – powiedział Paulik, starając się skoncentrować na białych liniach na szosie. – Mdli cię?

– Nie, wcale nie, *papa* – odparła Léa. – Tu jest świetnie.

– Cudownie – szepnął komisarz.

– Czy za rondem możesz powiedzieć mi, jak jechać dalej, Bruno?

– W lewo na pierwszym rondzie, w kierunku Rousset – czytał głośno Paulik, starając się nie patrzeć zbyt długo w dół na zadrukowaną kartkę. – Jedź N7 w stronę Puylobier i Peynier i skręć w lewo, w D12 w kierunku Puylobier. Kiedy tylko ukaże

się wieża wiejskiego kościoła, zobaczymy małą drogę po prawej stronie ze skrzynką pocztową oznaczoną G. Herblin. Tam mamy jechać.

Léa śpiewała przez resztę drogi i nie przestała, dopóki nie zobaczyła skrzynki pocztowej.

– O, jest! – zawołała. – Skręć tutaj, *maman!*

– Tak, kochanie, skręcam.

Kierowali się w górę wąskiej polnej drogi wysadzonej drzewkami oliwnymi, ich błyszczące srebrne liście tańczyły na wietrze. Przez drzewa przeszły hektary winorośli z wysuszonymi winogronami na gałęziach.

– To stare winorośle – powiedziała Hélène, wskazując na lewo. – Nikt ich od dawna nie zbierał. Jaka szkoda.

– Jak stare, *maman?* – zapytała Léa. – Stuletnie?

– Prawie, kochanie – odparła Hélène. – Czy to nie jest niezwykle?

– Chyba tak. Czy ktoś tu mieszka? – zainteresowała się dziewczynka.

– Już nie – wyjaśnił jej Paulik. – Winnica należała do starszego mężczyzny, ale on właśnie zmarł. Nie miał rodziny. – Tak właśnie powiedziano komisarzowi.

– G. Herblin – odczytała Léa. – To mógł być Georges albo Giles, albo Guy...

– Tak – zgodził się Paulik. Dotknął kieszeni kurtki, by wyczuć list. Miał go odczytać na schodach domu. Ten właśnie ukazał się ich oczom – stary *mas*, który przed laty został pomalowany na odcień czerwieni pasujący do gleby.

– Jaki piękny! – wykrzyknęła Léa. – Czy ktoś tu jest? Nie widać samochodów, wszystkie okiennice są zamknięte. Podoba mi się, że

są pomalowane na niebiesko. Okiennice zawsze powinny być niebieskie. Niebieski to mój ulubiony kolor...

– Léa, proszę – odezwał się Paulik. – Ja też nie mam pojęcia, co się dzieje. Wiem tylko, że mamy wysiąść z samochodu i przeczytać list, który znajduje się w mojej kieszeni.

– Okej! – powiedziała Hélène. – Chodźmy, załogo!

Wysiedli z samochodu i Léa pobiegła przodem, by stanąć na frontowych schodach.

– Przed nami widać góry!

– Mont Aurélien – wyjaśnił Paulik.

Dziewczynka pobiegła na tył domu i obróciła się, by popatrzeć za siebie.

– Góra Świętej Wiktorii!

Paulikowie podążyli za nią, wpatrując się w szczyt.

– Wszystkie tutejsze wina mają apelację AOC Sainte-Victoire! – powiedziała Hélène. – Winiarze z tej okolicy dopiero niedawno otrzymali ten certyfikat. A starali się o niego od lat.

– Czy to ważne? – zapytał Paulik.

– Oczywiście. Po pierwsze, to chroni ich winorośle i sposób produkowania wina – wyjaśniła jego żona. – Więc nie może tu przyjść ktoś, kto będzie robił wino ze szczepów merlot.

– No cóż, może...

– Słusznie, ale nie napisze na butelkach AOC. Certyfikat AOC...

– Wy dwoje! – zawołała Léa. – Wracajcie do drzwi wejściowych i przeczytajcie list!

Hélène i Bruno roześmiali się.

– Idziemy!

Drodzy Brunonie, Hélène i Léo,

do czasu, kiedy będziecie to czytać, ja już zasiądem razem z Marine do wielodaniowej kolacji u Michela Brasa w Laguiole. Pewnie zastanawiacie się, dlaczego znaleźliście się w tym miejscu. Léa, założę się, że zwłaszcza ty masz dużo pytań.

Na początku chcę Was przeprosić za ten zagadkowy pośpiech. Nie wiedziałem, jak Wam to powiedzieć. Wszystko wydarzyło się szybciej, niż przewidywałem. Pomysł pojawił się w mojej głowie już jakiś czas temu, ale kiedy usłyszałem o miejscu, w którym się teraz znajdujecie, musiałem działać szybko.

Z całą pewnością nie chcę Was urazić. Być może dlatego wymknąłem się za miasto w ten weekend. Ale chciałem też dać Wam czas, jako rodzinie, na przemyślenie mojej propozycji. Ta ziemia, jak pewnie widzicie, to trzydzieści osiem hektarów winogron AOC Sainte-Victoire: syrah, cinsault, mourvèdre i rolle. Winorośle są w kiepskim stanie, nawet ja mogłem to zauważyć. M. Herblin miał dziewięćdziesiąt sześć lat, kiedy umarł pod koniec sierpnia, i nie miał potomków. Jedyłą rodziną był wnuk brata i tenże wnuk sprzedawał posiadłość. Mój dobry przyjaciel, Jean-Marc, jest prawnikiem w Aix i powiedział mi o tej sprzedaży, a ja ochoczo wykorzystałem szansę na kupno. Pokonałem dwie zagraniczne pary – to Cię ucieszy, Bruno – i jedną francuską firmę, która sprzedaje napoje bezalkoholowe, a teraz rozszerza działalność.

Myślę, że o tej porze będę już jadł swoje gargouillou, a Wy domyśliliście się, co chcę zaproponować. Hélène, od dawna podziwiam Twoje wina, poznałem je, jeszcze zanim przeprowadziłem się na południe. Pamiętam mój pierwszy doskonały kieliszek syraha z Domaine Beauclair, zrobiony przez Ciebie. To było w L'Arpège w Paryżu, gdzie jadłem kolację z babcią i dziadkiem. Mój dziadek, który był zagorzałym fanem Burgundii,

przeczytał Twoje nazwisko na etykiecie i powiedział: – Ta kobieta to ktoś, kogo trzeba obserwować.

Chciałbym, żebyś przejęła tutaj produkcję wina – pozostawiam Ci znalezienie nazwy dla domaine, bo nazwie „G. Herblin” brakuje polotu. Będziesz miała całkowitą kontrolę nad gospodarstwem, tak wszystko przygotowałem, że Ty i Bruno będziecie właścicielami części posiadłości (porozmawiamy o tym w poniedziałek). Mam tylko dwie prośby – chciałbym dostawać tyle wina, ile zechcę (Marine sądzi, że to bardzo niemądre), i byś nazwała pierwsze butelkowanie Cuvée Emmeline. Resztę pozostawiam w Twoich rękach.

I tak przy okazji – dom jest uroczy z zewnątrz, ale w środku wymaga generalnego remontu.

*Szczerze oddany,
Antoine Verlaque*

Epilog

Natalie Chazeau była pewna, że inna starsza kobieta, siedząca jeden rząd za nią w pierwszej klasie, wpatrywała się w jej broszkę i kiwała głową z uśmiechem. Mme Chazeau podniosła dłoń do klapy zakietu i dotknęła ozdoby składającej się z dwóch splecionych flag: francuskiej i niemieckiej.

– Kobieta za nami zna moją historię – szepnęła do syna. – Może jest jedną z nas. Czy to nie byłoby cudowne?

Christophe Chazeau uśmiechnął się i ujął dłoń matki.

– Być może, mamó. Ale może po prostu spodobała jej się twoja broszka.

Mme Chazeau pokręciła przecząco głową.

– O nie, nie sędzę. Jest nas ponad dwieście tysięcy. A w twoim pokoleniu jest was więcej niż milion. Wiesz, nasza historia zyskała ostatnio spory rozgłos. „Le Monde”, „Figaro” publikują artykuły na ten temat. Nawet „Paris Match”. A w lipcu pokazywano w telewizji film dokumentalny...

– Wreszcie – powiedział Christophe, wyciągając nogi przed siebie.

– Potrzeba czasu, by dojść do siebie.

Christophe spojrzał na matkę zaskoczony. Nigdy wcześniej tak nie mówiła. Był absolutnie pewien, że nigdy, przez całe swoje życie nie wypowiedziała słów: „Potrzeba czasu, by dojść do siebie”.

Mme Chazeau wyjęła z kieszeni zakietu wycinek z gazety, składany wcześniej i rozkładany dziesiątki razy, i zaczęła głośno

czytać synowi:

– Posłuchaj, *chéri*, co ten dziennikarz o nas napisał: „Było tak wiele takich przypadków, że nie mogłem napisać artykułu o tych dzieciach – to musiałyby być książka”.

Christophe spojrział na matkę i zobaczył łzy zbierające się w kącikach jej oczu. Uśmiechnął się, nigdy nie widział jej tak pogodnej, tak spokojnej.

Czytała dalej:

– „Oni naprawdę zasługują na szczególne traktowanie po tym wszystkim, co wycierpieli. To byłaby ostatnia linia narysowana pod «wiekiem żelaza i krwi», jakim było dwudzieste stulecie”. Ma rację, prawda? Ja jestem dzieckiem francuskiej kobiety i niemieckiego mężczyzny, którzy się kochali. Ale żyli w czasach nienawiści.

Christophe skinął głową i poprosił stewardesę o krwawą mary, czując ulgę, że może wypić drinka.

– Ja poproszę wodę gazowaną, kochana – jego matka zwróciła się do stewardesy.

Christophe powstrzymał grymas. Miał nadzieję, że matka nie stanie się ewangeliczką ani nie ucieknie, by zostać misjonarką. Wolał, kiedy była silna.

– Pamiętaj, aby podziękować swoim przyjaciółom prawnikom za pomoc w znalezieniu mojego przyrodniego rodzeństwa – powiedziała. – Wysłałam *maître* Suvatowi butelkę szampana, sędziemu również.

– Jean-Marc i Antoine będą wzruszeni – odparł Christophe. – Pomogli z radością.

– Czy sądzisz, że od razu się rozpoznamy? – Mme Chazeau zapytała syna.

– Tak myślę – rzekł, zdając sobie sprawę, że mówiła teraz o nowo

odnalezionym niemieckim rodzeństwie. – Widziałaś przecież ich zdjęcia, prawda?

– Tak. Oboje są wysocy, z czarnymi włosami, tak jak ja, chociaż tak właściwie Franz już prawie osiwiał. – Natalie Chazeau uśmiechnęła się, odchyliła do tyłu i zamknęła oczy. Próbowwała wyobrazić sobie, jak będzie wyglądało ich spotkanie. – *Chéri* – rzekła do syna, pochylając się w jego stronę.

– *Oui, maman?*

– Czy sądzisz, że odwiedzimy grób mojego ojca?

– Być może – odparł. – Grób jest w Bambergu, prawda?

– *Oui*. I pomyśleć, że ojciec został zastrzelony zaledwie na kilka dni przed kapitulacją Niemiec, w maju 1945 roku.

Christophe nie odpowiedział. Bo nawet gdyby jej ojciec przeżył wojnę, ona nie miałaby z nim kontaktu w dzieciństwie. Wolfgang Schmidt prowadził podwójne życie: w czasach pokoju był księgowym i amatorsko grał na kontrabasie. Mieszkał z żoną i dwójką dzieci, Franzem i Ellen, w Bambergu. W czasie wojny miał stopień pułkownika w niemieckiej armii i spotykał się z kochanką – Francine Lignon, studentką historii na Sorbonie.

– Moja matka nie była kolaborantką – mówiła dalej Mme Chazeau. – To tak je nazywali, golili im głowy i paradowali z nimi przez miasto: *les collaboratrices horizontales...*

– *Maman*, proszę... – szepnął Christophe, zmartwiony tym, że inni pasażerowie mogą ją usłyszeć.

– Już nie będę cicho! – syknęła z taką mocą w głosie, do jakiej młody mężczyzna był przyzwyczajony.

– Przynajmniej Francine... babcia... nie była ciągnięta przez ulice Rognes – szepnął Christophe. – Kiedy wróciła z Paryża...

Mme Chazeau zrobiła znak krzyża.

– Tak, dzięki Bogu za to. Jej ojciec szybko wszystko uciszył, był wpływowym człowiekiem. Dopiero po latach rozniosło się to po wsi, nie wiemy jak.

Christophe w skrytości ducha podziękował swojemu dziadkowi, Frédéricowi Aubanelowi, mężczyźnie, który w 1943 roku szybko ożenił się z Francine, bo od zawsze ją kochał. Wychował Natalie jak własną córkę.

– Czy wiesz, że w szkole, na placu zabaw nazywali mnie *sale boche*? – opowiadała jego matka. – Co zabawne, nie wiedziałam, co to znaczy. Myślałam, że to znaczy „idiotka” lub coś takiego, bo zawsze byłam najgorsza w klasie z matematyki. – Christophe uśmiechnął się, dumny z matki, najgorszej w klasie z tego przedmiotu, która po latach sama stworzyła największą i najlepiej prosperującą agencję nieruchomości w Aix. – Ale wiedziałam, że jestem wyrzutkiem – kontynuowała. – A Pauline pilnowała, żebym tak się czuła...

– *Maman*, daj już spokój – prosił Christophe. Poza wszystkim miał nadzieję rzucić okiem na nowe czasopismo samochodowe, które właśnie kupił. Przynajmniej do czasu, kiedy samolot wyląduje.

Droga z lotniska w Monachium do Bambergu była prosta i zajęła tylko dwie godziny. Mijali Norymbergę i żadne z nich się nie odezwało, dopóki Natalie nie szepnęła:

– Norymberga, gdzie odbywały się procesy. To teraz moja historia.

W drodze pomagała pilotować. Dobrze sobie z tym radziła i zawsze była dumna z tej umiejętności. Od chwili przedwczesnej śmierci jej męża zawsze prowadził jej syn.

– Jest górne i dolne miasto – rzekła, patrząc na mapę. – Oddzielone rzeką Regnitz. – Zerknęła na Christophe’a i uśmiechnęła się, życząc sobie w duchu, by już niedługo znalazł żonę. – Zwolnij, są tu znaki jakiegoś hotelu. – Wskazała na brązowy znak drogowy. – Już widzę! Skręć w prawo do hotelu Messerschmitt. Lange Strasse.

Zatrzymali się na małym parkingu dla gości i poszli się zameldować. Przed spotkaniem z Franzem i Ellen mieli czas, by wziąć prysznic. Kiedy Christophe wyszedł ze swojego pokoju, zobaczył matkę, która niecierpliwie czekała przy drzwiach wejściowych z jedną stopą na zewnątrz.

– Czy widać moją broszkę? – zapytała.

– Tak, *maman*. Zobaczą ją i ciebie natychmiast. – Podał jej ramię i razem poszli w dół ulicy, przekroczyli uroczy most wiodący do górnego miasta. Mijali studentów uniwersytetu, lokalnych mieszkańców w każdym wieku na rowerach i turystów zatrzymujących się przed restauracjami, by przeczytać menu.

– To mi przypomina Aix – stwierdził Christophe.

– Tak – odparła Natalie Chazeau. – Wygląda na prawdziwe miasto z prawdziwymi usługami i biznesami, a nie disnejowską atrapę. Miejmy nadzieję, że Aix też takie pozostanie.

– Tu jest drogowskaz do Domplatz – powiedział młody człowiek. – Gdzie dokładnie się z nimi spotykamy? Przy muzeum historii?

– Tak – odparła kobieta, przyspieszając kroku. – Nazywa się Ratsstube. Franz opisywał je w liście jako renesansowe cacko. On uczył historii na tutejszym uniwersytecie.

Christophe poklepał matkę po ramieniu.

– Tak, mówiłaś mi. Więcej niż raz. I on mówi po francusku, prawda?

– Tak, doskonale, ale Ellen mówi tylko po niemiecku. I co ja zrobię?

– Coś wymyślisz.

– A ty nie będziesz się nudził dziś wieczorem, jeśli pójdziemy gdzieś, by porozmawiać...?

– Nie, o mnie się nie martw – odparł Christophe. – Wybiorę się na poszukiwania tego dymionego piwa, które tu warzą. Chyba nazywa się Rauchbier.

Dotarli do Domplatz, dużego opadającego w dół placu, otoczonego przez uderzająco niepodobne do siebie, ale dobrze zachowane budynki. Ukazywały się ich oczom jak wielka książka z otwierającymi się obrazkami. Ratsstube znajdował się na południowo-wschodnim narożniku placu i łatwo go było zauważyć z powodu elegancko zwężających się dachów i bogato zdobionych okien wykuszowych, wcinających się w plac. Wysoki, starszy mężczyzna i równie wysoka kobieta stali pod znakiem muzeum, ich ramiona lekko się dotykały. Mężczyzna mrużył oczy w późnopołudniowym słońcu. Ellen Hoffman, z domu Schmidt, wskazała dłonią na Natalie i Christophe'a Chazeau i powiedziała coś do brata. Osiemdziesięcioletni Franz Schmidt, nadal w dobrej formie dzięki codziennym przejażdżkom rowerowym po wzgórzach, zdjął kapelusz i zaczął biec przez plac.

- 1) *Appellation d'origine contrôlée* (AOC) – „kontrolowane oznaczenie pochodzenia”, francuski system certyfikacji przyznawanych pewnym regionom geograficznym, które specjalizują się w produkcji ściśle określonych, oznaczonych wyrobów spożywczych, m.in.: win, serów, masła. Informacje o przyznaniu certyfikatu umieszczane są na etykietach wyrobów. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki). ↵
- 2) Sciences Po – Instytut Nauk Politycznych, oferujący zajęcia w zakresie nauk politycznych oraz historii, socjologii, prawa, finansów, biznesu, komunikacji, polityki społecznej, zarządzania i dziennikarstwa. ↵
- 3) Czesław Miłosz, *Wiersze wybrane. Selected poems*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1996, s. 206. ↵
- 4) Towarzystwo Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt. ↵
- 5) William Shakespeare, *Henryk V*, tłum. Stanisław Barańczak, Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, Kraków 1999, s. 125. ↵
- 6) Czesław Miłosz, *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada*, Wydawnictwo Znak, Kraków 1980, s. 103. ↵
- 7) Tamże, s. 103–104. ↵